

Ross Thomas

TŁUMACZYŁA
MARIA GĘBICKA-FRĄC

Voodoo

I

W Nowy Rok, krótko po piątej nad ranem, przez Malibu, z prędkością przekraczającą sto trzydzieści kilometrów na godzinę, pędził prawie nowy dwuosobowy Mercedes Benz 500 SL, który kosztował sto jeden tysięcy czterysta czternaście dolarów i dwadzieścia osiem centów. Prowadziła go jedną ręką - lewą - Iona Gamble. Zmierzony później poziom alkoholu w jej krwi wynosił 1,16 promila, co znaczyło, że pod względem prawnym czy jakimkolwiek innym była pijana. Przytrafiło się jej to drugi raz w życiu.

Aktorka-reżyserka, która dzięki podwójnemu zawodowi należała do grona tak zwanych w hollywoodzkim żargonie „kresek”, ciągle prowadziła lewą ręką, w prawej zaś trzymała słu chawkę. Wysłuchawszy trzydziestego piątego i ostatniego sygnału, zamieniła słuchawkę na butelkę czterdziestoprocentowej wódki Smirnoff, która dotychczas leżała na fotelu pasażera. Po przełknięciu ostatnich pięćdziesięciu gramów opuściła lewą szybę i wyrzuciła pustą butelkę

* W orygu. Billy Rice Fuck Mice; rice (ang.) – ryż [przyp. tłum.].

na zewnątrz. Butelka rozbiła się na Hondzie Civic z roku 1986.

Przez chwilę Iona Gamble odczuwała pokusę, by zatrzymać się i zostawić notatkę z propozycją zapłaty za poczynione szkody. Jednakże nim notatka została wymyślona, zredagowana i poprawiona, Iona była już prawie dwa kilometry za Honda i zbliżała się do celu swej podróży w Carbon Beach. Po przejechaniu kolejnego kilometra notatka, rozbita butelka i Honda całkowicie wyleciały jej z głowy.

Iona jechała środkowym pasmem autostrady Pacific Coast, wrzuciła luz i zwolniła do przepisowej prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Próbowwała znaleźć ciśnionego gdzieś pilota, który otwierał stalową bramę. Brama strzegła domu wartego trzysta milionów dolarów i - ku irytacji wszystkich znajomych - zwanego przez właściciela „domkiem plażowym”.

Iona nie znalazła pilota, ale gdy skręciła w lewo, przecinając dwa pasy autostrady prowadzącej na wschód, w światłach wozu ukazała się otwarta brama, wjechała na teren posiadłości i zaparkowała przed garażem mogącym pomieścić trzy pojazdy. Drzwi, mimo że minęło już siedem dni od świąt Bożego Narodzenia, nadal ozdobione były fantastycznym tryptykiem ze świętym Mikołajem, reniferami i elfami.

Iona wyłączyła silnik oraz światła i jeszcze raz podniosła słu chawkę. Wystukała ten sam numer co poprzednio i wysłuchała piętnastu sygnałów. Odłożyła słuchawkę i dla odmiany zajęła się klaksonem - wciskała go w sekwencji: trzy krótkie, jeden długi. Ich brzmienie z grubsza przypominało literę V w alfabecie Morse'a - jedyną, jaką знаła.

Po trzech minutach Iona przestała hałasować, opuściła lewą szybę i czekała na reakcję. Była przygotowana na to, że jakiś nerwowy sąsiad wrzaśnie, żeby się, kurwa mać, przymknęła. Albo że Billy Rice wypadnie przed dom i będzie błagał ją, żeby na miłość boską weszła i wypita drinka - albo że nagle w jakimś oknie rozbłysnie światło, co będzie dowodem, że Malibu o 5.11 we wtorkowy poranek 1 stycznia 1991 roku nie wymarło.

Jednakże nie rozległy się gwałtowne krzyki, nikt nie zaferował drinka i nigdzie nie zapaliły się światła, Iona wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami tak mocno, jakby chciała, żeby coś pękło. Obeszła tył wozu, cofnęła się niepewnie o trzy kroki, nabrała powietrza i ile sił w płucach wrzasnęła:

- Billy Ryż pieprzy mysz!

Czekała, nasłuchując, ale gdy nikt ani nie zaprzeczył, ani jej nie obsztorcował, odwróciła się i skierowała do frontowych drzwi. Wtedy na piętrze żółtego domu po drugiej stro nie drogi zapaliło się światło. Jaśniało w niewielkim, wysoko umieszczonym oknie, jakie zazwyczaj znajdują się w łazienkach, Iona doszła do wniosku, że prawdopodobnie jakiś biedny staruszek musiał wywlec się z łóżka przez kłopoty z prostatą.

Przed głównym wejściem do domu stał wysoki na dwa metry mur z klinkierowej cegły. Służył jako bariera zabezpieczająca mieszkańców przed wzrokiem ciekawskich i hałasem dobiegającym z drogi, a wraz ze ścianą domu tworzył krótkie, nie za daszone przejście, Iona skierowała się ku niemu, po drodze przetrząsając kolejno wszystkie kieszenie kremowej zamszowej kurtki, w poszukiwaniu kluczy do domu Billy'ego Rice'a.

Zdążyła sprawdzić każdą kieszeń po cztery razy, nim mglił się wspomnienie sobie swój raptowny wyjazd z domu w Santa Monica. Starczyło jej czasu jedynie na zgarnięcie kluczyków do samochodu i butelki wódki, a

zabrakło na zabranie brązowej skórzanej torebki. A właśnie tam, w zapinanej na suwak kieszonce na drobne, znajdowały się klucze do frontowych drzwi domu Rice'a.

Iona Gamble nadal była przekonana, że istnieje jakiś sposób na obudzenie Rice'a. Mogła, na przykład, łomotać w drzwi i dzwonić, a nawet wyć i szczeleć niczym kojot. Już prawie zdecydowała się na kojota, gdy zauważyła, że drzwi są uchylone. Pchnęła je lekko na próbę, potem mocniej, tak że otworzyły się na całą szerokość.

Wewnątrz domu było ciemno, Iona wiedziała, że po lewej stronie musi znajdować się przełącznik i zaczęła szukać po omacku. Znalazła go i zapaliła lampy. Oświetliły one marmuro wy hol, z którego można było przejść do ogromnego salonu i dalej, na równie wielki taras. Światła były zaprojektowane w ta ki sposób, że głównymi elementami holu stawały się dwa obrazy umieszczone na przeciwległych ścianach. Na lewej wisiał Chagall, na prawej Hockney.

Pod obrazem Hockneya stał kwadratowy stolik. Był niewielki, ale wystarczająco duży, że mieściła się na nim dzienna korespondencja, trzy komplety kluczyków samochodowych i *Beretta* kalibru 9 mm. Iona podniosła pistolet, przyjrzała mu się i zawołała:

- Hej, Billy, chcesz zobaczyć, jak odstrzeliwuję sobie wielki palec u nogi?

Czekała z pochyloną głową i pistoletem w prawej ręce, jak gdyby miała nadzieję na jakieś słowa protestu. Kiedy nic się nie stało, uniosła pistolet, wycelowała starannie i nacisnęła spust - tak, jak nauczono ją na strzelnicy w Beverly Hills. Pocisk zrobił małą, schludną dziurkę w lewym dolnym rogu płótna Chagalla.

Strzał nie wywołał ani krzyków, ani szlochów, Iona ruszyła powoli przez marmurowy hol i weszła do salonu. Przez znaj dującą się naprzeciwko całkowicie przeszkloną ścianę mogła zobaczyć światła Santa Monica i leżące dalej przyćmione światła Palmo Verdes, gdzie - wiedziała o tym na pewno - mieszkali najnudniejsi ludzie w Kalifornii, a może i na całym świecie.

Odwróciła się od ogromnego okna i wtedy w południowo-zachodnim kącie pokoju zauważyła wielką bryłę. Z jakiegoś powodu wyglądała ona na zgubioną, porzuconą czy może po prostu zapomnianą, Iona, niezmiernie zaciekawiona, przemierzyła salon i przełożyła pistolet do lewej ręki. Prawą zapaliła lampę na stole i odkryła, że tą bryłą jest William A.C. Rice Czwartny.

Leżał na boku. Otwarte niebieskie oczy wpatrywały się w belki wysokiego sufitu. Prawa noga była nieznacznie zgięta w kolanie, lewa wyprostowana; ręce rozrzucone, prawa dłoń wyciąg nięta w kierunku południowym, lewa w północno-zachodnim. Na nagiej owłosionej piersi nieco na lewo od prawej sutki widniały dwie ciemne dziurki. Stopy były bosc, a białe tenisowe szorty poplamione.

Iona Gamble, gwałtownie chwytając powietrze, gapila się na martwego mężczyznę przez co najmniej trzydzieści sekund.

- Cholera, Billy, żałuję, ale nie jest mi przykro - wysapała wreszcie.

Odwróciła się i, zataczając lekko, podeszła do małego barku. Nalała do szklanki pięćdziesiątkę whisky i wypila alkohol jednym haustem. Whisky wywołała atak kaszlu. Zdołała opanować go dwie minuty później, po czym podeszła do telefonu, osunęła się na fotel - jak wiedziała, był to ulubiony fotel Billy'ego Rice'a - położyła pistolet na kolanach, podniosła słuchawkę i

wystukała numer 911.

Pod numerem policyjnego pogotowia zabrzmiał pierwszy sygnał. Po ósmym Iona ziewnęła. Po dziesiątym położyła słuchawkę na stole, kurczowo zacisnęła dłonie na kolbie *Beretty*, zamknęła oczy i zapadła w pijacki sen.

Nadal spała i nadal ścisnęła *Berettę*, gdy o 6.27 do salonu weszli dwaj zastępcy szeryfa. Zabrali pistolet, obudzili Ionę, odczytali przysługujące jej prawa i aresztowali, jako podejrzaną o dokonanie zabójstwa pierwszego stopnia na osobie Williama A.C. Rice'a Czwartego, który od roku 1950, kiedy to w Kansas City po raz pierwszy poszedł do prywatnego przedszkola, nazywany był Billym Czwartym przez wszystkich, którzy go nie lubili czy też nienawidzili, czyli, jak ktoś później powiedział: „Przez prawie wszystkich, którzy znali go dłużej niż trzy minuty”.

2

Trzy tygodnie później, w styczniu roku 1991, Iona Gamble została oskarżona o zamordowanie Williama A.C. Rice'a Czwartego, a następnie zwolniona za kaucją. Zastępca prokuratora generalnego okręgu Los Angeles zażądał kaucji w wysokości co najmniej dwóch milionów dolarów, ale sędzia wyższej instancji sądu okręgowego w Santa Monica ustalił ją na dwieście tysięcy. Broniąc swojej decyzji, zadał retoryczne pytanie: „Dokąd mogłaby uciec lub gdzie się ukryć osoba z twarzą znaną niemal całemu światu?”.

Iona przyczała się w swoim trzynastopokojowym domu w stylu kolonialnym przy Adelaide Drive w Santa Monica. Prócz niej mieszkało tam tylko dwoje Salwadorczyków, zajmujących pokoje nad garażem, sześć kotów, trzy psy i jeden oswojony kłapouchy królik, który przez większość czasu skakał w górę i w dół po schodach.

Iona Gamble siedziała na pierwszym piętrze w pracowni, którą nazywała gabinetem, i rozmawiała z Jackiem Broachem na temat obrońców zajmujących się sprawami kryminalnymi. Jack Broach, jej menadżer, agent i osobisty prawnik, był wychowankiem Uniwersytetu Kalifornijskiego (rocznik 68) i Boalt Hall (71) oraz pracownikiem Agencji Williama Morrisa (lata 1977-79). Podobnie jak wielu agentów przemysłu rozrywkowego po czterdziestce, przypominał zadbanego aktora, który doskonale mógł grać rolę zarówno młodego prezydenta, jak i podstarzałego pilota myśliwskiego.

Trzy ściany gabinetu-pracowni zastawione były regałami wypełnionymi głównie powieściami i biografiami, czwarta zaś była całkowicie przeszklona. Rozciągał się za nią imponujący widok na kanion Santa Monica, góry i Pacyfik.

Iona Gamble siedziała na obrotowym krześle za, wykonanym w 1857 roku w Memphis, biurkiem maklera spekulującego na bawelnie, a Broach w stojącym w pobliżu wygodnym fotelu.

Iona wypłała przez słomkę nieco dietetycznej wody Dr Pepper i powiedziała:

- Jak na razie usłyszałam o unitarianinie z Massachusetts, o Żydzie z Wyoming, o Takszańcyku należącym do protestanckiego kościoła episkopalnego i o baptyście z Nowego Jorku. Te raz kolej na Waszyngton - kogo tam mamy?

- Jestem absolutnie pewien, że nie muzułmanina - zapewnił Broach.

- Opowiedz mi o nim, o tym facecie z Waszyngtonu.

- Zadzwoń do niego - zaczął Broach - i, jak do wszystkich innych, powiedziałem: „Cześć, jestem najlepszym przyjacielem i osobistym prawnikiem Iony Gamble, która potrzebuje najlepszego w świecie adwokata od spraw kryminalnych. Jesteś zainteresowany?”. Czterech z nich odpowiedziało: „O rany, jasne”, ale facet w Waszyngtonie rzekł: „Niespecjalnie”. Jak zwykle w tego rodzaju wypadkach byłem w szoku, że moje pytanie nie wywarło spodziewanego wrażenia.

- Jest chociaż dobry, ten z Waszyngtonu?

- Nie jest tak znany jak pozostali, jednak najlepsi prawnicy, których zdanie coś dla mnie znaczy, mówią, że jest wystrzałowy. Gamble zmarszczyła brwi.

- „Wystrzałowy” to twoje określenie czy innych?

- Moje. Używam go, ponieważ każdy wie, o co chodzi, Iona pociągnęła następny łyk i powiedziała:

- Powinam wybrać tego faceta z Waszyngtonu? Broach skinął głową.

- Powinam wybrać tego, komu najbardziej ufam i kogo najbardziej cenisz.

- A co z sympatią?

- To nie ma nic od rzeczy.

- Zapyta mnie, czy zabiłam Bilie?

- Nie wiem.

Iona Gamble popatrzyła w sufit, jakby gdyby było tam wypisane jej następne zdanie.

- Lubię Żyda, szanuję baptystę i ufam episkopalnemu pro testantowi - pomimo chamowatych manier Teksańczyków - ale unitarianina zdaje się zżerać przekonanie, że w końcu wylądujemy w łóżku.

- Cóż złego jest w optymizmie? Jej spojrzenie powędrowało w dół.

- Cholera, pomóż mi. Broach pokiwał głową.

- Sama będziesz wiedziała - albo twój instynkt.

- Jesteś pewien?

- Bezwzględnie.

Usłyszeli gong u frontowych drzwi. Broach podniósł się i powiedział:

- To on. Zejdź po niego, przyprowadzę na górę, przedstawię i ruszam w swoją drogę.

- Dobrze wyglądam?

Jack Broach nie zwracał sobie głowy odpowiedzią.

Iona Gamble miała na sobie dżinsy, koszulę w kratę i podniszczone tenisówki na nagich stopach. Stała przy przeszklonej ścianie, wpatrując się w ocean i kanion, kiedy Broach wrócił z waszyngtońskim adwokatem. Odwróciła się i zobaczyła średniego wzrostu mężczyznę po czterdziestce, ubranego w bardzo drogi, ale źle dopasowany ciemnoniebieski garnitur, czarne buty, białą koszulę i stonowany krawat. Miał niezwykle długie ręce, twarz, która zdawała się być złożona z odrębnych elementów, i najmądrzejsze czarne oczy, jakie Iona w życiu widziała. Gdy w niego spojrzała, zalało ją intensywne uczucie ulgi.

Jack Broach dokonał prezentacji.

- Iona Gamble, Howard Mott.

Iona uśmiechnęła się i, wyciągając prawą rękę, ruszyła w stronę Motta.

- Mam ogromną nadzieję, że zostanie pan moim adwokatem, panie Mott. Howard Mott ujął zimną, suchą rękę i uśmiechnął się.

- Zobaczmy, czy nadal będzie pani tak uważała po naszej rozmowie.

Mott przybył o jedenastej przed południem, a o 12.45 zamówili wielką pizzę z serem i pepperoni.

Gospodyni-kucharka z Salwadoru podała ją z butelką piwa dla Motta i dietetyczną wodą Dr Pepper dla Iony. Mott wziął do ust kawałek pizzy, przeżuł go, przełknął, popił piwem i poprosił:

- Proszę opowiedzieć, jak go pani poznała.

- Biliyego Rice'a?

Mott skinął głową i zabrał się do następnego kawałka pizzy.

- Wie pan, kim on był, prawda? To znaczy wcześniej.

- Przed Hollywood? Tak, wiem, ale niech pani powie to własnymi słowami.

- „Kansas City Post” to on.

- No, Hemingway raczej dla nich nie pisał.

- Gazeta ta była jednym z pierwszych dzienników, który miał własny program radiowy w latach dwudziestych i telewizyjny w czterdziestych. Po wojnie posiadała trzy stacje telewizyjne i cztery radiowe o zasięgu krajowym, sześć małych periodyków, magazyn dla farmerów, ogromną drukarnię i kawałek centrum Kansas City. Dziewięćdziesiąt procent akcji tego wszystkiego było własnością Williama A.C. Rice'a Trzeciego, wnuka Williama A.C. Rice'a Pierwszego, który położył podwaliny pod ten interes. Po śmierci Billyego Trzeciego wszystko dostało się Billy'emu Czwartemu.

- Kiedy umarł Trzeci? - spytał Mott. - Dziesięć lat temu?

- Dwanaście. Billy nie wypuszczał interesu z rąk przez osiem lat, potem, na początku osiemdziesiątego szóstego, gdy akcje osiągnęły najwyższą wartość, sprzedał wszystko. Dostał co najmniej miliard, może więcej. Później przeprowadził się tutaj i oznajmił, że jest niezależnym producentem filmowym, a skoro miał w banku miliard, wszyscy mówili: Jak najbardziej, jesteś”.

- To wtedy pani go poznała? Skinęła głową.

- Miał biuro w Century City tylko dla siebie, sekretarki i scenarzysty.

- Kiedy to było, w osiemdziesiątym szóstym, osiemdziesiątym siódmym?

- Pod koniec osiemdziesiątego szóstego, miesiąc po moich trzydziestych urodzinach, dzięki którym skończyłam trzydzieści cztery lata i weszłam w trzydziesty piąty rok życia, o ile nie podchodzi pan zbyt rygorystycznie do matematyki.

Mott uśmiechnął się i napił piwa.

- Wtedy też sporo wypłam i urwał mi się film - dodała Iona. Było to nie tyle wyznanie, ile stwierdzenie faktu.

- Dlaczego?

- Dla aktorki trzydziestka oznacza koniec wspinaczki, niejako dotarcie na płaskowyż, na którym - o ile ma szczęście - pozostaje do czterdziestki, a potem zaczyna się nieuchronny spadek, czasami wolny, czasami zaś bardzo, bardzo szybki.

- Przecież trzydziestoletni człowiek jest jeszcze młody. I, jeśli mogę zauważyć, czterdziestoletni również.

- Ale czterdziestopięcioletni już nie i dlatego użyłam wszelkich znanych mi sztuczek, by dostać pracę reżysera. To ozna czało gościnne występy w telewizyjnych programach komedio wych i epizody w przygodowo-awanturnicznym chłamie, ale bra łam je tylko pod warunkiem, że będę je reżyserować.

- Mam wrażenie, że reżyserowanie jest dla pani czymś w ro dzaju

dożywotniej renty.

- Niech pan posłucha. Mam zamiar grać, gdy będę miała czterdzieści pięć, pięćdziesiąt pięć i sześćdziesiąt pięć lat - o ile będę tak długo żyła - choć z biegiem lat otrzymuje się coraz mniej propozycji.

- I zdecydowała pani o tym wszystkim mając trzydzieści lat?

- Oczywiście. Trzydziestoletni aktor nadal jest młody. Po prostu traci resztki niemowlęcego tłuszczu, wyrasta z dzie ciństwa i przez następne dwadzieścia pięć czy trzydzieści pięć lat może grać główne role, w przeciwieństwie do dwudziesto-, pięcio-, trzydziestopięcio-, czy czterdziestoletniej aktorki. Ale czy zna pan jakąś pięćdziesięciopięcioletnią aktorkę, która odgrywa scenę miłosną z trzydziestopięcioletnim aktorem - o ile nie jest to pornos? Daję panu godzinę na podanie nazwiska.

- Ann-Margaret chyba nie ma jeszcze pięćdziesięciu pięciu? - zapytał Mott, podnosząc ostatni kawałek pizzy. Iona Gamble uśmiechnęła się szeroko.

- Jest pan jej wielbicielem?

- Jedynie konserwatystą - rzekł Mott i wgrzył się w pizzę.

- Cóż, w każdym razie, to dlatego spałam się w trzydzieste urodziny i dlatego od tamtej pory nie tknęłam alkoholu poza trzema piwami i ośmioma lampkami wina - do trzydziestego pierwszego grudnia.

- Wróćmy do pierwszego spotkania z panem Rice'em.

- Okay. Miał biuro w Century City. Zadzwoił do Jacka Broacha, a Jack zadzwonił do mnie i zaproponował, abym spróbowała. Więc pojechałam na górę - nie wiem, chyba na trzydzieste czwarte piętro? - a tam wprowadzono mnie do porządnego, ale niczym nie wyróżniającego się biura. Billy okazał się czarujący i wręczył mi scenariusz oparty na powieści Lorny Wiley, „Siostry Milner”.

Spojrzała pytająco na Motta, który przyznał, że zna tę powieść. Westchnęła z ulgą i mówiła dalej:

- Po tym, jak przyniesiono nam kawę, Billy mówi: „Chciałbym, żebyś w tym zagrała”. Tak, role obydwu sióstr są doskonałe, ale Louise jest jedyna w swoim rodzaju, wobec tego pytam: „Kogo mam grać - Louise czy Rose?” I niech pan zgadnie, co odpowiedział?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedział: „Myślę, że powinien o tym zdecydować reżyser, a skoro ty nim będziesz, decyzja należy do ciebie”. I w tym momencie pomyślałam, że powinnam zakochać się w Billym Rice'e, tym fiucie.

- Jak na razie Rice jawi się jako porządny facet.

- Jak na razie. Tak więc kręcimy „Siostry Milner”, które otrzy mują doskonałe recenzje, ale nie zarabiają ani centa. Jednak Billy sprawia wrażenie, że się tym nie przejmuje i wykłada sto tysięcy dolarów na prawa do jakiegoś kiepskiego technothrillera, potem płaci milion za scenariusz, wykorzystuje swoje prawa do powieści - jeden przecinek cztery miliona - i angażuje dwudziestoczteroletniego reżysera z brytyjskiej MTV. Ja gram Mavis, dzielną heroinę, która chodzi i mówi jak facet, u boku głupiego starego Nilesa Branda, który dostaje pięć milionów do larów z groszami. No cóż, całość kosztuje trzydzieści osiem milionów i okazuje się niesamowitym przebojem. Ja dostaję na grodę krytyków filmowych Los Angeles i nominację Akademii, lecz o Oskarze mogę tylko marzyć, ale kogo to, do diabła, obchodzi poza mną?

- Co potem?

- Potem Billy prosi, bym za niego wyszła. Dzieje się to gdzieś na początku zeszłego roku. I ja, wieczna idiotka, mówię: Jasne, Billy, to kapitalnie", i ustalamy datę ślubu na trzydziestego grudnia. Tymczasem Billy kupuje prawa do powieści „Zły Martwy Indianin", która od trzynastu miesięcy znajduje się na liście bestsellerów nowojorskiego „Timesa". Kosztuje go to dwa miliony. Gotówką. Wydaje kolejny milion na scenariusz i ogłasza, że jego przyszła żona będzie nie tylko gwiazdą grającą wraz ze starym głupim Nilesem Brandem w wartej sześćdziesiąt pięć milionów epopei z Dzikiego Zachodu, ale również będzie ją reżyserowała. Nadaża pan, panie Mott?

- Opowiada pani nadzwyczaj jasno. - Potem jest wigilia Bożego Narodzenia, nieco ponad miesiąc temu. Billy w formie tego, co dzienniki nazywają zwięzłą trzywersową relacją prasową, ogłasza, że ostatecznie nie poślubi lony Gamble, i że ona nie będzie ani reżyserować, ani grać w jego cudownym filmie o rdzennych mieszkańcach Ameryki.

- Podpisywała pani kontrakt na zdjęcia albo jakąś umowę wstępną?

- Negocjacje prowadził Jack Broach. A kiedy napomknął o umowie wstępnej, powiedziałam, że mnie zależy na małżeństwie, a nie na fuzji, co może nie było zbyt oryginalne, ale wyglądało na to, że Billy wcześniej nie słyszał takiego stwierdzenia.

- Jak pani sądzi, dlaczego Rice zmienił zdanie?

- Nie wiem. Już nigdy z nim nie rozmawiałam. A przynajmniej tak mi się zdaje.

- Ale próbowała pani.

- Dzwoniłam do niego paręset razy, ale bez skutku. Potem, w ostatni dzień starego roku, w dzień naszego niedosłego ślubu, zaczęłam pić. Piłam przez cały dzień, przespałam się, przebudziłam i piłam dalej. Pamiętam, że wsiadłam do samochodu z butelką wódki i wybrałam się do Malibu, by otwarcie porozmawiać z Billym. Ale nie przypominam sobie niczego innego. Wiem tylko, że obudzili mnie dwaj zastępcy szeryfa, a martwy Billy leżał na podłodze swego „plażowego domku".

- Urwał się pani film?

- Tak.

Mott oparł się na kanapie okrytej kretonowym pokrowcem i przyglądał się Gamble, która teraz przysiadła na skraju fotela po drugiej stronie stolika.

- Zatem był to pani drugi odjazd w życiu. Zakładam, że nie wie pani zbyt wiele o tego rodzaju stanach?

- Dopóki nie porozmawiałam z lekarzem, wiedziałam tylko, że są to sztuczki stosowane w operach mydlanych. Potrzebny konflikt? No to niech urwie się jej film. Albo niech ma atak amnezji. Doktor powiedział mi, że urwany film jest formą amnezji poalkoholowej, powszechnie występującą u nałogowców oraz po ciężkiej popijawie. Powiedział, że do odzyskania pamięci stosuje się hipnozę. Czasami to działa, czasami nie. Ale dodał, że gdybym chciała spróbować, może polecić mi kilku hipnoterapeutów o bardzo dobrych kwalifikacjach. Powiedziałam, że zastanowię się.

- I zastanowiła się pani?

- Jasne. Myślałam o tym. Pomyślałam również, co się stanie, jeśli wyznam coś żenującego czy obciążającego - a może nawet przyznam się do zamordowania Billygo. Gdyby hipnotyzer nagrał to na magnetofonie, mógłby sprzedać kasetę za kupę forsy. A gdyby nagrał na wideo - Bóg wie za ile.

- Mógłby również pójść do więzienia.
 - Nie, gdyby twierdził, że ktoś włamał się do niego i ukradł kasetę. Pamiętam Watergate - cóż, przynajmniej częściowo. Wte dy chodziło o coś podobnego, prawda?
 - Nie całkiem.
 - Ale nieuczciwy hipnotyzer mógłby zrobić z kasetami coś, o czym nikt nigdy by się nie dowiedział. Mógłby je sprzedać mnie, co, jak mi się wydaje, zwane jest szantażem.
- Iona obdarzyła Motta nikłym zimnym uśmiechem, jakby kwi tując trafne stwierdzenie. Mott podrapał się po grzbiecie lewej ręki i powiedział:
- A gdybym znalazł hipnoterapeutę o gwarantowanej dyskrecji? Czy byłaby pani zainteresowana próbą odzyskania pamięci? Iona zmarszczyła brwi.
 - To ważne, prawda? Moja pamięć?
 - Niezmiernie.
 - Zna pan jakichś hipnotyzerów?
 - Znam kogoś, kto zna kilku.
 - Chodzi panu o to, że ten ktoś właśnie tym się zajmuje - polecaniem hipnotyzerów żonom i przyjaciółkom, którym po ciężkim pijaństwie urwał się film i które załatwiły swoich mężów czy chłopaków, ale niczego nie pamiętają?
- Mott uśmiechnął się.
- Ten człowiek zapewnia wyjątkowo wysoko kwalifikowanych i wyjątkowo dyskretnych profesjonalistów do wykonania wyjątkowo delikatnych zadań.
- Iona popatrzyła na niego, znowu zmarszczyła brwi i powiedziała:
- Czy wszystkie te „wyjątki” oznaczają, że zamierza pan zo stać moim adwokatem?
 - Jeśli pani chce.
 - Okay. Zatem co pan proponuje jako mój adwokat?
 - Dyskretnego hipnotyzeru o wysokich kwalifikacjach.
 - Zatem niech pan dzwoni do swego pośrednika - kimkolwiek on jest.
 - Nazywa się Glimm - powiedział Howard Mott. - Enno Glimm.

3

Lewy policzek Enno Glimma znaczyła zmarszczona blizna, która prawie mogła uchodzić za naturalny dołek - podobnie jak jego angielski mógłby ująć za amerykański, gdyby nie było w nim tych cechujących się nadreńskim akcentem „w”, które przekształcały nazwę Wudu Ltd. w bardziej twardo brzmiącą Voodoo Ltd.

Quincy Durant, wietrząc interes, nie próbował poprawiać potencjalnego klienta. Co do blizny, przypuszczał, że mogła być spowodowana przez pocisk małego kalibru, na przykład 0,22 cala albo też przez jakiegoś dziewięcioletniego rozrabiakę, który trzydzieści pięć lat wcześniej w czasie szkolnej rozróby dźgnął Glimmę ołówkiem w lewy policzek.

Tego lutego w Anglii i większej części Europy panowało arktyczne zimno. W Londynie spadło dwadzieścia centymetrów śniegu, a kilka płatków zawirowało nawet na francuskiej Riwierze. Zimno i wilgoć wciskały się wszędzie, łącznie z wyłożonym boazerią konferencyjnym pokojem-biurem Wudu Ltd. Durant wyciągnął z szafy grzejnik o trzech spiralach i wepchnął go do fałszywego kominka, by uzupełnić niewystarczające centralne ogrzewanie.

Enno Glimm siedział w jednym z foteli przy kominku. Nad okapem kominka wisiał duży olejny portret, przedstawiający panią Arthurową Case Wu (byłą Agnes Goriach) i dwie pary bliźniaków Wu.

Siedzące czternastoletnie bliźniaczki wyglądały światowo i lekko figlarnie. Na twarzach stojących siedemnastoletnich braci, Arthura i Angusa, gościły identyczne nieznaczące uśmiešky, które nadawały im nieco groźny wygląd. Artysta genialnie oddał dystygowane rysy matki, jej królewską postawę i nawet błyski w ogromnych szarych oczach, sugerujące, że myśli o czymś sprośnym.

Enno Glimm zignorował portret i siedział zgarbiony w fotelu. Grzał dłonie przed elektrycznym grzejnikiem i marszczył brwi, jakby żałował, że pozwolił Durantowi zabrać swój czarny kaszmirowy płaszcz.

Durant zgadywał, że płaszcz musiał kosztować co najmniej tysiąc funtów lub, co bardziej prawdopodobne, trzy tysiące ma rek. Powiesił go na kunsztownie rzeźbionym wieszaku z czar nego orzecha, prawdopodobnie z 1903 roku, podszedł do drugiego fotela, usiadł, skrzyżował nogi i czekał, aż Glimm powie, co ma do powiedzenia.

Glimm, nadal grzejąc ręce i nie patrząc na Duranta, zapytał:

- Pan Wu dołączy do nas? - tym razem sprawił, że nazwisko Artie'ego Wu zabrzmiało jak *vieux* w *Vieux Carré* i nawet miało francuski akcent.

- Wyjechał - wyjaśnił Durant. - Sprawy rodzinne.

Glimm spojrzał na obraz swymi bladoszarymi oczyma, które według Duranta nie były dużo ciemniejsze i cieplejsze od deszczu.

- Ktoś zachorował? - Glimm nasycił pytanie stosowną w takich sytuacjach porcją troski.

- Jego synowie mają jakieś problemy w szkole.

- Zaniedbują się?

- Coś w tym stylu.

- Uczą się tutaj w Londynie?

- A co? - Durant dopilnował, by w tym pytaniu zabrzmiało ostrzeżenie i możliwie groźba. Jego starania wywołały uśmiech na twarzy Glimma.

- Myślisz, że jestem kidnapierem albo terrorystą?

- Nie wiem, kim jesteś. Może powinniśmy od tego zacząć.

- Słuchaj. Kiedy chodzi o interesy, jakiegokolwiek interesy, lu bię mieć do czynienia z szefostwem, ludźmi kompetentnymi i związłymi. W tym przypadku z tobą i Voo. Więc po przylocie na Heathrow wczoraj w nocy w zamieci...

- Skąd?

Glimm zlekceważył pytanie.

- ...zameldowałem się w „Connaught”, gdzie trzeba zebrać o pokoje, po czym, nie zważając na śnieg, postanowiłem odbyć mały spacer i zajrzeć na Eight Bruton Street, Berkeley Square, centrum Mayfair i tak dalej. Chciałem się upewnić, że Voodoo, Limited, to prawdziwy interes, a nie jedynie jakaś kombinacja zakładu kserograficznego i adresu - rozumiesz, o co mi chodzi? Założyłem, że jeśli okaże się prawdziwy, wtedy przyjdę następnego ranka niespodziewanie i bez zapowiedzi.

- I prawdopodobnie niezbyt mile widziany.

- To się okaże. W każdym razie wchodzę rano do waszej ślicznej małej recepcji i pierwszą rzeczą, na jaką zwracam uwagę, jest to, że nie ma w niej ani śladu ślicznej małej recepcjonistki. Potem zauważam kurz na biurku - niewiele,

ale wystarczająco dużo, bym pomyślał, że nikt tu nie pracował od tygodnia czy dziesięciu dni. Ale co z tego? Może dziewczyna zachorowała i leży w łóżku?

Durant uśmiechnął się lekko.

- Chwilowa niedyspozycja.

- Właśnie tak pomyślałem. I skoro nikt mnie nie przyjmuje, pukam do drzwi z napisem PRYWATNE i czekam na otworzenie wszystkich tych zamków, zasuw i łańcuchów. W końcu drzwi stają otworem, a w nich pojawia się facet ubrany zdecydowanie za lekko jak na luty - facet, który mierzy metr osiemdziesiąt pięć i waży jakieś osiemdziesiąt kilogramów. Już dawno stuknęła mu czterdziestka, prawdopodobnie ma więcej niż czterdzieści pięć lat, ale porusza się z lekkością dwudziestolatka. No dobra, człowieka pod trzydziestkę. I od razu wiem, że to nikt inny, jak ten pieprzony Durant - a właśnie w taki sposób każdy, z kim rozmawiałem, nazywał ciebie.

- Jakież referencje? Glimm skinął głową.

- Wymień dwie - powiedział Durant.

- Znałeś kapitana policji w Manili, niejakiego Cruza?

- Znałem porucznika policji Hermenegildo Cruza.

- Awansował - rzekł Glimm. - A co z Maurice'em Overbym w Ammanie?

Wyraz twarzy Duranta uległ nieznacznej zmianie - skóra napięła się wokół jego ust. Ale po chwili odprężył się i zapytał:

- Co Overby robi w Jordanii?

- Twierdzi, że analizuje osobisty system bezpieczeństwa DMK.

- Sam?

- Mówi, że jego głównym źródłem aktywów, cokolwiek to oznacza, jest doktor Booth Stallings, światowej sławy ekspert od terroryzmu, o którym nigdy nie słyszałem. A ty?

Durant pokiwał głową.

Glimm pozwolił sobie na kolejny nieznaczny uśmiech.

- Zauważyłem, że nie zapytałeś, co to jest DMK. Ja też nie wiedziałem, więc postanowiłem zasięgnąć wieści u źródła. U Overby'ego, w Ammanie, w Jordanii. Dzwonię więc do niego - cóż, nieważne, dokąd - daje do zrozumienia, co to nie on, i mówi, DMK to Dzielny Młody Król, jak wszyscy starzy zawodnicy z Bliskiego Wschodu nazywają Króla Hussejna. - Glimm zamilkł na chwilę. - Chociaż ostatecznie nie jest już taki młody, prawda?

- Overby powiedział ci, że jest starym zawodnikiem z Bliskiego Wschodu?

- Uważasz, że nie?

- Uważam, że to kolejny fascynujący i dotychczas nie ujawniony rozdział w życiu pana Overby'ego.

- Okay. Więc jest kłamcą. Kogo, do diabła, obchodzi Overby? Co z tobą? Czy kiedykolwiek byłeś na Bliskim Wschodzie? Mam na myśli interesy.

- W Bejrucie - odparł Durant.

- Kiedy?

- Kilka lat temu.

- To znaczy wtedy, gdy było tam raczej niebezpiecznie, prawda?

Durant w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami i czekał na ciąg dalszy, który, jak założył, będzie konkretny. Zamiast tego zapadła cisza, która ciągnęła się i ciągnęła, póki Glimm nie założył nogi na nogę i nie poprawił się w fotelu. Ponieważ Durant nigdy nie bał się milczenia, przeczekiwał je z uprzejmym uśmiechem, i Glimm w końcu położył mu kres kolejnym pytaniem.

- Co robiłeś w Bejrucie?
- Szukałem czegoś.
- Znalazłeś go?
- Chyba nie mówiłem, że szukałem Jego".
- Okay. Jego? Ją? Coś?
- Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

- „My” to znaczy ty i pan Voo, prawda? - Glimm, nie czekając na potwierdzenie, mówił dalej, a jego ton był obcesowy i mało uprzejmy. - Tym, czego szukaliście w Bejrucie, było ciało kogoś bardzo ważnego. Słyszałem, że pewna bardzo ważna wdowa pragnie dostać milion dolarów z polisy swego zaginionego i przypuszczalnie nie żyjącego męża, ale nie chce czekać siedmiu lat - czy ile tam trzeba - na prawne uznanie go za martwego. A jej mąż - czy ktoś, dla kogo pracował - musiał płacić horrendalne składki ubezpieczeniowe, skoro towarzystwo ubezpieczeniowe zgodziło się odstąpić od swych zasad. Pewne jak cholera, że to zrobiło, w przeciwnym wypadku wdowa nie wynajęłaby ciebie i Voo do znalezienia dowodu - albo być może kupienia go od kogoś - że mąż nie żyje.

- Powiedz mi coś - wtrącił Durant. - Tak naprawdę nie masz kłopotów z wymawianiem „w”, dlaczego więc przekręcasz na zwisko pana Wu? Czy to test? Chwył reklamowy? A może uważasz to za objaw sprytu i inteligencji?

Po kościstej twarzy Glimma przemknął uśmiech. Jego blade oczy zmrużyły się z przyjemności czy nawet zadowolenia i Durant przygotował się, że usłyszy chichot, który jednak nie nastąpił. Ale Glimm z zadowolonym wyrazem twarzy powiedział:

- To test.
- I jak wypadłem?

Glimm zerknął na zegarek.

- Nieźle. Wytrzymałeś dwanaście minut. To znaczy, że jesteś dostatecznie głodny, ale nie wygłodzony.

Durant nie odpowiedział, lecz zdawało się, że Glimm wcale na to nie liczył. Mówił dalej z potoczystą pewnością siebie doświadczonego sprzedawcy, który zdecydował, że nadszedł czas, by przejść do interesów.

- Oto jak to działa: ilekroć z kimś negocjuję, zawsze źle wymawiam albo imię faceta, albo nazwę jego kompanii.

- Albo jedno i drugie - dopowiedział Durant.
- Tak. Racja. W tym przypadku jedno i drugie.
- Dlaczego?

- Ponieważ jeżeli facet poprawia mnie od razu, wiem, że nie jest głodny. Jeżeli robi to po dziesięciu czy piętnastu minutach, jest po prostu średnio głodny. Ale jeśli wcale mnie nie poprawi, wiem, że jest praktycznie zagłodzony na śmierć, i że nie warto prowadzić negocjacji.

- My niczego nie negocjujemy.
- Wręcz przeciwnie.

4

Artie siedział przed biurkiem dyrektora szkoły na masywnym, liczącym sobie sto dwadzieścia jeden lat drewnianym krześle, na którym przysiadły niezliczone rzesze chłopców nerwowo machających nogami i oczekujących na

swój los ze łzami w oczach.

Wu, ze swymi stu osiemdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu i wagą dochodzącą do stu dwudziestu kilogramów, był zbyt masywny, by przycupnąć gdziekolwiek. Jednak udało mu się usadowić tak, że mógł się odprężyć, nieledwie przybrać nonszalancką pozę - a nawet oderwać nogi od podłogi, gdy odchylił się na oparcie. Słuchał Perkina Ramsaya, dyrektora szkoły, który wyliczał zarzuty odnoszące się do bliźniaków Wu: Arthura i Angusa.

Zarzuty płynęły tak długim i monotonnym potokiem, że Wu obawiał się, iż mogą nigdy się nie skończyć. Spojrzał w górę, podziwiając kamienne sklepienie potężnej sali, później w lewo, na kominek, którego palenisko było tak wielkie, że - o ile miało się nie więcej niż metr pięćdziesiąt z groszami - można było swobodnie do niego wejść.

Szkoła, która podjęła się edukacji bliźniaków Wu, leżała kilka kilometrów na północ od Edynburga. Zajmowała mały zamek, który ukończono około 1179 roku, i który nadal znajdował się w nadzwyczaj dobrym stanie. Mieściła się tutaj od roku 1821, kiedy to wielebny Robert Cameron zdołał przekonać zamożnych rodziców swych potencjalnych pierwszych wychowanków, że uda mu się przekształcić ich małe potworki w małych dżentelmenów. Od tamtego czasu wszyscy Goriachowie uczęszczali do Camerona i Angusa Goriach - Wu nie widziała powodu, dla którego jej bliźniaczy synowie nie mieliby kontynuować tej rodzinnej tradycji.

Dyrektor zakończył wyliczanie oskarżeń, wyciągnął z kieszeni olbrzymią chusteczkę i delikatnie przedmuchał najpierw jedną dziurkę, potem drugą. Jasnoróżowy nos, cienki i ostro zakończony, wylaniał się pomiędzy zapadniętych policzków i głębokich oczodołów, w których kryły się wstrząsająco błękitne oczy. Wysokie czoło pięło się w górę i w tył nad błękitnymi oczu i kończyło dość daleko cofniętym gąszczem rudych włosów.

Gdy Perkin Ramsay odłożył chusteczkę, Wu odezwał się po raz pierwszy od prawie piętnastu minut.

- Mówi pan, że bliźniaki wysłały pięciu z nich do szkolnej izby chorych?

Ramsay westchnął melancholijnie.

- Proszę tym razem posłuchać uważnie, panie Wu: pięciu chłopców zostało hospitalizowanych w szpitalu w Edynburgu - nie w naszej izbie chorych. Agnus i Arthur zostali zaatakowani przez ośmiu chłopców mniej więcej w ich wieku i ich wzroście. Trzech z tych ośmiu zdołało uciec, by mi o tym powiedzieć. To nie była uczciwa bójka.

- Ośmiu przeciw dwóm? Oczywiście, że nie.

- Chodzi mi o to, że to pańscy synowie nie walczyli uczciwie. Artie Wu wyglądał tak, jakby kamień spadł mu z serca.

- Czy posłużyli się czymś, co leżało w pobliżu? Kamieniami? Kawałkiem kija? Metalową rurką stosownej długości?

- Używali rąk, stóp, kolan i łokci.

- Jak długo to trwało?

- Trzy czy cztery minuty. Nie więcej. Wu wyciągnął długie, grube cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki, spojrział na nie z wyraźną tęsknotą, po czym schował je z powrotem.

- Mówi pan, że zaczęło się od przezywania?

- Tak

Wu z zadumą pokiwał głową - tak, jakby wszystko stało się jasne.

- Więc tych ośmiu wyzywało moich synów, potem skoczyło na nich i zarobiło parę ciosów, które ich lekko nadwerzężyły. Ze też łobuzy nadal czerpią satysfakcję z używania wszystkich tych jakże starych wyzwisk, takich jak żółtek, skośnooki, ryżojad, chiniec i...

Prawa ręka Ramsaya powędrowała w górę, wnętrzem dłoni w stronę Wu, w geście policjanta zatrzymującego rozpędzone auto. Wu umilkł, a dyrektor zapytał:

- Czy słucha mnie pan uważnie, panie Wu? Wu skinął głową.

- Doskonale. Przez minione dwa miesiące próbowałem skontaktować się z panem telefonicznie bądź listownie, ale bez skutku.

Na twarzy Wu pojawił się wyraz umiarkowanie uprzejmego zainteresowania, a jego ton stał się dobrotliwy.

- Aha, o to chodzi.

- Tak, panie Wu. O to. Czy, ściślej, o te. O opłaty. Wciąż pozostają nie uiszczone.

Artie Wu znowu wyciągnął cygaro z kieszeni, lecz tym razem wetknął je do ust. Zaciśnął zęby, po czym rozwarł je na tyle, by warknąć:

- Była bójka?

- Dokładnie jak opisałem - rzekł Ramsay. - Bliźniaki, według relacji świadków, byli straszni. Wu zapalił cygaro i wyjął je z ust.

- Zdaje się, że jakiś czas temu przypomniałem pani Wu, by zajęła się opłatami i wysłała czek

Zapas cierpliwości Ramsaya został wyczerpany. Wyglądało na to, że dyrektor ma zamiar wystrzelić z fotela, ale powstrzymał się, wstał wolniej i, opierając dłonie płasko na biurku, pochylił się w stronę Artiego Wu.

- Chciałem zobaczyć pana w tej sali, na tym krześle, w jednym celu: aby poinformować pana, nie, zagwarantować panu, iż jeśli opłaty nie zostaną uregulowane dzisiaj, nie jutro, ale dzisiaj, bliźniaki po południu odjadą z panem do Lon...

Zadzwonił telefon. Ramsay złapał słuchawkę, szczeeknął: - Słucham! - posłuchał, zmarszczył brwi, powiedział: - Chwileczkę - i podał słuchawkę Wu.

Wu usłyszał głos Duranta:

- Trzymam w rękach potwierdzony czek wystawiony na Barclays Bank na dwadzieścia pięć tysięcy funtów od naszego nowego klienta, niejakiego Enno Glimma. Pieniądze zostaną zde ponowane za jakieś sześć minut i znowu będziesz wypłacalny.

- A czego chce w zamian ten Glimm?

- Mamy znaleźć parę hipnotyzerów, brata i siostrę, którzy zaginęli.

- Gdzie?

- A kogo to obchodzi?

- Wielce rozsądne nastawienie - powiedział Wu. - Będę jutro rano.

- Mamy spotkanie z Glimmern o drugiej.

- Będę na czas. - Wu odwrócił się i odłożył słuchawkę.

- Dobre wieści? - zapytał Ramsay.

- Ho ho! - Wu wyjął z kieszeni marynarki książeczkę czekową, rozłożył ją na biurku, poklepał inne kieszenie, po czym uśmiechnął się promiennie do Perkinsa Ramsaya i spytał: - Czy ma pan pióro?

Synowie Artiego Wu, którzy siedzieli naprzeciwko ojca w barze „Carriages” hotelu „Caledonian” przy Princes Street w Edynburgu, obserwowali, jak Wu drugi raz tego samego dnia podpisuje czek. Arthur i Angus mieli przed sobą kufle piwa. Przed ich ojcem stała duża i jeszcze nienaruszona whisky.

Wu wydarł czek i podał go Arthurowi, synowi starszemu o dziewięć minut. Ten spojrzął na liczbę, podniósł brwi i podał czek bratu.

Angus przez chwilę oglądał go uważnie, po czym powiedział: - Czteryście funtów. - Pozwolił, by jego pełen zwątpienia ton dostatecznie jasno zobrazował widmo niedostatecznych funduszy.

- To wszystko - rzekł stanowczo Wu. - I musi wystarczyć wam do końca następnego miesiąca, wtedy przyślę wam więcej. Jak na razie, wasze jedyne zadanie polega na ukończeniu szkoły. Latem możecie powrócić się do kontynencji, a w sierpniu ruszacie do Princeton.

Angus oddał czek bratu i przez chwilę bacznie przyglądał się ojcu.

- Czy naprawdę zastanawiałeś się, ile będzie kosztowało wysłanie nas na cztery lata do Princeton?

Wu napił się whisky i przebiegł w myślach kilka liczb.

- Jakież sto sześćdziesiąt tysięcy. Oczywiście, cztery lata, bez zbytek. Jeśli będziecie chcieli poszaleć, spróbujcie pokera.

- Jak ty i Durant? - zapytał Angus.

- My robiliśmy różne rzeczy.

- Durant mówił, że wyciągaliście przeciętnie sześćset dolarów miesięcznie - powiedział Arthur - i to w czasach, gdy dolar wart był trzy czy cztery razy więcej.

- Mieliśmy dość jak na nasze potrzeby.

- Durant mówił też, że w Princeton kręciło się wielu dzielnych facetów, którzy aż się palili, żeby zasiąść wieczorem do kart z pretendentem do tronu Cesarstwa Chińskiego i jego milczącym, zawsze obecnym strażnikiem.

Wu uśmiechnął się i pokiwał głową, jak gdyby rozpamiętywał przeszłość. W rzeczywistości przyglądał się swoim synom i z prawie krępującą satysfakcją odkrywał raz jeszcze, że są równie podobni do niego, co do żony.

Mieli jego wzrost, ale budowę matki. Jego leniwy uśmiech i jej zwinne ruchy. Jego czarne włosy i jej szare oczy, które razem z mongolskimi fałdami Wu nadały bliźniakom to, co oni nazywali rasowym ameroazjatyckim wyglądem absolwenta ekskluzywnej szkoły.

- Podobało ci się w Princeton? - zapytał Arthur.

Wu popatrzył podejrzliwie na Arthura, potem na Angusa.

- Za każdym razem, gdy czegoś chcecie, bierzecie mnie pod włos i próbujecie nastroić na sentymentalną nutę. Tak jak teraz. O co chodzi?

Bliźniacy wymienili spojrzenia i Angus wygrał rzut niewidzialną monetą.

- Wiemy, gdzie tego lata można zarobić kupę forsy.

Wu włożył do ust nowe cygaro i przed zapaleniem zapytał:

- Przy czym?

- To rodzaj międzynarodowego programu letniego - odparł Arthur.

Wu zaciągnął się i powiedział:

- Tego typu rzeczy nigdy nie przynoszą wielkiej forsy.

- Ta przyniesie - zapewnił Angus.

- Gdzie i co? Tylko konkretnie.

- W Kuwejcie - poinformował Angus. - To znaczy w tydzień czy miesiąc po

zakończeniu wojny. Całe tony forsy będą przelewały się w czasie odbudowy i ta firma konsultingowa, od której to wiemy, już trzyma rękę na pulsie. Ale firma potrzebuje pracowników, amerykańskich pracowników, i chętnie im zapłaci.

- Co to za firma?

- Stowarzyszenie Overby-Stallings.

Artie Wu zmrużył oczy, a twarz mu znieruchomiła. Wygląd dała jak kamienna, nieruchoma maska. Po chwili usta poruszyły się.

- Overby jak Maurice Overby? Arthur uśmiechnął się.

- Jak wujek Otherguy, tato.

Agnes Wu siedziała przed toaletką w pokoju hotelu „Caledo nian”. Szczotkowała włosy i słuchała, jak jej mąż słowo po słowo wie relacjonuje rozmowę telefoniczną z Quincym Durantem.

Wu w trakcie relacji pakował się. Robił to automatycznie; pra wie nie myśląc składał to, co miało być złożone i upychał byle jak to, co kwalifikowało się do prania. Pakował rzeczy do zno szonego skórzanego sakwojaża z mosiężnymi okuciami, który pani Wu nazywała walizką, a on torbą.

Włosy, które Agnes Wu pielęgnowała tylko z niewielką ingerencją fryzjera, nadal posiadały najbledszą barwę jasnego złota. Teraz przeciągnęła po nich ostatni raz szczotką - miała nadzieję, że setny - odwróciła się od lustra, zwróciła na męża wielkie szare oczy i powiedziała:

- Cholera, to się nazywa zbieg okoliczności. Quincy zadzwonił w najodpowiedniejszym momencie. Wu podniósł z popielniczki nie do końca wypalone cygaro.

- Zbiegi okoliczności rzadko są czymś więcej niż splotem dobrych lub złych pomniejszych wypadków. Telefon Quincy'ego nie był niczym innym. Dostał czek od Glimma, wiedział, że idzie nam kiepsko, więc zadzwonił.

Agnes Wu podniosła się z wyściełanego taboretu przed toaletką. Podeszła do okna, popatrzyła w dół na Princes Street, po której snuli się nieliczni i na wpół zamarznięci przechodnie, po czym zapytała:

- Czy naprawdę możemy pozwolić sobie na Princeton?

- To jest problem na sierpień-wrzesień. Na razie mamy luty. Ale nikogo nie stać na jednoczesne posyłanie dwójki dzieciaków do Princeton, jeśli nie znajduje się w dwóch czy trzech procentach najlepiej zarabiających - a mam nadzieję, że znów znajdziemy się wśród nich we wrześniu.

- W takim razie liczysz na *Herr Glimma*?

- Co nieco.

- Może powinienes dowiedzieć się tego, co trzeba. Wu wydmuchnął grube kółko dymu.

- Ty możesz zrobić to szybciej.

Agnes Wu odwróciła się. Na jej twarzy, całkowicie ją zmieniając, zagościł szeroki uśmiech. Chłodny, odległy wyraz ustąpił czemuś beztroskiemu, wesołemu, a nawet nieco szelmowskiemu.

- Przez kuzyna Duncana?

- Pieniądze znają pieniądze - rzekł Wu. - Jeżeli Glimm je ma, Duncan będzie o tym wiedział.

- Prawdę mówiąc, skoro już tu jestem, powinnam się z nim zobaczyć. Mogłabym pochwalić się dziećmi, sprzedać Duncanowi kilka londyńskich plotek i dowiedzieć się, czy nadal gniewa się na ciebie i Quincy'ego za to, że

nie pozwoliliście mu zainwestować w Wudu.

- Skoro powstrzymaliśmy go przed wpakowaniem forsy w cholernie bliski zbankrutowania interes, nie powinien mieć powodów do złości.

Kuzynem, nie mającym o co się gniewać, był sir Duncan Goriach, sześćdziesięcioletni tytułarny szef klanu Goriachów, który został uszlachcony w 1984 za usługi oddane Koronie - usługi te w większej części polegały na robieniu wielkiej forsy w nie licznym gronie wybrańców w czasie boomu naftowego na Morzu Północnym.

- Duncanowi nie chodziło o pieniądze - powiedziała Agnes Wu. - Pomyślał, że ty i Quincy prowadzicie ekscytujące, burzliwe życie i postanowił kupić sobie jakiś zastępczy udział. Ale wracając do sprawy - zadzwonię do niego i wproszę się do Aberdeen na długi weekend.

- Jest coś, o czym musimy najpierw porozmawiać.

Agnes odeszła od okna i przysiadła na skraju łóżka obok skórzanej walizki. Złożyła ręce na kolanach i przybrała obojętny wyraz twarzy - jak zawsze wtedy, gdy spodziewała się straszliwych nowin. W czasie swego małżeństwa robiła taką minę częściej, niż według niej było to konieczne.

Wu milczał przez dłuższą chwilę, więc przynagliła go:

- Więc?

Wu wydmuchnął kolejne kółko dymu, tym razem pod sufit.

- Chłopcom zaproponowano letnią pracę.

- Gdzie?

- W Kuwejcie.

- Kto?

- Otherguy Overby.

Obojętny wyraz twarzy Agnes Wu zniknął. Chłodne dotychczas oczy ożywiły się. Głos opadł do niższych rejestrów, co sprawiło, że jej słowa zabrzmiały niczym nie cierpiące zwłoki ostrzeżenie.

- Nie mów im „nie”. Jeżeli to zrobisz, wyparują.

- Pojadą bez względu na to, co powiem. Dla nich Otherguy jest koronowanym księciem zabawy.

Zapadła kolejna krótka chwila ciszy, gdy Agnes Wu zastanawiała się nad tym, co trzeba zrobić. Podjęła decyzję i wydała rozkaz - chociaż brzmiało to tak, jakby prosiła męża o podanie solniczki. Ale Wu wiedział, jak się sprawy mają i jej słowa przyprawiły go o lekkie erotyczne drżenie, gdy powiedziała:

- Powstrzymaj go, Artie.

Artie Wu wydmuchnął pod sufit ostatnie kółko i uśmiechnął się do niej.

- Nie mam zamiaru powstrzymywać Otherguya - odparł. - Zamierzam go wynająć.

5

W barze hotelu „Inter-Continental” w Ammanie jedynie dwaj mężczyźni mieli na sobie garnitury i krawaty. Pozostali, w więk szości europejscy i amerykańscy korespondenci, skupiający się przy końcu długiego baru lub siedzący po dwóch czy trzech przy stolikach, przeważnie mieli na sobie pseudomilitarne stroje pustynne, najprawdopodobniej przysłane z sieci „Banana Re public”. Najbardziej faworyzowane były kurtki safari, bądź też ich

bliscy kuzyni.

Starszy z dwóch ubranych w garnitury mężczyzn miał gęstą, krótko przyciętą i szarą jak cyna czuprynę oraz porządnie pobrużdżoną twarz, która z łatwością mogła przynależeć do prezesa zarządu małej drapieżnej międzynarodowej firmy oferującej ezoteryczne, a nawet podejrzane usługi. Młodszy miał ciemnobrązowe włosy poprzetykane siwizną, ponure oczy i obojętny wyraz twarzy - doskonale pasował do człowieka do zadań specjalnych, który wynajmował, strzelał i rozdawał łańcuchy w imieniu starszego.

Obaj pili szkocką z wodą. Starszy dopił drinka, zagrzechotał kostkami lodu, popatrzył na młodszego i powiedział:

- Opowiedz mi jeszcze raz o królikach.

Mężczyzną, który chciał jeszcze raz usłyszeć o królikach, był Booth Stallings - ekspert od terroryzmu, doktor filozofii, autor "Anatomii terroryzmu", były konsultant Białego Domu i specjalista od uzyskiwania subwencji - który pięć lat wcześniej, w wieku sześćdziesięciu lat, rzucił to wszystko i wybrał przygodę.

- O jakich królikach? - zapytał Maurice Overby, znany licznym agencjom, zajmującym się egzekwowaniem prawa, jako Otherguy Overby. Przez całe lata Overby protestował - z dużym powodzeniem - że to nie on, ale jakiś inny facet zrobił to, w związku z czym gliny chciały go przesłuchać. Overby, zazwyczaj wpętany w różnego rodzaju przedsięwzięcia - niektóre nawet zgodne z prawem - był tego typu człowiekiem, który najpierw zdobywa zaufanie bliskich, a potem bezpiecznie je wykorzystuje, a robił to tak dobrze, że zyskał podziw sobie podobnych.

Po tym, jak Overby wyparł się wszelkiej wiedzy na temat królików, Stallings ze smutkiem pokiwał głową i rzekł:

- Jeżeli nic nie wiesz na temat królików Steinbecka, zatem opowiedz mi raz jeszcze o tej cudownej ofercie pracy od Artie'ego Wu, która może zmaterializować się w każdej sekundzie.

- Dlaczego chcesz usłyszeć o tym po raz drugi?

- By rozproszyć wątpliwości.

Overby zadbał, by w jego głosie dało się wyczuć zmęczenie.

- Okay. Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu wpadliśmy w barze na hrabiego von Lahusena?

- Wieczory z grafem von Lahusenem należą do niezapomnianych.

- Co zrobiłbyś, gdybyś spędził dwa miesiące w NRD, czy też w tym, co pozostało po NRD, próbując odzyskać swe rodowe dobra, i usłyszałbyś: „Spierdalaj, hrabio”?

- Przy trzecim opowiadaniu tej smutnej historii poszedłem do łóżka.

- I opuściłeś najlepszą część - powiedział Overby. - Słuchaj. Ja, hrabia, Artie i Durant znamy się od kilku lat i nawet raz czy dwa robiliśmy wspólnie interesy, wiesz o co mi chodzi?

- Gdzie?

Overby skinął generalnie w kierunku Morza Południowo-chińskiego.

- Głównie tam. Na skraju. Gdzieżby indziej? W każdym razie, hrabia powiedział, że był w Berlinie jakiś tydzień czy dziesięć dni temu i zatrzymał się w „Am Zoo”, gdzie otrzymał telefon od faceta nazwiskiem Enno Glimm.

- To Niemiec?

- A kim innym mógłby być z takim nazwiskiem?
- Austriakiem. Może Szwajcarem? Overby zignorował sugestię.
- Glimm chciał od hrabiego szczegółowego raportu na temat Voodoo Ltd. Na początku hrabia był przekonany, że gówno wie o Voodoo Ltd., dopóki nie wpadło mu do głowy, że Glimmowi na pewno chodzi o Wudu Ltd., firmę Artie'ego i Duranta założoną w Londynie tuż przed wielkim krachem na rynku w osiemdziesiątym siódmym.
- Powinni ostrożniej inwestować swoje pieniądze - jak ty i ja.
- Nie zaczynaj - powiedział Overby. - Zarobienie miliona, z którym przyleciałeś z Hongkongu, zajęło ci mniej niż dwadzieścia dni, a stracenie go około osiemnastu miesięcy. Przynajmniej większej części sumy. A przez chwilę na papierze byłeś wart dwa, prawie trzy miliony.
- Słaba pociecha, Otherguy. Bardzo słaba. Ile stracili Wu i Durant?
- Słyszałem o pół miliona na osobę.
- Czuję się lepiej. Teraz możesz dokończyć, co hrabia powiedział Herr Glimmowi.
- No cóż, von Lahusen nie powiedział nic złego o Artiem czy tym pieprzonym Durancie, co samo w sobie było wspaniałą reklamą. Jednak Glimmowi to nie wystarczyło i chciał wiedzieć, u kogo jeszcze mógłby ich sprawdzić. Hrabia powiedział, żeby zadzwonił do mnie do hotelu i on to zrobił.
- Co potem?
- Glimm zapytał mnie o Artiego i Duranta, a ja zapytałem, dlaczego o nich wspomina. Oczywiście, nic mi nie odpowiedział, ale mogę przypuszczać, że chodzi o jakiś tłusty kasek. Tak więc powiedziałem mu, że Artie i Durant są najlepsi w branży - chociaż Durant potrafi być wszawym sukinsynem. Glimm stwierdził, że właśnie tego potrzebuje, podziękował mi i rozłączył się. Zastanawiałem się przez parę minut, potem zadzwoniłem do bliźniaków Artie'ego, Arthura i Angusa, do ich szkoły pod Edynburgiem. W Szkocji.
- Ta ostatnia informacja była mi bardzo potrzebna - powiedział Stallings. - A teraz zamierzasz powiedzieć, dlaczego do nich zadzwoniłeś, prawda?
- Zaproponowałem im letnią pracę w Kuwejcie po wojnie -pracę, za którą zapłacę im trzy tysiące dolarów za każdy miesiąc.
- Słodki Jezu - wyszeptał Stallings.
- Uśmiech, którym Overby miał obdarzyć Stallingsa, powinien być, wedle wszelkich reguł, twardy, wyrachowany, a nawet okrutny. Zamiast tego był łagodny, nieledwie delikatny i co dziwne - pełen zadowolenia. Stallings widywał go wcześniej i zawsze myślał, że jest to Uśmiech Chrześcijanina Rzucanego na Pożarcie Lwom.
- Overby, nadal z uśmiechem na twarzy, powiedział:
- Zaproponowałem im pracę pod warunkiem, że uzgodnią to ze swoimi rodzicami, szczególnie z matką i to dlatego Artie w każdej chwili może zadzwonić z ofertą pracy.
- Stallings powoli pokręcił głową.
- Teraz, Otherguy, przestałem nadażać.
- To proste. Bliźniaki mają siedemnaście czy osiemnaście lat. Powiedzą swoim rodzicom o Kuwejcie, a wtedy Agnes wpadnie w szal i powie Artiemu, bardzo spokojnie, jak to ona, że jej sy nowie nie spędzą letnich wakacji w szponach Otherguya Overby'ego. - Przerwał, jak gdyby sprawdzając, czy mówi logicznie, skinął uspokajająco i kontynuował; - Oczywiście nic by z tego nie

wyszło, gdybym nie wiedział, w jaki sposób myśli Artie.

- To znaczy? - zapytał Stallings, z rezygnacją godząc się na rolę zadającego pytania.

- Artie nigdy nie zabroni swoim synom robić tego, co sam robił w ich wieku. Ale również musi się liczyć ze zdaniem Agnes. Więc teraz będzie przekładał elementy układanki, dopóki nie utworzą mu nowego wzoru.

- A ty jesteś jednym z elementów? Overby skinął głową.

- I ty również. Artie zdecyduje się wynająć mnie, a wtedy powiem mu, że jesteś częścią interesu. On zgodzi się, a ja za-

dzwonię do bliźniaków i powiem im, że robota w Kuwejcie nie wypaliła, ale może spróbujemy w przyszłym roku. W ten sposób dzieciaki nie poczują się zranione, Agnes będzie szczęśliwa, a Artie zyska dwóch facetów, na których będzie mógł polegać w sprawie Glimma, jakakolwiek by ona była.

Booth Stallings wstał powoli i ze strachem popatrzył na Overby'ego.

- Czy naprawdę istnieją umysły takie jak twój? Po krótkim namyśle Overby odparł:

- Tak, przypuszczam, że jest jeszcze kilka.

O 1.08 nazajutrz w nocy Bootha Stallingsa przebudziło pukanie do drzwi hotelowego pokoju. Otworzył je, a wtedy do pokoju wkroczył Overby. Emanował nawet większą niż zazwyczaj pewnością siebie.

- Właśnie rozmawiałem z Artie'em. - Overby podszedł do biurka i nalał sobie miarkę whisky Stallingsa.

- I?

- I pojutrze jadę do Londynu, a ty, no cóż, musisz zdążyć na następny lot do Manili.

Stallings miał wrażenie, że coś eksplodowało mu w piersiach. Wiedział, że to nie atak serca, ponieważ nie czuł bólu. Wiedział też, że nie jest to strach czy też jego gorszy bliźniak, przerażenie, ponieważ znał dobrze jedno i drugie. To nienazwane odczucie, czymkolwiek było, spowodowało, że tętno skoczyło mu do 130 uderzeń na minutę, i wywołało posmak miedzi w ustach, który nie był nieprzyjemny, ale nie można było się go pozbyć. Wtedy nagle odkrył, co to jest, i nadał wrażeniu jedyną właściwą nazwę - dzikie oczekiwanie.

Gdy zorientował się, że Overby patrzy na niego z zacieka wieniem, odetchnął głęboko przez nos i kaszlnął, by upewnić się, że głos go nie zawiedzie.

- Co jest w Manili? - zapytał.

- Przyjęcie powitalne.

- Czyje?

Overby znowu błysnął uśmiechem łagodnego wyrachowania.

- Georgii Blue. Udało jej się wyjść, a Artie mówi, że on i Durant chętnie skorzystają z usług twoich, moich i jej.

- W porządku - powiedział Stallings. Nie ufając własnemu głosowi, wołał niczego więcej nie dodawać.

- Artie zastanawiał się, czy nadal jesteś w niej zakochany. Nie, żeby to stanowiło jakąś różnicę - był tylko ciekaw. Powiedziałem mu, że zapytam.

Overby czekał. Kiedy Stallings nie odezwał się, rzekł:

- No to co mam mu powiedzieć?

- Że to nie jego pieprzony interes - odparł Booth Stallings.

Podróż brytyjskimi kolejami z Edynburga trwała zamiast za powiadanych pięciu - siedem godzin. Artie Wu ze skórzaną torbą w ręku wysiadł na dworcu Victoria o 7.04 rano. Jednak zamiast udać się do domu, który wynajmował w St. John's Wood czy też do biura Wudu Ltd. w Mayfair, pojechał taksówką do małego mieszkania Duranta w Maida Vale.

W połowie lat siedemdziesiątych ostrożny spekulant kupił i wypatroszył wielki, dość wiekowy piętrowy dom przy Ashworth Road, dzieląc go na to, co nazwał czterema luksusowymi mieszkaniami - dwoma na piętrze i dwoma na parterze. Mieszkania na piętrze posiadały wspólną klatkę schodową, ale te na dole miały osobne wejścia. Durant zajmował lokal po lewej.

Mieszkał tutaj prawie trzy lata, ale o swoich sąsiadach wiedział niewiele i do mieszkającego również na parterze czterdziestodwuletniego kawalera, weterynarza zajmującego się jedynie pieskami i kotami, mówił niewiele więcej niż: „Miłego dnia” czy „Dzień dobry”. Pięćdziesięcioletnia para, która mieszkała nad nim, była tak anonimowa, że poznawał ją na ulicy tylko dzięki temu, iż żona była o piętnaście centymetrów wyższa od maleńkiego męża. O ślicznej blondynce, która mieszkała samotnie - przez większość czasu - nad weterynarzem, wiedział tylko to, że w powszedni dzień wychodzi rano punktualnie o 8.25, szybko pędzi ulicą do rogu, a tam skręca w kierunku stacji metra przy Elgin Avenue.

Artie Wu, z torbą w dłoni, zapłacił taksówkarzowi, minął małą dekoracyjną żelazną furtkę i krótkim chodnikiem podszedł do drzwi Duranta. Zadzwoił dwa razy i zdążył doliczyć do czterdziestu jeden, nim drzwi otworzyła kobieta po trzydziestce, ubrana w jedną z błękitnych oksfordzkich koszul Duranta i praktycznie nic poza tym. Obrzuciła Wu długim zimnym spojrzeniem i powiedziała:

- Jest pan trochę za wielki, by wychodzić tak wcześnie.
- Przyszedłem odebrać dług, panienko - warknął Wu z najlepszym akcentem z East Endu.
- Przypuszczam, że jest pan Wu z Wudu. Więc niech pan wejdzie, zanim oboje zamarzniemy.
- Kto to? - zawołał Durant stłumionym przez ściany i odległość głosem.
- Chiński dżentelmen! - odkrzyknęła kobieta, prowadząc Wu do salonu. - Chce strzelić ci w kolano za niepłacenie długów.
- Daj mu filiżankę herbaty - zawołał Durant z sypialni.

Kobieta rozstawiła nogi, oparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach, prowokując Wu swoim zimnym spojrzeniem. Teraz zauważył, że miała na sobie nie tylko koszulę Duranta, ale również jego grube białe sportowe skarpetki.

- Jestem Jenny Arliss, nocna zmiana. Herbaty?
- Artie Wu. Poproszę z mlekiem, bez cukru.
- Rzuć gdzieś swój bagaż i płaszcz - powiedziała, znikając za wahadłowymi drzwiami kuchni.

Ponieważ Durant przez większość życia mieszkał w hotelach, Wu zawsze uważał, że mieszkanie na Ashworth Road powinno przypominać wygodnie umeblowany mały apartament na ósmym piętrze jakiegoś starszego hotelu. Zamiast tego wnętrze tworzyło prawie doskonałą współczesną wystawę

muzealną pod tytułem: Jak mieszkaliśmy w latach trzydziestych i czterdziestych".

Dziewięćdziesiąt procent wyposażenia salonu powstało przed przyjściem Duranta na świat. Sto procent z tego zostało wybrane przez właściciela, ostrożnego spekulanta, który przysięgał, że wartość rzeczy podwaja się co trzy lub cztery lata, a nawet

twierdził, że zna „pewnych facetów”, którzy „gotowi byliby zabić za kawałek tego ślicznego linoleum z czterdziestego czwartego”.

Kominek w salonie wypełniony był plastikowymi imitacjami brył węgla, które po wciśnięciu przełącznika jarzyły się czerwonym blaskiem. W pobliżu stały dwa dopasowane fotele w kształcie skrzynek obitych skórą zebry - a przynajmniej czymś, co ją przypominało. Obok nich znajdował się lśniący barek z chromu, szkła i hebanu, który po otwarciu odgrywał kilka pierwszych taktów „I can't Get Started With You” Gershwina.

Na ścianach wisiały czarno-białe artystyczne fotografie wielkoformatowe, przedstawiające Paryż, Nowy Jork, Londyn i Rzym z lat dwudziestych i trzydziestych. Tapeta była w pionowe szare pasy o różnej szerokości i w różnych odcieniach. W pobliżu bardzo długiej różowej kanapy stało radio z 1938 roku, przy którym w czasie wojny być może gromadziła się cała rodzina, by słuchać, jak przebiega kampania przeciw Rommlowi w Afryce.

Według Wu salon wywierał wrażenie lekko przygnębiającego, niczym odgrzany dowcip. Durant utrzymywał, że już od dawna tego nie zauważa.

Mężczyźni siedzieli w fotelach naprzeciwko siebie i czekali, aż Jenny Arliss wyjdzie frontowymi drzwiami. Drzwi lekko trzasnęły, a wtedy Artie Wu zapytał:

- Gdzie ją znalazłeś?

Durant popatrzył na jarzące się sztuczne węgle tak, jak gdyby były na nich wypisane data i miejsce spotkania.

- Dwie niedziele temu w Tate Gallery przed obrazem Tur-nera - odpowiedział, teraz patrząc na Wu. - Chociaż nie jestem pewien, którym.

Wu dokończył herbatę, odstawił filiżankę, klepnął się po brzuchu i uśmiechnął, co spowodowało, że wyglądał jeszcze bardziej dobrotliwie niż zwykle. Niczym Budda w pogodny dzień, pomyślał Durant.

- Dwie niedziele temu było paskudnie - powiedział Wu. - O ile dobrze pamiętam, padał deszcz ze śniegiem.

- Chodzę do galerii w takie paskudne dni, ponieważ wtedy nie ma w nich tłoku. A kobiety w takie dni są bardziej przystępne.

- Masz na myśli samotne.

- Ja?

- Co robi Jenny Arliss?

- Mówi, że jest analityczką w BBC - powiedział Durant. - Ale w BBC nigdy o niej nie słyszeli. Po tuzinie dalszych telefonów odkryłem, że pracuje w Help! H-E-L-P z wykrzyknikiem na końcu. Specjalnością tej firmy jest natychmiastowe dostarczanie wysoce kwalifikowanych ekspertów do wykonania specjalistycznej, ale tymczasowej pracy na całym świecie. Doskonale płatnej i ciężkiej pracy przez miesiąc czy dwa - często krócej. Dzwonisz do Help!, jeśli potrzebujesz mikrobiologa na Madagaskarze, artysty na Antarktyce czy innych aliteralnych przykładów.

- Urologa w Urugwaju - podsunął Wu.
- Właśnie. To wcale nie mała firma. Jest Help! w Anglii, Hilfe! w Niemczech, Au Secours! we Francji i Socorro! w Hiszpanii - tylko że w przypadku Hiszpanii są dwa wykrzykniki, pierwszy do góry nogami.

- Domyślam się, że taka agencja jest również w Stanach. Durant skinął głową.

- I w Kanadzie, w Singapurze, w Hongkongu, w Japonii i Australii.

- Co nasza Jenny robi w Help!? - zapytał Wu.

- Jest dyrektorem.

- Na Londyn?

- Na Anglię.

- Niesamowicie.

- Dokładnie tak samo zareagowałem - powiedział Durant.

Wu wyciągnął cygaro z wewnętrznej kieszeni, poddał je uważnym oględzinom, potem obrzucił Duranta długim chytrym spojrzeniem.

- Nie dalej jak wczoraj powiedziano mi, że międzynarodowa kwatera Help! mieści się we Frankfurcie, i że jej prezydentem, prezesem i głównym akcjonariuszem w jednej osobie jest nikt inny, jak nasz nowy najlepszy przyjaciel, Enno Glimm, który nie dalej jak wczoraj uratował nas od ruiny. Durant uśmiechnął się z uznaniem. -

- Rozmawiałeś z sir Duncanem, zgadza się?

- Agnes rozmawiała.

- Co powiedział Duncan?

- Ten Glimm to wielka forsa - odparł Wu. - A może jeszcze większa. Duncan powiedział, że Help! to druga firma po równie dochodowej zwanej Camaraderie! - też z wykrzyknikiem. Tak naprawdę to Camaraderie! nasunęła Glimmowi pomysł założenia Help!.

- Co to jest Camaraderie!?

- Organizuje wczasy zaspokajające potrzeby ksenofobów. Glimm kierował się - i kieruje - tym, że prawie każdy woli wyjechać na zagraniczny urlop ze swoją rodziną bądź przyjaciółmi albo z ludźmi takiego samego pokroju. W 1974 roku Glimm wydzierżawił *Boeinga 727* - a może był to 707 - zapakował do niego zadowolonych chemików z Hoechst pod Frankfurtem i zawiózł ich na Costa del Sol na dwutygodniowe wakacje, które kosztowały połowę tego, co pobyt nad włoskim Adriatykiem. I tam na plażach frankistowskiej Hiszpanii narodziło się Camaraderie!.

- Co potem? - zapytał Durant.

- Potem Camaraderie! stało się modne. Nie zapominając o zwyczajnych pracownikach, zaczęło dbać o potrzeby profesjonalistów, których ucieszyłby trzytygodniowy pobyt powiedz my na Borneo, w towarzystwie ludzi im podobnych. Dodatkowo zapewnia im domowe wygody plus możliwość odpisania wydatków od podatku. Glimm podzielił klientów na grupy według zawodu na księgowych, lekarzy, prawników, maklerów, inżynierów i kogo tam jeszcze chcesz.

- Nadal nie powiedziałaś mi, skąd Glimm wytrząsnął ten pomysł z Help!.

- Rekrutując pruderyjnych profesjonalistów, odkrył wielu innego rodzaju - w większości samotników i malkontentów - którzy woleliby raczej umrzeć, niż jechać na zbiorową wycieczkę. Większość z tych dziwaków powiedziała Glimmowi, że nie mie liby nic przeciwko pracy przez parę tygodni lub nawet

miesiąc, dwa czy trzy w jakimś odległym egzotycznym kraju, pod warunkiem, że dostaną za to odpowiednie pieniądze. I wtedy Glimm założył Help!

Wu przerwał, bo zauważył, że zgasło mu cygaro. Zapalił je, wydmuchnął dym w bok, po czym rzekł:

- „Help” może - wystarczy poprosić - zaopatrzyć Tybet w choreografów i Malezję w śpiewaków operowych - oczywiście cie tymczasowo. Kuzyn Duncan dowiedział się, że Glimm w swoim komputerze ma nazwiska jakichś piętnastu tysięcy ekspertów i otrzymuje nieniche honoraria z co najmniej trzech tuzinów międzynarodowych firm.

- Jeśli ma wszystkich tych ekspertów pod ręką, dlaczego przyszedł do nas?

- Może słyszał, że jesteśmy najlepsi.

- W znajdywaniu zaginionych hipnotyzerów? Wu wzruszył ramionami.

- Czy pytałeś go, dlaczego chce ich znaleźć - czy może raczej dowiedzieć się, jak zaginęli?

- Powiedział, że wprowadzi nas w szczegóły na spotkaniu o drugiej.

- Nie dodał czegoś więcej?

- Niewiele. Tylko to, że te dwadzieścia pięć tysięcy funtów jest nasze, niezależnie od tego, czy przyjmiemy tę robotę, czy nie.

Durant lubił obserwować, jak Artie Wu próbuje sprawiać wrażenie nie zaskoczonego. Okazji miał raczej niewiele i teraz wyszczerzył zęby na widok mądrego potakiwania, któremu to warzyszył nieznacznym uśmiechem. Wreszcie Wu powiedział:

- Ten Glimm to sumienny facet. To oczywiste, że kiedy przyszedł wczoraj, od tygodnia czy dwóch miał już raport Jenny Arliss na nasz temat. Sam sprawdzał nas u ludzi takich jak Hermenegildo Cruz w Manili, który jest teraz kapitanem, i Overby w Ammanie. Kiedy zapytałem, co, do diabła, Otherguy robi w Ammanie, Glimm powiedział, że on i Booth Stallings prze prowadzają gruntowny przegląd osobistego systemu bezpieczeństwa króla Husseina.

- Glimm sprawdzał nas również u hrabiego w Berlinie - dodał Wu.

- U von Lahusena?

- A ilu hrabiów znamy? W ten sposób dotarł do Otherguya. Durant podniósł brew, lewą, co nadało jego twarzy wyraz powątpiewania, który doskonale pasował do jego tonu.

- Rozmawiałeś z Otherguyem?

Artie Wu wypuścił kółko dymu na lewo.

- Nie tylko rozmawiałem. Wynająłem go.

Byli partnerami od czasu, gdy w wieku czternastu lat uciekli razem z sierocińca metodystów w San Francisco, Wu z łatwością potrafił więc rozpoznać u Duranta oznaki nadchodzącego gniewu. Na początku Durant stał się bardzo spokojny. Potem jego usta zaciskały się w wąską linię. Oczy zwężyły się, a przy dokładniejszym badaniu pod głęboką opalenizną można było dostrzec lekką bladość. Ale tak naprawdę Duranta zdradzał głos. Stawał się miękki, łagodny i niemal przymilny, i właśnie taki był, gdy Durant powiedział:

- Powiedz mi, Artie, dlaczego zrobiłeś takie pieprzone głupstwo? Wu najpierw westchnął, a potem rzekł:

- By zapewnić sobie spokój w domu. Otherguy zadzwonił do Angusa i Arthura, i zaferował im wakacyjną pracę w Kuwejcie po trzy tysiące dolarów

za miesiąc. Agnes... no cóż, wołałaby raczej zobaczyć, jak bliźniaki okradają banki, niż są pod kuratelą Otherguya. Mógłbym zabronić im jechać, ale gdybym to zrobił, teraz dojeżdżaliby pewnie do Ammanu.

- Mógłbym pomóc ci zamknąć ich w piwnicy.

- Pomyślałem, że lepiej będzie zwabić Otherguya tutaj. I żeby to osiągnąć, musiałem zaoferować mu coś, co sprawiłoby, aby rzucił wszystko, czym zajmuje się w Kuwejcie i Jordanii.

Głos Duranta brzmiał jeszcze bardziej uprzejmie, gdy powiedział:

- On nie ma absolutnie nic do roboty i ty doskonale o tym wiesz.

- Być może - zgodził się Wu. - Ale powiedziałem mu, że właśnie podłapaliśmy dochodowy nowy projekt i potrzebujemy nie tylko jego, ale również Boothy Stallingsa i - tylko się nie denerwuj - Georgię Blue.

Durant wiedział, kiedy się poddać. Odchylił się w obitym skórą ręką zebry fotelu, spojrzął na coś powyżej głowy Wu i postarał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

- O ile znam Otherguya, a na Boga, powinienem, od razu po rozmowie z hrabią zadzwonił do bliźniaków i zaoferował im zmyśloną robotę, ponieważ cholernie dobrze wiedział, jaka będzie reakcja Agnes oraz jak ty postąpisz. On się po prostu wcisnął.

- Prawda - rzekł Artie Wu. - Ale ja też doskonale zdaję sobie sprawę, jak pracuje umysł Otherguya.

- Zgadza się - przyznał Durant. - Więc co się stanie z Otherguyem i spółką, jeśli nie weźmiemy tej sprawy Glimma?

- Musimy ją wziąć - powiedział Wu, umilkł na moment, po czym dodał: - Rozumiesz?

Durant po dłuższej chwili pokiwał głową.

- Okay. Mogę pracować z Otherguyem i jednocześnie go pilnować. Ale musisz przekonać mnie co do Georgii.

- Nie jestem pewien, czy mi się uda - odpowiedział Wu. - Kilka tygodni temu dostałem od niej list. Zwalniają ją z kobiecego więzienia na wyspie Luzon.

- Z tego w Mandaluyong - powiedział Durant, po czym zapytał: - Kiedy?

Wu popatrzył na sufit, jak gdyby próbował sobie przypomnieć.

- Jutro albo pojutrze. Jej list został najwyraźniej przeschmuglowany i wysłany z San Francisco. Georgia pisze, że ubiła interes z opozycją Aquino. Zgodzili się na wcześniejsze zwolnienie pod warunkiem, że zdradzi im wszystko, co robiliśmy w osiem dziesiątym szóstym, a co nadal może zaszkodzić Aquino i jej przyjaciółom w wyborach w dziewięćdziesiątym drugim.

- Polityczna amunicja - podsumował Durant. Wu potwierdził ruchem głowy.

- Zakładam, że Georgia spreparowała sporo materiału - dość, by zapewnić sobie zwolnienie. W liście prosi o pracę, kontakty - cokolwiek, co pozwoliłoby jej stanąć na nogi. - Przerwał na chwilę. - Nie odpowiedziałem na list.

- Po prostu wynająłeś ją i wysłałeś do Manili z dobrymi wieściami. Wu przyjrzał się cygaru.

- Może wierzę w pokutę. Albo chcę wierzyć.

- Wiesz, jak zapamiętałem Georgię? - zapytał Durant. Jego głos był zarazem miękki, łagodny i złowieszczy. - Jesteśmy razem na tym promie w Hongkongu. Ona, znieruchomiała w kła sycznym przysiadzie Tajnej Służby z gnatem w obu rękach, celuje prosto we mnie. Za niecałą sekundę naciśnie

spust i zastrzeli mnie. Oto jak ją wspominam - o ile w ogóle to robię.

Wu pokiwał głową i wydmuchnął kolejne kółko dymu, ale nie odezwał się.

- Okay. Zaangażowałaś ją - powiedział Durant. Jego głos brzmiał już normalnie. - Ale nie prosz mnie, bym jej zaufał. Nigdy.

Po dwóch dalszych ponurych skinieniach Wu się rozpogodził.

- A jeśli skojarzymy ją z Boothem Stallingssem?

- Nadal jest w niej zakochany?

- Pytałem o to Otherguya. I wczoraj wieczorem, gdy właśnie miałem wychodzić na pociąg, zadzwonił z Ammanu i przekazał mi wiadomość od Bootha. Wiadomość brzmiała: „Powiedz Artie'emu, że to nie jego pieprzony interes”.

- Nadal jest w niej zakochany - skwitował Durant.

7

Ani Wu, ani Durant nie okazali zdziwienia, gdy Enno Glimm stawił się na spotkanie o drugiej po południu w towarzystwie Jenny Arliss.

Durant jedynie powiedział Wu:

- Znasz już Jenny - po czym przedstawił Glimma. Znajdowali się w czymś, co Glimm nazwał śliczną małą recepcją. Po doko naniu prezentacji Wu wprowadził wszystkich do biura i pod prowadził do długiej na dwa metry owalnej płyty z włoskiego orzecha, która służyła jako biurko i okazjonalny stół konferencyjny.

Stały na niej cztery ustawione niczym namioty małe wizytówki, wypisane eleganckim pismem panny Belle Hazlitt, która była kierowniczką biura Wudu, recepcjonistką, sekretarką, księgową i szefem protokołu. Panna Hazlitt - kazała tak się nazywać, gdy zatrudniono ją przed trzema laty - nie była ani śliczną, ani małą panienką, jak Enno Glimm przypuszczał, ale przystojną, elegancko ubraną sześćdziesięciosześcioletnią kobietą, która przez trzydzieści pięć lat robiła coś niejasnego bądź tajemniczego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Gdy w wieku sześćdziesięciu dwóch lat przeszła na emeryturę, wkrótce za częła się nudzić i wtedy odpowiedziała na mgliście sformułowany anons w londyńskim „The Times”. Ogłoszeniodawcy po szukiwali „elastycznego perfekcjonisty”, co było określeniem ukutym przez Artie'ego Wu. Panna Hazlitt zgłosiła się i została zatrudniona po pięciu minutach rozmowy.

Panna Hazlitt radośnie pracowała po dwanaście godzin na dobę, gdy było to konieczne, albo - z jednakową pogodą - nie robiła nic całymi dniami lub nawet tygodniami, kiedy Wu i Durant wyjeżdżali w interesach. W czasie tych jałowych godzin czytywała amerykańskie powieści, lubując się zwłaszcza w tych, których akcja rozgrywała się na głębokim Południu. Gdy tylko spółce Wudu Ltd brakowało pieniędzy i panna Hazlitt nie otrzy mywała pensji, pozostawała w domu i powracała co pracy dopiero wtedy, gdy Wu czy Durant udowadniali, że do banku rzeczywiście wpłynęła gotówka.

Zadowolona, że wszystko w olbrzymim pokoju jest takie, jak być powinno, panna Hazlitt cicho zamknęła drzwi, podeszła do swojego biurka, usiadła i zagłębiła się w historię nieszczęśliwie zakochanego prawnika, żyjącego w Savannah w roku 1930.

Za każdą wizytówką stały butelki z wodą Evian i dortmun-dzkimi piwem oraz dwie szklaneczki. Na prawo od wizytówek ustawiono popielniczki - brakowało jej tylko przy miejscu wyznaczonym dla Duranta, który już nie palił. Filiżanki z herbatą miały zostać wniesione później, gdyby okazało się to konieczne. Owalny stół przykrywała rzadko używana zielona rypsowa serweta, która była jednym z pierwszych zakupów dokonanych przez pannę Hazlitt. Na każdym z czterech notatników leżały po dwa świeżo naostrzone ołówki.

Jenny Arliss była nie tyle zaskoczona, ile rozbawiona, gdy na wizytówce zobaczyła swoje nazwisko. Popatrzyła na Duranta z uśmiechem.

- Kiedy się dowiedziałeś, że jestem z Help!?

- Na drugi dzień po tym, jak poderwałam mnie w Tate Gallery. Jeśli jeszcze kiedyś zechcesz udawać tajemniczą damę, nie podawaj prawdziwego nazwiska.

- Zawsze myślałam, że kłamię raczej dobrze.

- Robisz to doskonale - zapewnił ją Durant. Enno Glimm, najwyraźniej zniecierpliwiony tą wymianą zdań, odwrócił się do Wu i powiedział:

- Na miłość boską, czy możemy już usiąść i zacząć?

- Oczywiście. - Wu odsunął krzesło i odczekał, aż wszyscy usiądą. Glimm zajął miejsce po prawej stronie Wu, a Arliss po lewej. Wu uśmiechnął się do Jenny, odwrócił do Glimma i powie dział: - Zakładam, że opowiesz nam o swoim problemie, a my powiemy ci, co możemy z tym zrobić - o ile będzie to możliwe.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym uznał, że nie możecie czegoś zrobić.

- Nie przeceniaj nas - powiedział Durant.

- W moim interesie leży to, by nigdy nikogo nie przeceniać. Ale zanim zajmiemy się mną i moim problemem, chciałbym was o coś zapytać.

- Proszę - zachęcił go Wu.

- Kim jesteście? To znaczy nie chodzi mi o nazwę, bo tę znam, ale o to, co się pod nią kryje. Przyznacie, że nazwa niewiele mówi.

- Fakt - przyznał Durant.

Glimm spojrział nań z niezadowoloną miną, potem znów zwrócił się do Wu.

- I nie wściekajcie się na to, w jaki sposób wymawiam nazwę waszej firmy. Tak zacząłem ją wymawiać i teraz nie mogę się przestawić. Ale wróćmy do tego, kim jesteście. Wiem, że nie jesteście prywatnymi agentami. A wasze wydatki są zbyt wielkie, żebyście mogli być kanciarzami. Możecie siedzieć w szpiegostwie przemysłowym, ale wszyscy mi mówią, że to nudne. Więc kim jesteście? Chłopcami do wszystkiego za odpowiednio ciężką forszę? Najemnikami nie biorącymi udziału w walce? Klasyfikuję wszystkich, których spotykam, według zajęcia, a nie potrafię sklasyfikować was i to przyprawia mnie o delire.

- O delire? - powtórzył z zaciekawieniem Durant.

- To rodzaj dreszczy.

- Czy nie poczujesz się urażony - wtrącił Wu - jeśli zapytam, gdzie nauczyłeś się angielskiego?

- Chwileczkę. Najpierw chcę usłyszeć, czym się zajmujecie.

- Wudu Limited - zaczął z wolna Wu - jest spółką z ogra niczoną odpowiedzialnością, która robi dla innych to, czego sami nie mogą zrobić dla siebie.

- Za określoną cenę - dopowiedział Glimm.

- Oczywiście, że za określoną cenę.
- Gdyby nie ta pieprzona forsa, moglibyście nazywać się świętymi.
- Ale skoro bierzemy opłaty - rzekł z promiennym uśmiechem Wu - dlaczego nie miałbyś uważać nas za profesjonalnych altruistów?
- Spróbuję - powiedział Glimm, przerwał, a po chwili zapytał: - Chcecie wiedzieć, gdzie nauczyłem się amerykańskiego? We Frankfurcie. Niedaleko budynku IG Farben i jego śmiesznych jeżdżących na okrągło wind, który nie został zbombardowany przez wasz Korpus Powietrzny Armii z powodów, w które nie ma potrzeby wnikać, jako że są to już zamierzchłe dzieje.
- Bardzo zamierzchłe - przyznał Durant.
- Glimm nalał sobie piwa, skosztował go i mówił dalej:
- Moja matka po wojnie była służącą, dochodzącą *Putzfrau* u oficerów Armii USA, a później i u cywilnych pracowników. Wychowywałem się w otoczeniu żołnierzy i w środowisku dwujęzycznym. Mój stary był kapitanem, porucznikiem, a może tylko jakimś sierżantem sztabowym Armii. Mama nigdy nie była tego całkiem pewna. Urodziłem się pod koniec czterdziestego szóstego, kiedy miała dwadzieścia lat, a po wszystkim moi prawdopodobni tatusiowie wrócili do Stanów.
- Nigdy nie próbowałaś odnaleźć ojca? - zainteresował się Wu.
- A po co?
- Z ciekawości.
- Nie jestem ciekawski. Tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty, na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, był dla nas, szwabów, trudnym rokiem. Mama robiła wszystko, żebyśmy nie pomarli z głodu. Gdyby to „wszystko” nie obejmowało pewnego bratania się z Amerykanami, z pewnością byśmy nie przeżyli. Mama obecnie ma sześćdziesiąt pięć lat i mieszka w Hamburgu, ale zimy spędza w Hiszpanii lub na Florydzie. Kilka lat temu pojechała na Hawaje i tam też jej się spodobało. Takie więc są mniej więcej dzieje Enno Glimma, bogatego bękarta - zakończył
- Glimm. Szybko odwrócił się do Wu i powiedział: - Doszły do mnie jakieś brednie, że jesteś pretendentem do tronu Cesarstwa Chińskiego. O co w tym chodzi? Zanim Wu zdołał zabrać głos, Jenny Arliss oznajmiła:
- Pan Wu ma dobrze udokumentowane, choć posiadające niewielkie znaczenie, prawa do chińskiego tronu. Glimm, nie odrywając oczu od Wu, powiedział:
- Chiny już nigdy nie będą miały cesarza.
- Każdy może mieć nadzieję - skwitował Wu. Durant pochylił się, oparł łokcie na stole i wbił oczy w Glimma.
- Okay. Powiedz nam, czego od nas chcesz, a my ci powiemy, czy możemy to zrobić. Jeśli nie, wypijemy pożegnalnego drinka i rozstaniemy się.
- Glimm zwrócił się do Jenny Arliss:
- Ty im powiedz.
- Jenny, marszcząc czoło, jakby miała kłopoty z wyrażaniem własnych myśli, zastanawiała się przez chwilę.
- Chcemy, żebyście odnaleźli dwoje brytyjskich hipnotyze rów, którzy zaginęli w Kalifornii - wygłosiła w końcu.
- Zapadła cisza, w czasie której Wu i Durant powstrzymywali się od patrzenia na siebie. W pewnej chwili Wu skinął, uśmiechnął się i powiedział:
- Odnoszę wrażenie, że damy sobie z tym radę.

Jenny Arliss powiedziała, że dwoje zaginionych hipnotyzerów, Hughes Goodison, lat trzydzieści dwa, i jego siostra Paulina, lat dwadzieścia siedem, zajęli się tym fachem przez przypadek.

- Ich fascynacja hipnozą zaczęła się na przyjęciu - powiedziała. - Hughes miał wówczas dwadzieścia pięć lat i był księgowym, a Paulina była pięć lat młodsza i pracowała jako stenotypistka. Zajmowali mieszkanie w Hammersmith w Londynie, pozostawione im przez rodziców, którzy zmarli rok wcześniej z powodu zatrucia pokarmowego w czasie wakacji na Malcie.

- Botulizm - uzupełnił Durant. - Niektórzy zapominają przegotować mleko. Artie Wu skreślił w notesie słowo: CYGARA.

- Na tym przyjęciu - kontynuowała Arliss - jakiś hipnotyzer-amator wprowadzał ludzi w trans i kazał im robić różne głupie rzeczy - by szczerkali jak pies, piali jak kogut czy miauczeli jak kot. Głupie, nieszkodliwe bzdury.

- I to ich zafascynowało? - zapytał Durant.

- Oczywiście, że nie. Zainteresowało ich to, że sami tak łatwo poddają się sugestii. Ten hipnotyzer-amator powiedział im, że nigdy nie pracował z kimś tak bardzo podatnym.

- Nie można zhipnotyzować kogoś, kto tego nie chce - do dał Glimm, patrząc na Wu tak, jak gdyby oczekiwał, że ten sporządzi kolejną notatkę.

Jenny Arliss powiedziała, że brat i siostra byli tak zaintrygowani spotkaniem z hipnotyzerem, że Hughes Goodison kupił książkę na temat hipnozy.

- To była jedna z tych nadmiernie uproszczonych pozycji popularyzatorskich w stylu: Jak zhipnotyzować i zadziwić swoich przyjaciół". Praktykowali najpierw na sobie, później na znajomych, i odkryli, że są w tym naprawdę dobrzy. Później nawet zapisali się na kurs i zaczęli czytać książki uznanych autorytetów, taki jak Estabrook, Moodie, Gilla, Fromm i, niech pomyśle, Shor.

- Kojarzy się? - zapytał Glimm.

- Jak najbardziej - odparł Durant.

Arliss powiedziała, że tuż po rozpoczęciu kursu Hughes zaczął szukać sposobu, w jaki wraz z siostrą mogliby zostać dyplomowanymi hipnotyzerami i odkrył, że wymagania są zaskakująco niskie. Uczęszczali do szkół hipnotyzerów, gdzie kurs trwał tylko cztery godziny, a po nim następowała szesnastogodzinna praktyka pod nadzorem. Chodzili na wykłady nawet w nocy i, po zakończeniu wszystkich kursów, powiesili wywieszki, że są dyplomowanymi hipnotyzerami.

- I właśnie tym się parali - dodała Arliss.

- Opowiedz im o ich chwycie reklamowym - powiedział Glimm. Arliss skinęła głową.

- Racja. Ich reklamowym chwycem, jak to określił pan Glimm, było założenie kliniki dla ludzi, którzy chcieliby stracić na wadze i rzucić palenie - tylko że nie nazwali tego kliniką, a warsztatem. Odnosili sukces w mniej więcej od piętnastu do dwudziestu procent przypadków - jak w większości tego typu miejsc. Ale każdy chwycił się sukcesami, nie porażkami, a Hughes i Paulina byli nieźli w promowaniu samych siebie. Opracowali pomysły numer. Był to

wykład połączony z demonstracją, całość ograniczała się do piętnastu minut. Prezentowali go normalnym i profesjonalnym grupom, których spotkania odbywały się co tydzień lub co miesiąc. Ubarwiali swoje seanse - przypuszczam, że tak je nazywali - szczodrymi dawkami psychobelkotu i szerokim udziałem widowni. Paulina była szczególnie dobra w wybieraniu tych, których najłatwiej zahipnotyzować.

- Rzeczywiście operatywni, prawda? - powiedział Glimm.

- Ale na razie nic wielkiego - stwierdził sceptycznie Durant.

- Poczekaj.

- Okazja zapukała czy też zabębniła do ich drzwi - mówiła dalej Arliss - kiedy kobieta detektyw, która jak się złożyło była nałogową palaczką, przyszła na jedno z profesjonalnych spotkań dla kobiet, nie pamiętam, na które.

- To nieważne - powiedział Glimm.

- Zapisła się na program odzwyczajania od palenia i nawet zażartowała, że jeśli dzięki temu nie zerwie z nałogiem to za aresztuje Goodisonów za oszustwo. Ale wystarczyły dwa seanse, by rzuciła palenie. Prawdopodobnie.

- Dlaczego prawdopodobnie? - zapytał Wu.

- Ponieważ nie widziałem jej od kilku miesięcy. Wtedy, gdy poznała Goodisonów, pracowała nad sprawą gwałtu. Ofiarą była siedmioletnia dziewczynka. Cierpiała na pourazowy zanik pamięci i nie mogła czy też nie chciała powiedzieć, kto ją zaatakował, ale policja zaczęła podejrzewać wujka Neda.

Arliss nałapała sobie wody Evian, napiła się i mówiła dalej.

- Zaprzyjaźniła się z Goodisonami i zapytała, czy pracowali już z dziećmi. Odpowiedzieli, że dzieci często są bardziej podatne na sugestie - co oczywiście nie było odpowiedzią na pytanie. Potem zapytała, czy nie byłiby skłonni zahipnotyzować siedmioletniej ofiary gwałtu, cierpiącej na pourazowy zanik pamięci. Tym razem Paulina przyznała, że nigdy nie robili czegoś takiego, ale bardzo chcieliby współpracować z policją.

- Podajesz zbyt wiele detali - upomniał Glimm.

- Lubię szczegóły - powiedział Wu, uśmiechając się zachęcająco do Arliss. Jenny znów napiła się wody.

- Do tej pory policjantka zdążyła już nawiązać swego rodzaju milczące porozumienie z siedmioletnią dziewczyną, która nie po wiedziała słowa od czasu gwałtu. Ale czasami na jej sugestie reagowała kiwaniem czy potrząśnięciem głową, a było to dużo więcej, niż osiągnęli jej rodzice czy ktokolwiek inny. Po otrzymaniu zgody rodziców wytłumaczyła wszystko dziecku, później poszła do swoich przełożonych i powiedziała im, co zamierza zrobić. Po wielu biurokratycznych przepychankach pozwolono Goodisonom na próbę - pod warunkiem, że odbędzie się w obecności lekarza.

- Myślałem, że w policji mają swoich hipnotyzerów - powiedział Durant.

- Mają - zgodziła się Arliss - ale tylko facetów. W każdym razie Paulina, z bratem jako wsparcie, zahipnotyzowała dziecko, które odzyskało zarówno mowę, jak i pamięć, i natychmiast wskazało na swojego ojca.

- Zdarza się - powiedział Wu, ponieważ Jenny Arliss przerwała, jak gdyby oczekiwała komentarza czy okrzyku oburzenia.

- Co potem? - ponaglił ją Durant.

- Potem doszło do przecieku. Policja w dalszym ciągu nie wie, kto zaczął mówić, ale ja podejrzewam, że Hughes. Był to wspaniały kasek dla

szmatławców. ZAHIPNOTYZOWANE DZIECKO MÓWI: TATUŚ MNIE ZGWAŁCIŁ - w takim stylu. Nazwisko dziecka nie zostało podane, chyba że dużo później. Nazwiska Hughesa i Pauliny były we wszystkich gazetach i to wtedy ruszyłam do ataku i skontaktowałam się z nimi.

- Kiedy to wszystko się wydarzyło? - zapytał Wu. - Parę lat temu?

- Coś koło tego. Od tego czasu Goodisonowie otworzyli cztery nowe „warsztaty”, policja wielokrotnie prosiła ich o konsultacje, udzielali wywiadów i mieli kilka programów w telewizji.

- Kim jesteście, ich agentami? - zapytał Durant.

- Nie. Help! podpisało z nimi jednorazową umowę, dotyczącą wyłącznie tej pracy za granicą. W taki sposób angażujemy wszystkich naszych klientów. Ani nie obciążamy ich opłatami, ani nie bierzemy procentów od ich zysków; zawsze płaci nam pracodawca.

- Ile? - zaciekał się Wu.

- Dwadzieścia pięć procent tego, co dostają nasi klienci - powiedział Glimm.

- To brzmi korzystnie. - Wu otworzył piwo, nalał go do szklanki, wypił dwa łyki i powiedział: - Chciałbym posłuchać teraz o Kalifornii i o tym, w jakich okolicznościach zaginęli Goodisonowie.

- Okay - zgodził się Glimm - ale najpierw muszę wymienić parę nazwisk, ponieważ jeśli je znacie, zaoszczędzi to nam cholernie dużo czasu i wyjaśnień. Czy mówią wam coś nazwiska: Iona Gamble i William A.C. Rice Czwarty?

Durant wyrecytował:

- Policja twierdzi: „Porzucona aktorka zabija miliardera”.

- Co ty o tym wiesz? - Glimm zwrócił się do Wu. - Jesteś na bieżąco?

- Trzymam rękę na pulsie - odparł Wu. - Trudno byłoby nie być.

- W takim razie wiesz, że ona utrzymuje, iż spiła się, urwał się jej film i nic nie pamięta. Wiesz o tym, zgadza się?

- Wiemy - przyznał Durant.

- Słyszałeś o jej poszukiwaniach?

- Czego? - zapytał Wu.

- Obrońcy zajmującego się sprawami kryminalnymi. Brała pod uwagę wszystkich, którzy cieszyli się najlepszą reputacją, po czym wybrała jednego z Waszyngtonu. Mówi, że to najsprytniejszy facet, jakiego w życiu spotkała, i muszę się z nią zgodzić. Zdecydowała się na Howarda Motta. Znasz go?

Wu popatrzył na Duranta i powiedział:

- Nie sądzę, byśmy kiedyś go spotkali, prawda?

- Nie - przytaknął Durant. - Nie spotkaliśmy go.

- Ale wiecie, kim on jest. Wu skinął głową.

- Dobrze, Mott i ja już wcześniej robiliśmy interesy, nie byłem więc zbyt zdziwiony, gdy do mnie zadzwonił. Ja byłem we Frankfurcie, a on w LA, dokładniej - w Santa Monica. Powiedział, że reprezentuje Iona Gamble i chciał, żebym mu opowiedział o Hughesie i Paulinie Goodisonach. Powiedziałem, żeby zadzwonił do Jenny, tu, do Londynu - albo że to ja każę jej do niego zadzwonić. Mott odparł, że się śpieszy, więc dałem mu jej numer i to on zadzwonił do niej. Jenny powie wam, co było dalej.

Durant i Wu spojrzeli na kobietę. Ona popatrzyła najpierw na Wu, później na Duranta, i powiedziała:

- Pan Mott zadzwonił i przez pół godziny czy nawet dłużej maglował mnie

na temat Goodisonów. Podałam mu kilka numerów telefonów, między innymi parę do policji. Dwie godziny później zadzwonił drugi raz i oznajmił, że chciałby wynająć czy zaangażować Goodisonów, by pomogli łonie Gamble odzyskać pamięć. Byłam ciekawa, dlaczego wybrał właśnie ich, skoro w południowej Kalifornii jest pełno wszelkiego rodzaju godnych zaufania hipnotyzerów. Więc zapytałam go o to.

- Co powiedział? - zapytał Durant.

Jenny przez chwilę wpatrywała się w portret Agnes Wu i dwie pary bliźniaków. Potem spojrzała z powrotem na Durant i rzekła:

- Panu Mottowi zależało na zaangażowaniu hipnotyзера - w tym przypadku dwóch - o gwarantowanej dyskrecji. Zapytał, czy Help! może poręczyć za milczenie Goodisonów. Odparłam, że oczywiście, ręcymy za dyskrecję wszystkich naszych specjalistów. Potem ustaliliśmy opłatę i...

- Co rozumiesz przez „ręcymy”? - wtrącił Durant.

- Chodzi o to, że pokrywamy wszystkie straty, jakie Iona Gamble mogłaby ponieść przez Goodisonów - wyjaśnił Glimm. - A może to być kupa forsy. - Przerwał, by zerknąć na Wu. -Właśnie dlatego chcę ich znaleźć.

Wu skinął uprzejmie głową, po czym przeniósł wzrok na Jenny Arliss.

- Mówiłaś o wynagrodzeniu.

- Zadzwoiłam do Hughesa i zapytałam, czy on i Paulina mogliby udać się do Los Angeles i zahipnotyzować Iona Gamble za sto tysięcy dolarów plus koszty. Prawie parsknął, ale oczywiście wyraził zgodę i polecieli następnego dnia.

- Co potem? - zapytał Wu.

- Tydzień później zatelefonował do mnie pan Mott, który powiedział, że Goodisonowie odbyli trzy sesje z Iona Gamble.

Po trzeciej zadzwonili do pana Motta o drugiej nad ranem i poinformowali o poważnym problemie, ale nie chcieli dyskutować na ten temat przez telefon. Mott powiedział, żeby nigdzie się nie ruszali, i że zaraz do nich przyjedzie. On był w hotelu „Santa Monica”, a oni w „Bel-Air”. Jak zrozumiałam, dotarcie z jednego do drugiego zajmuje zwykle dwadzieścia lub dwadzieścia pięć minut. Pan Mott był na miejscu w mniej niż dwa dzieścia. Ale Goodisonowie już zniknęli.

- Odezwali się od tamtej pory?

- Mott dostał telefon od brata - powiedział Glimm. - Ale chodziło o jakiś niezrozumiały bełkot.

- Więc co cię niepokoi - szantaż? - zapytał Durant.

- Właśnie - odparł Glimm.

- Nie ma na to żadnego dowodu - stwierdził Wu.

- Jeszcze nie - poprawił Glimm. - Słuchajcie - kontynuował - może Goodisonowie są szantażystami, a może nie. Albo może zostali porwani i to ktoś inny jest szantażystą. Mogę tak domniemywać do późnego wieczora, lecz to nic nam nie da, prawda?

- W przypadku szantażu - powiedział Wu - kto płaci: ty czy Iona Gamble?

- Ja.

- Mógłbyś wymigać się od tego - powiedział Durant.

- Pewnie - rzekł Glimm - ale to by się rozeszło, nieprawdaż? Straciłbym wszystkich klientów i do końca życia kopał się w tyłek, że nie zapłaciłem wszawego miliona dolarów. A w przerwach naradzałbym się z prawnikami, jak

wykręcić się od za płacenia dziesięciu czy piętnastu milionów, o jakie zaskarżyłaby mnie Iona Gamble. Nie chcę, żeby do tego doszło, dlatego wynajmuję was.

- Żebyśmy znaleźli Goodisonów - sprecyzował Wu. Glimm energicznie pokiwał głową.

- Martwych, żywych lub pomiędzy.

- Co myśli Howard Mott? - zapytał Durant.

- Nieważne, co on myśli. Ważne, co ja myślę. Mott jest jej prawnikiem. Płaci mu się, by myślał, że Iona Gamble jest niewinna. Mnie nie obchodzi, czy jest winna czy nie. Mnie intere-

suje znalezienie Goodisonów. I jeśli o mnie chodzi, koniec teoretyzowania. Chcę, żebyście polecili do Kalifornii i chcę, że byście ich znaleźli albo dowiedzieli się, co się z nimi stało. Jeśli wam się uda, być może zdołam coś uratować.

- Wobec tego proponuję, abyśmy pogadali o pieniądzach - powiedział Wu.

- Śmiało. Mów.

- Płacisz za wszelkie wydatki.

- O ile będą udokumentowane.

- Niektóre będą, niektóre nie.

Glimm przemyślał propozycję Wu, potem skinął i powiedział:

- Na razie może być.

- Nasze wynagrodzenie wynosi siedemset pięćdziesiąt tysięcy, niezależnie od rezultatów - powiedział Durant. - Teraz chce my dwieście pięćdziesiąt tysięcy, tyle samo za dwa tygodnie od dzisiaj i resztę po zakończeniu sprawy. Jeśli twoja firma wyjdzie z tego bez skazy, chcemy gwarantowanej premii w wysokości kolejnych dwustu pięćdziesięciu tysięcy.

- Dolarów czy funtów? - zapytał Glimm.

- Dolarów.

- Premia może skoczyć nawet do miliona. Ale ja nigdy w życiu nie płaciłem premii i w waszym przypadku nie będzie inaczej. Dobrze płacę za pomoc, ale jeśli jej nie otrzymuję, zamykam sprawę. To samo odnosi się do was. Dam wam dwieście pięćdziesiąt tysięcy teraz, dwieście pięćdziesiąt za dwa tygodnie i, jeśli wyjdę bez kłopotów, dostaniecie następne dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli okaże się, że moja reputacja ucierpiała, dostaniecie tylko pół miliona - plus dwadzieścia pięć tysięcy funtów zaliczki. Koniec targów. Zgadza się czy nie?

- Myślę, że tak - powiedział Wu. Durant tylko skinął głową. Glimm popatrzył na Jenny Arliss.

- Wypisz im czek na dwieście pięćdziesiąt.

- Jutro wyjeżdżamy do Kalifornii, więc chcielibyśmy otrzymać go dziś popołudniu - przypomniał Wu. Arliss zerknęła na zegarek.

- W takim razie najlepiej będzie, jak pojedziemy taksówką do mojego biura.

- Odsunęła krzesło i wstała.

Artie Wu, znów rozpromieniony, również wstał i powoli obszedł stół, by pomóc jej włożyć płaszcz.

Durant zagadnął Jenny:

- Jak mógłbym skontaktować się z tą policjantką? Jenny najpierw zapięła płaszcz, potem powiedziała:

- A po co?

- Może wie coś pożytecznego o Goodisonach.
- Nie będzie chciała z tobą rozmawiać.
- Dlaczego?

Jenny Arliss zaczęła odpowiadać, zmieniła zamiar, wzięła ze stołu żółty ołówek, napisała coś w jednym z notatników, wyrwała kartkę, podała Durantowi i powiedziała:

- Sam się dowiesz.

9

Okazało się, że mieszkanie, którego adres podała Jenny Arliss, mieści się nad sklepem chemicznym nad Shirland Road na północnym skraju Paddington. Przy dobrej pogodzie z mieszkania Duranta można było przejść do niego spacerkiem. Durant zapłacił za taksówkę i podszedł do drzwi. Przeczytał nazwiska wypisane różnymi długopisami na dwóch wizytówkach przypiętych pinezkami ponad dwoma dzwonekami. Nazwisko po lewej stronie brzmiało Joy Tommerlin, po prawej Mary Ticker. Durant wcisnął dzwonek po prawej.

Chwilę później z małego domofonu dobiegł nieco zniekształcony przez urządzenie kobiecy głos.

- Tak?
- Chciałbym porozmawiać o Goodisonach, Hughesie i Paulinie.
- Nie jestem zainteresowana.
- Nazywam się Durant. Jestem przyjacielem Jenny Arliss. To ona podała mi pani nazwisko i adres.
- Jest pan Amerykaninem, prawda?
- Zgadza się.
- Mam nadzieję, że nie jest pan jakimś cholernym reporterem?
- Zdecydowanie nie.
- Dobra, niech pan wejdzie.

Zahuczał brzęczyk. Durant pchnął grube szklane drzwi i wszedł po schodach na mały podest, na którym znajdowało się dwoje drzwi prowadzących do mieszkań od frontu. Frontowe mieszkanie należało do Mary Ticker. Durant zapukał. Drzwi otworzyła szczupła, ale nie chuda kobieta po trzydziestce, ubrana w gruby wełniany pulower i szare spodnie. W lewej ręce trzymała niedopałek papierosa.

Miała melancholijny wyraz twarzy i ciemnoniebieskie, przepełnione goryczą oczy, które mrużyła, jak Durant podejrzewał, z powodu krótkowzroczności. Gęste, jasnobrązowe włosy były przycięte tak krótko, że sprawiało to wrażenie, iż fryzura jest jej obojętna. Kobieta miała zaczerwieniony nos, blade szerokie usta i wystające kości policzkowe, które czyniły jej twarz raczej nietuzinkową. Spojrzała w górę na Duranta, ale nie musiała za dzierać głowy i Durant ocenił, że ma jakieś metr siedemdziesiąt czy siedemdziesiąt pięć wzrostu.

- Detektyw Ticker? - zapytał.

Zmierzyła go uważnie wzrokiem od stóp do głów i z powrotem, potem pokręciła głową.

- Nie.
- Ale była pani detektywem? Kobieta przytaknęła.
- Chciałbym porozmawiać o Goodisonach.

- Dlaczego?
- Zniknęli.

Jej przelotny uśmiech wyrażał zadowolenie, nawet pełnię szczęścia, i ukazywał mnóstwo dobrze zadbanych zębów. Zniknął równie szybko, jak się pojawił, ale zdołał złagodzić rysy jej twarzy i wymazać nieco goryczy z oczu. Po chwili gorycz powróciła, a kobieta powiedziała:

- Może wejdzie pan i uraczy mnie tym soczystym kąskiem.

Salon był mały i zagracony, centralne miejsce zajmował olbrzymi telewizor z magnetowidem. Naprzeciw zestawu znajdowała się wnęka kuchenna, a tuż za nią zamknięte drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do sypialni i łazienki. Przed telewizorem stały trzy fotele, a przed środkowym stolik, wysoki i duży na tyle, by mieściły się na nim herbata i tace z kolacją. Ściany pokryte były tapetą w różowe pnące róże i obwieszane tanimi reprodukcjami

przedstawiającymi wiejskie sceny - Durant przypuszczał, że w Devon. W kącie stała szafa z lustrem. Na czterech sosnowych półkach zgromadzono kolekcję chińskich kotów. Prawdziwy kot, tłusty marmurek, spał na jednym z foteli.

- Niech pan siada - powiedziała Mary, sadowiac się w fotelu przy stoliku. Durant podziękował i usiadł w fotelu nie zajęтым przez kota. Mary Ticker zapaliła papierosa od niedopałka. Durant naliczył w pokoju siedem popielniczek.

- Myślałem, że Goodisonowie panią wyleczyli.
- Kuracja nie zdała egzaminu, co? - Machnęła papierosem. - Ma pan coś przeciwko?

- Nie.

- Niech pan opowie o tym zniknięciu.

- Niewiele wiem - powiedział Durant. - Tylko to, że polecili do Los Angeles, by zahipnotyzować lone Gamble, a potem zniknęli.

- Musiało być w tym trochę forsy.

- Więcej niż trochę.

- A jak pan pasuje do tego?

- Moja firma została wynajęta do odnalezienia ich.

- Co to za firma?

- Wudu, Limited.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- To mała firma.

- I czym się głównie zajmujecie, szukaniem zaginionych?

- Czasami.

- A co robicie przez resztę czasu? Durant jedynie się uśmiechnął.

- Jenny was wynajęła?

- Jej szef.

- Ten Niemiec?

Durant potaknął. Zapadła dłuższa chwila ciszy. Mary Ticker zmarszczyła czoło, trzy razy zaciągnęła się papierosem i dopiero wtedy powiedziała:

- Wie pan, oni są zboczeni.

- Goodisonowie?

- Mmm.

- To znaczy?

- Zabili swych staruszków. Na Malcie. Otruli ich dla mieszkania w

Hammersmith i kilku tysięcy funtów z ubezpieczenia.

- Ale nie może pani tego udowodnić.
- Gdybym mogła, już by siedzieli pod kluczem.
- Myślałem, że byliście przyjaciółmi.
- Jenny tak powiedziała?

Durant skinął głową.

Mary Ticker zaciągnęła się, wydmuchnęła dym i rzekła:

- Tak było wcześniej.
- Przed czym?
- Zanim zrobili ze mnie idiotkę. - Zgniotła papierosa w po pielniczce, powoli, silnie, jakby cieszyło ją niszczenie.
- Napije się pan może whisky?
- Tak, dzięki.
- Z wodą? Nie mam lodu.
- Woda wystarczy.

Poszła do wnęki kuchennej, przyrządziła drinki i podała je. Durant zauważył, że jej był ciemniejszy. Napila się, wyjęła jednorazową zapalniczkę i zapaliła jeszcze jednego papierosa.

- To wszystko nie stało się naraz. Durant, który nie był pewien, o co jej chodzi, uniósł brwi i rzucił:

- Nie?
- Bawili się mną od samego początku. Byli bardzo zręczni. Wie pan, jak naprawdę rzuciłam palenie?
- Przez hipnozę?
- Udawałam. Nigdy nie weszłam w trans. Bałam się. Ale po drugim seansie przestałam palić, by zrobić przyjemność drogiemu Hughesowi i słodkiej Paulinie. Coś mnie do nich ciągnęło, do obojga.

- Coś z tego wyszło? -
- Najpierw były ukradkowe pocałunki i przytulanki, we trójkę: wtedy jeszcze udawali, że są wstrząśnięci i zawstydzeni. Potem wprowadzali mnie coraz dalej, póki tego nie zrobiłam.

- Czego?
- Póki nie nagrałam im policyjnej roboty.
- Sprawy gwałtu? Potaknęła ruchem głowy.
- Jenny opowiedziała panu o tym, prawda?
- Niewiele.

Mary Ticker skończyła drinka dwoma łykami, potem powiedziała:

- Nazwijmy ją Alice.
- Tę małą, która została zgwałcona?
- To był stosunek analny. Straszliwie krwawiła. Rodzice, przerażeni i spanikowani, nie widzieli, co robić. W końcu za dzwonili na posterunek Paddington i ja dostałam tę sprawę.

- Tam pani pracowała?
- Tak. Zabrałam Alice do szpitala i nie spuszczałam z niej oka. Byłam z nią, gdy lekarz zakładał jej opatrunek. Leżała na brzuchu, bez słowa, na wpół zszokowana, nawet nie płakała. Doktor pozwolił mi trzymać ją za rękę. Miała wtedy siedem lat.

- Jenny Arliss powiedziała, że mała nie mogła lub nie chciała mówić.
- Ani słowa, ani żadnego dźwięku. Nawet nie roniła łez. Ale kiedy doktor

skończył, obdarzyła mnie nikłym uśmiechem, który rozdarł mi serce.

- Wtedy powiedziała pani o niej Goodisonom?

- Tej samej nocy - po tym, jak odwiozłam ją do domu, za pakowałam do łóżka i upewniłam się, że zostaje pod opieką na wpół pijanych mamuśki i tatuśka oraz wujka, który miał służyć wsparciem, gdyby oni odjechali.

- Ten wujek to Ned, zgadza się? Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było zimne, zrównoważone, i bezlitosne. Spojrzenie rasowego gliny, pomyślał Durant.

- Jenny podała panu jego imię? Durant potaknął.

- Czasami za dużo miele jęzorem.

- Wróćmy do Goodisonów.

- Musiałam powiedzieć komuś o Alice, więc wybrałam się z Hughesem i Paulina na kolację do tego indyjskiego baru, gdzie podają wspaniałe curry. Kiedy opowiedziałam im o Alice, byli stosownie wstrząśnięci, czy przynajmniej sprawiali takie wrażenie. A potem, nie wiem, chyba zaproponowałam, żeby zahipnotyzowali Alice, by zobaczyć, czy mała powie, kto to zrobił.

- Jak zareagowali?

- Zawsze byli sprytni. Przez cały czas zawracali mi głowę, żebym załatwiła im jakąś policyjną sprawę, a teraz, gdy im to zaproponowałam, raptem zrobili się przesadnie skromni. Pow tarzali, że nie są pewni, że mają za małe doświadczenie, i tym podobne głupoty. W końcu doprowadzili do tego, że sama błagałam ich, by to zrobili. Najpierw powiedzieli, że nie; potem, no cóż, może, a w końcu zgodzili się. By to uczcić, pojechaliś my do ich mieszkania w Hammersmith i tam odwaliliśmy kilka świńskich numerów.

- Co dalej?

- Następnego dnia pogadałam z naczelnikiem posterunku. Stary odniósł się zimno do tego pomysłu, ale w końcu stopniał na tyle, że powiedział „może”

- pod warunkiem, że będzie obecny lekarz. Przekonanie go zajęło mi prawie tydzień, i w czasie tych przepychanek każdy wieczór spędzałam z Alice. Przesia dywałam z nią tak długo, jak tylko mogłam, i dziewczynka za częsta mruzczyć.

- Co?

- Piosenki. Leżała i nuciła jedną po drugiej. Ale nadal nie chciała mówić. Ani słowa. Mamuśka i tatuścio zalewali się ginem, a wujek Ned latał naokoło, rozkładał ręce i próbował łagodzić sprawę.

- Ile lat mieli rodzice i wujek Ned?

- Wszyscy mieli po trzydziestce. Dlaczego pan pyta?

- Bez powodu - powiedział Durant. - Wyłącznie z ciekawości.

- Tak więc ustaliliśmy datę seansu, ale Goodisonowie najpierw chcieli porozmawiać z rodzicami Alice. Spotkaliśmy się w kawiarni, gdzie Paulina i Hughes wyjaśnili im, co mają nadzieję osiągnąć. Mama i tata zaczęli niepokoić się, ile to będzie kosztowało, a ja powtarzałam, żeby się nie przejmowali, bo rachunek zapłaci policja. Wreszcie trafiło to do nich, nastrój im się poprawił i podryfowali do najbliższej knajpy. Wtedy ja zabrałam Goodisonów na spotkanie z Alice i wujkiem Nodem. Tam ich zostawiłam, ponieważ musiałam wrócić na posterunek. Mary Ticker popatrzyła na pustą szklanę i zapytała:

- Chce pan następnego?

- Tak, dzięki.

Mary wróciła z kuchni, podała Durantowi drinka, pociągnęła łyka ze

swojego, usiadła i powiedziała:

- Na czym skończyłam?

- Jak Goodisonowie zostali z wujkiem Nedom.

- I Alice - dodała. - Dwa czy trzy dni później w salonie rodziców odbył się seans. W obecności mnie, policjanta, lekarza, mamuśki i tatuńcia, wujka Neda i oczywiście Goodisonów. Paulina wprowadziła Alice w trans w ciągu niecałej minuty, a minutę później Alice oznajmiła, że zgwałcił ją jej ojciec.

- Pani jej uwierzyła?

- Oczywiście. No cóż, nigdy pan nie widział takiego zamieszania. Ojciec skoczył do Alice i musiałam go znokautować. Matka wrzeszczała: „Cholerny morderca!”, czy coś równie głupiego. Wujek Ned kręcił się wkoło, załamywał ręce i na okrągło powtarzał: „biedne maleństwo, biedne maleństwo”, póki nie kazałam mu się zamknąć. Policjant i lekarz próbowali uspokoić matkę, a Alice paplała, ile razy ojciec jej to zrobił. Zaobrączkowałam tatuńcia, doszło do rozprawy i zarobił pięć lat. Mamuśka po prostu zniknęła i Alice zamieszkała z wujkiem, a Goodisonowie byli już w połowie drogi do sławy.

- Jak wtedy układały się wasze stosunki? - zapytał Durant.

- Wcale się nie układały. Rzucili mnie.

- Widywała się pani z Alice?

- Wpadałam do niej, gdy miałam wolną chwilę. I raz zajrzałam w niedzielę rano. To były jej urodziny, dziewiąte, i miałam dla niej prezent. Zapukałam, ponieważ dzwonek nie działał. Kiedy nikt nie odpowiedział, nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte, więc weszłam do środka. Pomyślałam, że zostawię prezent i pójdę. Potem to usłyszałam. Jakieś jęczenie. To nie było wielkie mieszkanie. Podobne do tego, ale na parterze.

Przerwała, by napić się whisky i zapalić następnego papierosa. Wypuściła dym i podjęła opowieść.

- Byli tam, nadzy i w trakcie, słodka Alice i miły wujek Ned. Wtedy wpadłam w szal. Złapałam Alice i zamknęłam ją w łazience. Następnie podeszłam do tego skurwiela, wujka Neda, i złamałam mu rękę, lewą. Potem przysięgłam, że złamię mu prawą, jeśli nie powie mi prawdy. No cóż, wyznał mi prawdę, a ja i tak złamałam mu prawą łapę.

- Więc od początku był to wujek Ned, nie ojciec, zgadza się? Mary ze zmęczeniem pokiwała głową.

- Zaczęli, gdy Alice miała pięć lat. Wujek Ned zapłacił Hughesowi i Paulinie trzy tysiące funtów, by sfingowali seans. Hughes i Paulina wyszkolili Alice, jak udawać zahipnotyzowaną, co ma mówić i jak. Hughes miał przyjaciela, który dał cynk prasie. To była śmierdząca sprawa.

Dopiła drugiego drinka; zdawało się, że alkohol nie wywiera na niej najmniejszego wpływu. W popielniczce palił się papieros, o którym musiała zapomnieć, ponieważ zapaliła nowego. Wydmuchnęła dym i powiedziała:

- Nikt mi nie uwierzył. Wujek Ned oświadczył, że włamałam się i napadłam na niego. Alice poparła go i powiedziała, że nie jeden raz próbowałam ją pieścić. W czasie przesłuchania Goodisonowie oznajmili, że czyniłam awanse Paulinie. Pozwo lono mi złożyć rezygnację bez większego zamieszania. Wszystko potoczyło się szybko, bardzo szybko - zwłaszcza kiedy okazało się, że biedny tatko popełnił samobójstwo.

Znów obrzuciła Duranta spojrzeniem zimnego, twardego gliny.

- Wie pan, co się dzieje w pudle z facetami, którzy dobierają się do dzieci?

Durant skinął głową.

- Tak, kazali mu robić to na okrągło. Gdy nie mógł już wytrzymać, położył się spać z plastikowym workiem na głowie i już się nie obudził.

- Czym się pani obecnie zajmuje?

- Pracuję w sklepie na dole. Właściciel handluje prochami z wybraną klientelą i lubi mieć w pobliżu eks-glinę na wypadek, gdyby jakiś klient wpadł w szal, jak się okaże, że nie może dostać na kredyt. Płaci mi na lewo i, no cóż, jakoś wystarcza.

- Co stało się z Alice?

- Nigdy nie pytałam - powiedziała Mary Ticker. Zmarszczyła brwi, jak gdyby właśnie coś przyszło jej na myśl i zapytała: - Jest jakaś szansa, że nie żyją?

- Goodisonowie? Skinęła głową.

- To możliwe.

- Świetnie - rzekła z nikłym uśmiechem, który sprawił, że wyglądała jeśli nie na szczęśliwą, to przynajmniej na zadowoloną.

10

Rozmawiający znajdowali się po przeciwnych stronach umownej międzynarodowej linii zmiany daty, z tego też powodu, gdy Artie Wu zatelefonował z Londynu o 12.04 w nocy we wtorek, przebywający w trzypokojowym apartamencie hotelu „Peninsula” w Manili Booth Stallings podniósł słuchawkę o 8.04 w środę rano.

Wu i Stallings nie rozmawiali z sobą od pięciu lat i w konsekwencji Wu zafundował Stallingsowi minutę czegoś, co ten uznał za dość drogie powitanie i pozdrowienie pro forma. W końcu Wu przeszedł do rzeczy.

- Pogadajmy o forsie, Booth, ponieważ jeżeli tego nie uzgodnimy, nie ma sensu rozmawiać o niczym więcej.

- Pasuje.

- Początkowa opłata wynosi pięćset tysięcy. Jeśli zrobimy to, do czego zostaliśmy wynajęci, dostaniemy jeszcze dwieście pięćdziesiąt, co ostatecznie daje siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Z tego Quincy i ja, jako szefowie, weźmiemy po dwieście. Ty, Otherguy i Georgia po sto.

- Brzmi dobrze, jeśli nie wspaniale.

- Klient, zapewniając sobie usługi naszej firmy, wpłacił bez zwrotną zaliczkę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy funtów. Ale te pieniądze są przeznaczone na zaległe wypłaty, długi i przyszłe wydatki.

- Musieliście mieć suchy okres, Artie.

- Jak pieprz.

- Jeśli dobrze liczę - powiedział Stallings - liczby, jakie wymieniłeś, nie licząc zaliczki, dają siedemset, a nie siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

- Pozostałe pięćdziesiąt tysięcy będzie trzymane w rezerwie do końca roboty na wypadek nieprzewidzianych wydatków. Jeśli takowych nie będzie, podzielę je na pięć równych części i rozdram jako premię lub odprawę.

- Albo jedno i drugie - dopowiedział Stallings.

- Albo jedno i drugie.

- To, co mówisz, zaczyna być interesujące. Co mamy zrobić, by dostać tę forszę?

- Znaleźć dwoje zaginionych hipnotyzerów.

- Co jeszcze?
- Taki jest cel, lecz, aby do niego dotrzeć, prawdopodobnie będziemy musieli zdecydować się na nielichy bieg na przełaj.
- Gdzie?
- W Los Angeles i okolicach.
- Hmm... cholera, miałem nadzieję, że w Londynie i okolicach.
- W LA jest lepsza pogoda.
- Chyba że tak - zgodził się Stallings. Po króciutkiej pauzie Wu zapytał:
- Możesz mówić?
- Georgii jeszcze nie ma.
- Kiedy wyszła?
- Wczoraj po południu. Zabrałem ją z Kobiecego Zakładu Karnego w Mandaluyong, Mercedesem, który wynająłem w hotelu. Wziąłem nawet kwiaty i butelkę szampana. Szampana wy piła, ale gdy wysiadaliśmy przed hotelem, kwiaty zostawiła w wozie.
- Jaka ona jest?
- Na zewnątrz nie wydaje się zmieniona.
- A psychicznie?
- Bystra jak zawsze. Może nawet bardziej. Ale przypuszczam, że ma kilka emocjonalnych skrzywień, które trzeba wyprostować.
- Co jej powiedziałaś?
- Tylko to, że ty i Durant macie coś do zrobienia i potrze bujecie jej, Otherguya i mnie do pomocy.
- A ona?
- Że brzmi to jak ciąg dalszy zabaw z pudła.
- To wszystko?
- Jak na razie tak.
- Może brakuje jej wiary w siebie.
- Powiedz mi coś, Artie. Jak tchnąć wiarę w człowieka, który ma ego twarde jak skała?
- Znajdziesz sposób - powiedział Wu i zamilkł. Stallings usłyszał cichy trzask dobiegający z odległości dwudziestu tysięcy kilometrów, spowodowany, jak się domyślał, przez zapalniczkę Wu. Po trzasku nastąpiło albo westchnienie, albo dźwięk towarzyszący wydmuchiowaniu dymu. Potem Wu powiedział: - Mam dla ciebie trochę wiadomości i trochę wyjaśnień. Ci hipnoterapeuci to raczej zboczone brytyjskie rodzeństwo związane z Iona Gamble.
- Amerykańskim łamaczem serc.
- Naprawdę tak jest zwana?
- Głównie przez takich starych gruchotów jak ja, którzy znaj dują pocieszenie w określeniach z czasów młodości. Prawda jest taka, Artie, że od czasu śmierci Sheilah Graham nie nadażam za Hollywood.
- W takim razie być może nie wiesz, że panna Iona Gamble została oskarżona o zamordowanie Williama A.C. Rice'a Czwartego.
- Jakbyś nie wiedział, „USA Today” dostarczają pod drzwi pokojów hotelowych na całym świecie. Widziałam nagłówki, ale nie mogę powiedzieć, że śledziłem tę sprawę dokładnie.
- Zatem może zechcesz to nadrobić.
- Okay.

- Moja nowina jest następująca: panna Gamble zaangażowała twojego zięcia, by ją bronił.

- Mam dwóch zięciów - rzekł Stallings. - Jeden z nich jest zbyt głupi, by odlać się do gumowego kalosza i nie jest prawnikiem, w takim razie musisz mówić o Howie'em Mottcie, prawda?

- Tak

- Znasz Howie'ego? Przypuszczam, że tak, skoro to on polecił mi was w osiemdziesiątym szóstym.

- Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale jak się zdaje, ma my wielu wspólnych znajomych. Stallings jedynie chrząknął i powiedział:

- Kiedy mamy być w LA?

- Możecie przylecieć jutro?

- Pierwszą klasą?

- Myślę, że Georgia zasługuje na pierwszą klasę.

- Chyba tak - powiedział Stallings. - Mam coś zrobić w LA?

- Tak. Znajdź umeblowany dom, coś okazałego w Palisades Malibu. Wystarczająco duży dla nas pięciorga. Wynajmij go na miesiąc z możliwością przedłużenia o kolejny. Przekażę telegraficznie pięćdziesiąt tysięcy na twoje nazwisko do Banku Amerykańskiego - do tej filii na starej Malibu Road. Założysz konto czekowe na siebie, Quincy'ego i mnie, wyciągniesz tyle gotówki, ile będziesz potrzebował, i poprosisz prezesa banku, by polecił ci dobrego agenta od nieruchomości.

- Jaki jest mój status? - zapytał Stallings.

- Jesteś stałym przedstawicielem Wudu Limited, Eight Bruton Street, Berkeley Square Londyn. Poprzednio byłeś naszym stałym przedstawicielem na Bliski Wschód, z kwaterą w Ammanie, gdzie prowadziłeś badania i pomiary aż do mdłości.

- Mówiąc o mdłościach - czy Otherguy się pokazał?

- Quincy zabrał go na obiad albo kolację i właśnie mówi mu to, co ja powiedziałem tobie.

- Założę się, że Otherguy powie Quincy'emu, iż osobiście zna Lone Gamble.

W Londynie rozległo się albo westchnienie, albo Artie Wu znów zaciągnął się dymem.

- Zabawne, gdy się okaże, że faktycznie ją zna.

Po tym, jak kelner hotelowy wtoczył wózek śniadaniowy i wyszedł, Booth Stallings ruszył przez salon w stronę zamkniętych drzwi sypialni. Nim do nich dotarł, drzwi stanęły otworem i do salonu weszła bosa, ubrana w biały hotelowy szlafrok Georgia Blue.

Stallings po raz siedemnasty w ciągu dwudziestu czterech godzin zauważył, że Georgia porusza się z niezmienną gracją na swych długich nogach, które zapewniały jej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu na bosaka i co najmniej metr osiemdziesiąt w butach. Jej jasnozielone oczy przeskoczyły ze Stallingsa na wózek śniadaniowy. Podeszła do niego i, unosząc pokrywę, łakomie wdychała zapach każdego dania. Zanim sięgnęła po łyżkę, przecesała palcami krótkie, rdzawobrazowe włosy, które teraz chlubiły się szerokim na dwa centymetry pasemkiem bieli. Pojawiło się ono w więzieniu krótko po jej trzydziestych piątym urodzinach, niecałe dwa lata temu. Pasemko znajdowało się wprost nad wysokim, szerokim czołem, za którym, jak Stallings

wiedział, krył się niezmiernie inteligentny umysł. Nie miała makijażu, a włosom poświęciła jedynie to jedno niedbałe przeciągnięcie palcami.

Georgia stała, nakładając na talerz jajecznicę, kielbaski i tropikalne owoce, Stallings zaś próbował odpowiedzieć sobie na pytanie czy jego namiętność do niej nie przekształciła się w końcu w obsesję. Właśnie doszedł do wniosku, że za cholerę nie jest pewien, gdy ona wrzuciła na talerz dwie bułeczki i powiedziała:

- Chryste, Booth, zamówiłeś jedzenie dla sześciu.

- Jeśli posłuchać ludzi ze wsi, śniadanie jest najważniejszym posiłkiem w ciągu dnia.

- Mleko - powiedziała, nalewając je do szklanki. - Nigdy nie przypuszczałam, że będę kiedyś marzyć o mleku.

Postawiła talerz i szklankę na małym stoliku, po czym wróciła po łyżkę i widelec, ignorując noże. Usiadła i zaatakowała jedzenie, od czasu do czasu rzucając ostrzegawcze spojrzenia Stallingsowi, który nakładał na talerz bekon i jajka.

Popatrzył na nią, uchwycił jedno z jej spojrzeń i powiedział:

- Zwolnij, Georgia. Nikt nie zamierza ci tego odebrać. Zignorowała go i wróciła do pośpiesznego jedzenia. Stallings usiadł naprzeciw niej i posmarował bułkę masłem.

- Jak to się stało, że nie straciłaś na wadze?

- Ponieważ odbierałam jedzenie mniejszym i słabszym kobietom.

- Dziwię się, dlaczego nie zebrały się i nie dokopały ci.

- Nim się na to zdecydowały, byłam już największą menda wszawego gangu.

Chociaż jej talerz był jeszcze na wpół pełen, odłożyła łyżkę i widelec, odchyliła się do tyłu na krześle, popatrzyła na Stallingsa i powiedziała:

- Skoro mamy lecieć jutro do Los Angeles, muszę kupić sobie jakieś ciuchy.

- Nie przypominam sobie, bym coś wspominał na temat ju trzejszego wyjazdu.

- Artie to zrobił. Podniosłam słuchawkę między kolejnymi sygnałami, tak jak nauczono mnie w Secret Service, i słuchałam, jak denerwujecie się o mnie niczym dwie stare panny. Co mamy zrobić z Georgią, tym biedactwem? No cóż, po pierwsze, możecie dać mi parę rzeczy.

- Jakich?

Uśmiechnęła się do niego.

- Pewnie myślisz o prochach, co?

- Cokolwiek chcesz.

- Słuchaj, jestem przestępcą ze złagodzonego wyrokiem, nie po amnestii. Gdybym została skazana w Stanach, nie mogłabym głosować, zasiadać w ławie przysięgłych ani zostać prezydentem, dopóki jeden ze stanów nie przywróciłby mi praw obywatelskich - chociaż jedynym prawem obywatelskim, jakiego pragnie większość przestępców w Kalifornii, jest prawo do posiadania broni. Ale zostałam skazana w innym kraju i nie bardzo wiem, co mówi na ten temat prawo, jednak jestem cholernie pewna, że nikt w ambasadzie amerykańskiej nie będzie sobie wypruwał flaków, by wyrobić mi nowy paszport czy dać urzędowy dokument, jaki dostają przestępcy, którzy chcą wrócić do domu.

- Jak to się stało, że nie zostałam deportowana?

- To była część umowy, jaką zawarłam - żadnej deportacji.
- Okay. Potrzebny ci paszport. Co jeszcze?
- Ubrania.
- Ubierz się. Przejdziemy na drugą stronę ulicy i zrobimy ci zdjęcie do paszportu. Potem dam ci trochę forsy i kupisz sobie ciuchy, podczas gdy ja załatwię ci paszport.
- Wiesz jak?
- Wiem.
- Musisz mieć za sobą pouczające doświadczenia. To dzięki współpracy z Otherguyem, od ilu lat - od pięciu?
- Mniej więcej.
- Co u niego? Nie myśl, że to mnie jakoś szczególnie obchodzi.
- Jak zawsze.
- Dlaczego Artie i Durant przysłali po mnie ciebie, a nie Otherguya?
- Bo Artie myśli, że nadal jestem w tobie zakochany.
- Jesteś?
- A jak myślisz?
- Mam nadzieję, że nie, ponieważ nie mogę dać ci niczego poza seksem... - stwierdziła i dokończyła z doskonałą obojętnością: - ...kochanie.
- Może to wszystko, czego pragnę - powiedział Stallings.

11

Po trzeciej przejażdżce taksówką Booth Stallings przeprowadził czwartą rozmowę telefoniczną, tym razem z holu ho telu „Manila”. Po pierwszym sygnale zgłosiła się kobieta z filipińskim akcentem, która powiedziała, że samochód zostanie podstawiony dokładnie za sześć minut, sto metrów na północ od hotelu przy Roxas Boulevard. Stallings stawiał się w wyznaczonym miejscu o 12.08 w południe i minutę później wsiadł do czterodrzwiowej Toyoty z 1974 roku z uszkodzoną klimatyzacją.

Obok kierowcy, młodego Filipińczyka, siedziała jego równie młoda żona, przyjaciółka, czy nawet, jak Stallings podejrzewał, członek oddziałów uderzeniowych Armii Nowych Ludzi, którą Filipińczycy ze swoim zamiłowaniem do nadawania przezwisk nazywali „Drużyną jaskółek”. Ta para zapewniła Stallingsowi zlaną potem, bezcelową i głównie milczącą przejażdżkę po Manili, która trwała dokładnie pięćdziesiąt dziewięć minut.

Stallings był zaskoczony, jeśli nie wstrząśnięty tym, jak bardzo to rozległe miasto podupadło od czasu, gdy był tu po raz ostatni na początku 1988 z Otherguy Overbym, podczas próby finansowej reanimacji po krachu giełdowym w 1987 roku.

Overby kilka razy wyjaśnił swój plan krok po kroku i Stallings w końcu zgodził się wykupić akcje syndykatu, który został założony w celu odnalezienia pięciu, pięćdziesięciu czy nawet stu ton złotych sztab. Sztaby te, jak wieść niesła, zostały zakopane przez generała Yamshitę Yomoyuki, Tygrysa Malajów, gdy japońska armia wycofała się z Manili w pierwszych miesiącach 1945 roku.

Stallings, który uważał się za kogoś w rodzaju autorytetu w dziedzinie historii Filipin, przekonywał, że Złoto Yamashity, jak je nazywano, przede wszystkim nie zostało zakopane przez Yamashitę, ale przez lwabuchi Sanjiego, twardego i bezlitosnego japońskiego kontr admirała, który zajął Manilę po

ucieczce Yamashity.

Admirał ten prowadził ostre walki o każdy dom w Manili, w efekcie doprowadzając do zniszczenia całego miasta. I te ostatnie bezsensowne bitwy dały admirałowi Iwabuchi czas, jakiego potrzebował na zakopanie sztab.

Otherguy słuchał cierpliwie drobiazgowej i nieco przydługiej relacji Stallingsa, a po jej zakończeniu zapytał:

- Ty naprawdę wierzysz, że złoto jest tutaj, prawda?

- A ty nie?

- Wierzę, że inni wierzą, że tu jest - powiedział Overby. - Tak samo jak wierzę, że inni wierzą w nieskazitelne koncepcje. I to dlatego wejdziemy w ten interes, Booth, ze względu na czystą, ślepą wiarę.

Miesiąc później na terenie działki poszukiwawczej na północ od Manili znaleziono trzy sztaby złota z japońską próbą. Akcje syndykatu natychmiast skoczyły w górę, a Overby i Stallings od razu pozbyli się swoich, co przyniosło im osiemset procent zysku, nawet po odliczeniu pieniędzy wydanych na trzy złote sztaby, które Overby kupił, sfalszował i zakopał, by wprowadzić wszystkich w błąd.

Młoda kobieta siedząca z przodu, która mogła mieć, jak Stallings przypuszczał, nie więcej niż dwadzieścia bądź dwadzieścia jeden lat, w końcu odwróciła się do niego i zapytała:

- Jak się panu podoba nasze miasto?

- Wydaje się, że jego stan się pogarsza.

- Był pan wcześniej w Manili?

Stallings odpowiedział, że był w 1945, 1986 i 1988 roku.

Dziewczyna odwróciła się z powrotem do kierowcy.

- On był tutaj z McArthurem!

Kierowca wzruszył ramionami, mrucząc coś, co zabrzmiało jak: „A kogo to obchodzi?” i zatrąbił na płaczący się na drodze skuter.

Przejażdżka zakończyła się przy wielkim parterowym domu na skraju ponurej dzielnicy slumsów. Zbudowany z betonowych elementów dom pysznił się spiczastym dachem z falistej blachy, w połowie pokrytym wspaniałą bugenwilią. Rozpięta na palikach druciana siatka przed domem odgradzała połąć twardo ubitej ziemi i tworzyła zagrodę dla dwóch kóz, trzech kaczek, sześciu kur i koguta.

Kiedy Toyota zatrzymała się, młoda kobieta rzuciła przez ramię:

- Czeka na pana.

Stallings podziękował za podwiezienie, wysiadł z samochodu, domyślił się, jak otworzyć furtkę, wszedł na podwórze, zamknął furtkę, podszedł do otwartych drzwi i zapukał.

Muskularny trzydziestopięcioletni Filipińczyk, ubrany w spłó-wiałą koszulkę z wizerunkiem Batmana, powitał Stallingsa groźnym, długim, ciężkim spojrzeniem, po czym skinął obcesowo, co Stallings zinterpretował jako: „No cóż, skoro już jesteś, to włącz do środka”.

Wewnątrz męczyzna zniknął za jakimiś drzwiami i Stallings został sam w kwadratowym pokoju z dwoma tuzinami składowych metalowych krzesel, ustawionych w trzy rzędy przed starym drewnianym biurkiem. Na środku blatu stał telefon. Dookoła czterech krawędzi biurka widniały liczne ślady wypalone przez papierosy. Pod ścianą na lewo od biurka stała zamknięta na kłódkę

metalowa szafa, z rodzaju tych, jakich w biurach używa się do przechowywania akt, a tuż na lewo od niej znajdowała się kopiarka Toshiba.

Za biurkiem siedziała kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Miała okrągłą twarz i siwiejące włosy. Była ubrana w ogromną, luźną bawełnianą suknię w gigantyczne słoneczniki. Stallings doszedł do wniosku, że mimo wielkości przyodziewku kobieta nie jest tak gruba jak wtedy, gdy widział ją w Hongkongu pięć lat wcześniej.

- Jak się masz, Minnie?

Minnie Espiritu odchyliła się do tyłu, spojrzała na niego po nuro, potem uśmiechnęła się i powiedziała:

- Siadaj, Booth.

Stallings wybrał jedno z krzeseł stojących w pierwszym rzędzie.

- Straciłaś nieco na wadze. Dobrze wyglądasz.

- Rak mnie nadgryzł i teraz wyglądam jak własny cień.

- Przepraszam, nie wiedziałem.

- A skąd mógłbyś wiedzieć? Rozcięli mnie, wycięli go i teraz twierdzą, że nic nie zostało, ale... - wzruszyła ramionami.

- Gdybym mógł coś...

- Nic - ucięła, nie pozwalając mu dokończyć. Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Stallings.

- Te dwa dzieciaki zafundowały mi wycieczkę po mieście. Wszystko się rozwala, prawda?

Westchnęła, potem pokiwała głową i powiedziała:

- Wymienili łapownictwo w stylu Marcosa na znak firmowy Aquino i teraz wszyscy są wstrząśnięci, że to żadna różnica. Naszej gospodarce brakuje rąk i nóg, a wszystko, co robimy, to wyklócanie się z Waszyngtonem o te wszawie bazy wojskowe. Wiesz co, Booth? Mieliśmy status kraju Trzeciego Świata, ale spadliśmy do rangi kraju czwartego świata na krawędzi katastrofy - na poziom Bangladeszu, i nikt niczego nie zauważył ani nikt się tym nie przejął.

- Jak idzie rewolucja, Minnie?

- Mur Berliński prawie ją przyćmił. Ale nadal walczymy. Ktoś musi - chociaż czasami myślę, że gdyby to naprawdę ode mnie zależało, sprzedałabym wszystko Japończykom i pozwoliła im przekształcić kraj w pola golfowe i burdele.

Westchnęła raz jeszcze i zaproponowała papierosa Stallingsowi, który przecząco pokręcił głową. Zapaliła, wydmuchnęła dym w sufit i zapytała:

- Co ci potrzebne, Booth?

- Paszport.

- Jaki?

- Amerykański.

- Dla kogo?

Stallings sięgnął do bocznej kieszeni brązowej popelinowej marynarki, wyciągnął kolorowe paszportowe zdjęcie, wstał i położył je na biurku.

- Pamiętasz ją?

Minnie Espiritu pochyliła się i zerknęła na fotografię Georgii Blue.

- Oczywiście. Panna Trudny Przypadek z 1986 roku. Była agentka Tajnej Służby. Weszła wam w drogę i zarobiła pięć lat. Potem ubiła interes z opozycją Aquino i złagodzono jej wyrok.

Minnie Espiritu popatrzyła na Stallingsa, obdarzyła go szeroko kim

uśmiechem i zapytała:

- Interes, romans czy trochę tego, trochę tego?
- Z natury jestem niezmiernie wyrozumiała.

- Jesteś również cholernym starym głupcem. - Minnie z wściekłością spojrziała na papierosa, cisnęła go na betonową posadzkę i zmiażdżyła obcasem. Rozgniatając go, powiedziała: - To będzie kosztowało pięć tysięcy dolarów.

- O Jezu.
- To moja ostatnia cena.
- Jaka jakość?

- Doskonała. Znaleźliśmy sobie w waszej ambasadzie zdegenerowanego hazardzistę, wykupiliśmy jego weksle i odsprze daliśmy mu za dziesięć czystych blankietów paszportowych. Możemy ci zaoferować coś, co wygląda tak, jakby właśnie przyszło z Waszyngtonu.

- Kupuję.
- Zatem potrzebne mi imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia tej Blue.

Stallings wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął świstek papieru. Wstał, podał go Minnie Espiritu, usiadł i zapytał:

- Kiedy mogę go zabrać?
- Jeśli przyniosłeś forszę, możesz poczekać.

- Poczekał - powiedział Stallings. Rozpiął trzy środkowe guziki koszuli i rozsunął zamek błyskawiczny nylonowego pasa z pieniędzmi.

O 11.25 następnego dnia Stallings i Georgia Blue siedzieli w holu chińskich linii lotniczych na międzynarodowym lotnisku imienia Benigno Aquino, czekając na samolot do Taipei. Podszedł do nich Filipińczyk średniego wzrostu około czterdziestki, uśmiechnął się i zagadnął:

- Tworzycie śliczną parę.

Georgia Blue podniosła głowę znad numeru „Time'a”, by przyjrzeć się nieskazitelnemu kremowemu garniturowi, błyszczącej czarnej fryzurze, bladobeżowej cerze, ciekawskiemu no sowi, doskonałemu, choć obojętnemu uśmiechowi i wielkim ciemnobrązowym oczom, które mówiły, jak bystry jest ich właściciel.

Uśmiechnęła się, trąciła łokciem Stallingsa i powiedziała:

- Pamiętasz porucznika Cruza, kochanie - tego miłego policjanta?
- Kapitana Cruza - poprawił z naciskiem mężczyzna.
- Oczywiście. Musiał awansować pan niedawno, prawda? Gratuluje.

Cruz podziękował jej przelotnym uśmiechem i zwrócił się do Stallingsa.

- Spotkaliśmy się pięć lat temu.
- Tak.

- Przyszedłem tutaj z dwóch powodów. Po pierwsze, by po machać na pożegnanie, a po drugie, by zapytać pana o ten zabawny i dziwny telefon, jaki otrzymałem tydzień czy dziesięć dni temu. Ale zanim do tego przejdziemy, chciałbym zobaczyć wasze paszporty i bilety.

- Czemu? - zapytał Stallings.

- A czemu nie? Stallings wzruszył ramionami i podał swój paszport z biletami. Georgia Blue podała swoje dokumenty w chwilę później. Kapitan Cruz najpierw sprawdził bilety.

- Chińskimi liniami lotniczymi do Taipei, potem przesiadka do pierwszej klasy linii singapurskich na lot z międzylądowaniem do Los Angeles. Powinno

być całkiem przyjemnie.

Oddał bilety i otworzył paszport Stallingsa.

- Jak tam Jordania?

- Padało, kiedy wyjeżdżałem - powiedział Stallings.

- Poważnie? - Cruz oddał mu paszport i zaczął uważnie przeglądać dokumenty Georgii Blue. W końcu popatrzył na nią i zapytał: - Czy jest pani zadowolona z przedłużonego pobytu na Filipinach, panno Blue?

- Raczej nie.

- Planuje pani wrócić?

- Nie.

- Doskonały dokument - powiedział, postukując paszportem o paznokieć lewego kciuka. Stukał i stukał, jak gdyby mogło to pomóc mu w podjęciu decyzji, czy ma skonfiskować paszport, czy też go zwrócić. Kremowa marynarka Cruza poruszyła się lekko, co Stallings zinterpretował jako wzruszenie ramion. Stwierdził, że miał rację, gdy kilka sekund później Cruz podał Georgii paszport i powiedział:

- Bezpiecznego lotu.

Zanim zdołała podziękować czy powiedzieć cokolwiek innego, Stallings zapytał:

- O co chodzi z tym śmiesznym dziwnym telefonem?

- Racja, telefon. Z Niemiec, z Frankfurtu. Rozmówca powiedział, że nazywa się Glimm. Enno Glimm. Zna go pan? Stallings przecząco pokręcił głową.

- Chciał wiedzieć, czy nie mógłbym zarekomendować mu albo przynajmniej poręczyć za Artie'ego Wu i Quincy Duranta, pańskich eks-co? Partnerów?

- Zarekomendować do czego?

- Do jakiegoś niejasnego i czysto chwilowego interesu. Glimm nie mówił konkretnie. Prawdę mówiąc, był konkretny tylko w jednym: że ten interes nie dotyczy Filipin. Ale musiałem się napracować, by to z niego wyciągnąć. Potem, jak usłyszałem, że przejeżdża pan przez miasto, wpadło mi do głowy, że być może wie pan, co zamierzają Wu i Durant.

- Nie widziałem żadnego z nich co najmniej od pięciu lat.

- Szkoda.

- I co pan zrobił? Zarekomendował ich pan?

- Powiedziałem Glimmowi, że jako policjant nie mogę polecać ich nikomu. Ale gdybym nie był policjantem i potrzebował kogoś do, powiedzmy, zaprowadzenia mnie bezpiecznie do piekła i z powrotem, to z pewnością zadzwoniłbym po Wu i tego... ech... Quincy Duranta.

Georgia Blue wstała i powiedziała:

- Wywołują nasz lot.

Kapitan Hermenegildo Cruz uśmiechnął się do Georgii, która w butach na obcasach przewyższała go o dziesięć centymetrów.

- Nie wracaj. Nawet o tym nie myśl - powiedział. Obdarzyła go swym najmiłszym uśmiechem.

- Cóż za rozsądna propozycja.

12

Iona Gamble, która znów siedziała za biurkiem memphiskiego maklera, za

pomocą jedynie ciszy i ołówka stwarzała napięcie tak wielkie, że według Howarda Motta można by je posmakować i dotknąć. Podejrzał, że gdyby zwiększyła je choć odrobiny, smakowałoby tak, jak musi smakować elektryczność, i byłoby odczuwane niczym śmiertelne zagrożenie.

Uznał jej wyczyn za olśniewający i zastanowił się, jaką jego część ukradnie lub pożyczycy, by w przyszłości wykorzystać we własnych wystąpieniach sądowych. Mott był szczególnie zafascynowany tym, w jaki sposób Iona zadbała o tło, ściągając gęste jasnobrązowe włosy w ciasny staropanieński kok i nie nakładając makijażu, by podkreślić charakter twarzy, a zminimalizować urodę. Jednakże wymagania estetyczne aż nadto dobrze zaspokajały piersi, których zarys widoczny był pod prostą białą koszulką polo.

I był jeszcze ołówek - długi, żółty, świeżo zatemperowany - który studiowała w milczeniu przez prawie trzy minuty, obracając go to w tę, to w drugą stronę, ale pilnując, by czubek, niczym igła kompasu, zawsze celował w gardło Howarda Motta.

Mott siedział na kanapie krytej perkalem. Jack Broach, elegancki agent-prawnik-menedżer w jednej osobie, rozparł się w wygodnym fotelu i przerwał panujące w pokoju napięcie.

- Iona, czy mogłabyś przestać pieprzyć się z tym ołówkiem?

Iona podniosła głowę z doskonale wypracowanym wyrazem skrzywdzonej niewinności, potem popatrzyła na ołówek tak, jakby nigdy wcześniej go nie widziała. Powoli otworzyła dłoń i pozwoliła, by ołówek stoczył się po palcach i spadł z trzaskiem na biurko.

- Przepraszam. Ja... ja robiłam to nieświadomie. Jack Broach nagroził występ trzema kłasnęciami. Ignorując Broacha, Iona obdarzyła Motta aż nazbyt słodkim uśmiechem i powiedziała:

- Zastanawiam się, Howie, czy miałbyś coś przeciwko, by wyjaśnić raz jeszcze - i jak najprościej - dlaczego wynajęłeś tych czubów hipnotyzerów?

- Oczywiście - odparł Mott. - Jak wspomniałem wcześniej, dowiedziałem się o nich z pochlebnego artykułu w brytyjskim czasopiśmie prawniczym, ale wynajęłem ich dopiero po rozmowie z trzema godnymi szacunku adwokatami z Londynu, którzy polecali ich gorąco, podobnie jak dwaj wysocy oficerowie z miejskiej policji. Równie znaczący, przynajmniej dla mnie, był fakt, że Goodisonowie, brat Hughes i siostra Paulina, byli klientami Glimma...

- Pośrednika hipnotyzerów - wtrąciła Iona.

- ...który sam w sobie jest dostateczną rekomendacją.

- Chodzi ci o to, że Glimm gwarantuje zwrot pieniędzy, co jakoby ma oznaczać, że jego hipnotyzerzy nie okażą się szantażystami czy naciągaczami?

- Dokładnie - potwierdził Mott. - Prawdę mówiąc, już przed sięwzięciem odpowiednich kroków, spośród których nie najmniejszym jest zwrot stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, jakie zapłaciłaś za usługi Goodisonów. - Mott zwrócił się do Broacha: - Otrzymałeś już pieniądze, prawda?

Broach skinął głową.

- Wczoraj, transferem telegraficznym, Iona znowu podniosła żółty ołówek i nieświadomie pocierała jego czubek kciukiem.

- Powiedziałeś, że Glimm przedsięwziął „odpowiednie kroki”. Jakże poza zwrotem moich pieniędzy?

- Zaangażował - na własny koszt - londyńską firmę Wudu Limited. Jej zadanie polega na odnalezieniu Goodisonów i zapewnieniu pomocy, jakiej

moglibyśmy potrzebować.

- Przeliteruj tę nazwę.

Mott spełnił jej prośbę, a wtedy Iona zapytała:

- Co to znaczy?

- Nic. Nazwa pochodzi od pierwszych liter nazwisk dwóch partnerów, Arthura Wu i Quincy'ego Duranta.

- Wu jest Chińczykiem?

- Tak.

- Zatem dwóch angielskich przygłupów ma mnie obronić przed szubienicą?

- Przed komorą gazową - poprawił Broach. Zanim Gamble zdążyła zachnąć się czy skłać Broacha, Mott powiedział:

- Wu i Durant są Amerykaninami i zapewniam, że nie są przygłupami.

- No to kim są do cholery! Zaufanymi agentami wyższych sfer?

Mott miał zamiar udzielić odpowiedzi, gdy Broach strzelił palcami i zawołał:

- Chryste, tak! Ivory, Lace i Silk, prawda? Pytanie było skierowane do Motta, który po chwili wahania przytaknął lekkim skinieniem, Iona Gamble, najwyraźniej zirytowana, zapytała:

- Te pieśniarki folkowe? Te, których słuchałam jako dziecko? Co one do cholery mają wspólnego ze mną?

- Z tobą nic - stwierdził Broach. - Ale z Wu i Durantem cholernie dużo. Pamiętasz, jak Silk zniknęła w latach siedemdziesiątych?

Iona pokręciła głową.

- To właśnie Wu i Durant zajmowali się poszukiwaniami, w trakcie których wyrócili Pelican Bay do góry nogami. Ale znaleźli ją. - Popatrzył na Motta, by ten potwierdził jego słowa. - Mam rację, Howie?

- Doskonale to ująłeś.

- Co się z nimi stało? - zapytała Iona.

- Z Wu i Durantem?

- Nie, na miłość boską, z Ivory, Lace i Silk

Broach przez chwilę wpatrywał się w grzbiety dłoni, potem odwrócił je i obejrzał wnętrze. Albo jedna, albo druga strona widocznie pobudziła jego pamięć.

- Ivory chyba zmarła z przedawkowania w Miami. Lace poślubiła prawie miliardera i wypadła z interesu. A Silk, jak ostatnio słyszałem, osiadła w Salvadorze i jest zakonnica.

Iona odwróciła się, by wyrzeć przez przeszkloną ścianę na kanion i ocean.

- Jakiej są marki, Howie? - zapytała, nie odrywając oczu od widoku.

Zdziwiony Mott odwrócił się do Broacha, który powiedział:

- Ona chciałaby wiedzieć, jakiego są wyznania - Wu i Durant.

- Mogę wiedzieć, dlaczego? - zapytał Mott. Iona odwróciła się od okna.

- Nie obchodzi mnie ich wyznanie. To po prostu pozwoli mi wejrzeć w ich umysły.

- Oni nie są aktorami w jakiejś sztuce.

- Ustąp mi.

Mott strzepnął niewidoczny pyłek z lewego rękawa ciemno niebieskiego garnituru.

- Przypuszczam, że byli nominalnymi metodystami - oznajmił - w czasie, gdy w wieku czternastu lat uciekli z sierocińca metodystów w San Francisco. Teraz, oczywiście, mogą być innego wyznania albo ateistami.

- Kiedy mam się z nimi spotkać?

- Odpowiada ci dziś przed wieczorem?

- Może być - powiedziała, a po chwili milczenia zapytała: -A gdybyś miał określić ich jednym słowem, jakie by ono było?

- Pomysłowi - odparł bez wahania Mott. - Wyjątkowo pomysłowi, chociaż to już są dwa słowa.

- Wystarczająco pomysłowi, by odnaleźć tych dupków Goodisonów?

- Zdecydowanie.

- Wystarczająco pomysłowi, by odkryć, kto zabił Billy'ego Rice'a? Mott przed udzieleniem odpowiedzi spojrział na nią uważnie.

- O ile jesteś pewna, że chcesz wiedzieć, kto to zrobił, Iona Gamble zmarszczyła brwi i zagryzła dolną wargę. Po chwili rozpogodziła się.

- Jestem pewna - powiedziała.

Dyrektorka filii Banku Amerykańskiego przy starej Malibu Road raczej nie była wstrząśnięta pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, które Wu telegraficznie przekazał Boothowi Stallingsowi. Rutynowo otworzyła stałe konto, dała Stallingsowi dwa blankiety wzorów podpisów dla Wu i Duranta, i bez komentarza czy jakichkolwiek środków ostrożności wypłaciła pięć tysięcy w gotówce. Kiedy Stallings zapytał ją o nazwisko dobrego agenta zajmującego się „wynajmowaniem największych posiadłości na wybrzeżu”, natychmiast zarekomendowała Phila Quilla.

- Jest również aktorem - dodała. - Prawdopodobnie widział go pan w „Policjantach z Miami” albo w jednym lub dwóch odcinkach serialu „Gliniarz i prokurator”.

Stallings miał wrażenie, że nazwisko to jest mu znane, ale na pewno nie z żadnego z telewizyjnych seriali. Powiedział o tym swej rozmówczyni i wytłumaczył swoją ignorancję powtórnym napomknięciem, że większą część minionych pięciu lat spędził za granicą, ostatnio w Ammanie jako stały reprezentant Wudu Ltd.

- Byłam święcie przekonana, że „Policjantów z Miami” zdubbingowano po arabsku.

Wieczorem, po przylocie na międzynarodowe lotnisko w Los Angeles, Stallings w wypożyczalni Budget wynajął Lincolna Town Car. Wraz z Georgią Blue wyjechali na autostradę 405, a później zjechali na drogę numer 10, która kończyła się nad Pacyfikiem. Po przejechaniu dalszych dwudziestu kilometrów na północ Pacific Coast Highway znaleźli się w Malibu i przy stąpili do poszukiwań odpowiedniego motelu.

Georgia Blue pierwsza dostrzegła „Malibu Beach Inn”, olbrzy mi dwupiętrowy budynek w hiszpańskim stylu kolonialnym, dzięki czemu sprawiał wrażenie starego. Stallings w 1986 roku złożył krótką wizytę w Malibu i teraz myślał, że przypomina sobie inny motel, który wówczas stał w tym samym miejscu. Tamten miał jakąś polinezyjską nazwę - coś jak Manakura czy Tonga Lei, a może nawet Tondaleya.

W „Malibu Beach Inn” wynajęto im dwa sąsiadujące z sobą pokoje, każdy po sto osiemdziesiąt dolarów za noc. Pokoje były wielkie, ładnie umeblowane

oraz oferowały widok na ocean i nieustający szum fal. Człowiek, który wniósł im bagaże, wyglądał jak emerytowany goryl albo surfinista na rencie. Beznamiętnie poinformował Stallingsa, że w hotelowej bibliotece są dostępne filmy pornograficzne. Stallings odparł, że jest zbyt śpiący, dał posłańcowi - czy kim on tam był - pięć dolarów, a kiedy ten poszedł, zapukał do drzwi łączących jego pokój z pokojem Georgii Blue.

Georgia, nie otwierając drzwi, powiedziała, że zobaczy się z nim rano. Stallings w minilodówce znalazł miniaturki szkockiej, przyrządził drinka, otworzył puszkę orzeszków i wyszedł na balkon. Tam usiadł, popijając szkocką, zajadając orzeszki i zastanawiając się, dlaczego w 1949 nie przeprowadził się do Malibu i nie zajął się handlem nieruchomościami.

Następnego dnia rano Stallings i Georgia Blue zeszli na dół na śniadanie. Stallings ograniczył się do dwóch filiżanek kawy. Georgia Blue kończyła posiłek złożony z dwóch kubków mleka, pełnoziarnistego tosta i sterty owoców, gdy do holu wszedł opa lony krępy mężczyzna. Rozejrzał się, dostrzegł Stallingsa i Georgię Blue, obdarzył ich oszałamiającym uśmiechem i ruszył w ich stronę. Jego stopy poruszały się tak szybko, że zdawały się niemal nie dotykać płytek meksykańskiej posadzki. Te szybkie, lekkie kroki odświeżyły pamięć Stallingsa, który w końcu przypomniał sobie, kim kiedyś był Phil Quill.

Agent od nieruchomości ubrany był w gabarynowe spodnie o kilka tonów bledsze od żółci stokrotki, ciemnobłękitną koszulkę polo, prawdopodobnie od GAP-a, oraz wart pięć czy sześć stów jasnobłękitny kaszmirowy sweter zarzucony na szerokie plecy, z zawiązanymi na piersi rękawami. Na bosych stopach miał pantofle o cienkich podszewkach - może Stallings tego nie wiedział, ale Georgia była pewna, że są od Ferragamosa. Quill podniósł okulary przeciwsłoneczne i wepchnął je w gęste, jasne włosy, odsłaniając dwoje oczu o niemal idealnej barwie swetra i oceanu.

Kiedy podszedł do ich stołu, rozbrzmiał jego miękki głos Południowca.

- Jestem Phill Quill, pośrednik zajmujący się handlem i dzierżawą nieruchomości. Betty z banku powiedziała, że chcielibyście wynająć dom na plaży na miesiąc czy dwa. - Zno wu się uśmiechnął. - Oczywiście pod warunkiem, że pani to panna Blue, a pan - pan Stallings.

Stallings wstał.

- To my - zapewnił, po czym potrząsnął wyciągniętą ręką i poprosił, by Quill przyłączył się do nich na kawę czy nawet na śniadanie.

- Filiżanka kawy wystarczy sam sobie przyniosę. Gdy Quill oddalił się swym szybkim krokiem, Georgia Blue popatrzyła w ślad za nim i powiedziała:

- Ciekawe, dlaczego tak chodzi.

- Swego czasu potrafił poruszać się w tył czy na boki równie szybko.

- Kiedy?

- Kiedy był w drużynie uniwersyteckiej Arkansas na początek lat sześćdziesiątych. Na ostatnim roku został nawet wybrany przez agencję UPI najlepszym futbolistą roku.

- Widziałeś, jak grał?

- W telewizji.

Quill wrócił, usiadł, napił się kawy i zadał pytanie. Jego pierwsza część była skierowana do Georgii Blue, a druga do Stallingsa.

- Zastanawiam się, czy moglibyście coś mi podpowiedzieć. Jakiego domu

szukacie?

- Chcielibyśmy coś blisko plaży z przynajmniej pięcioma sypialniami - odpowiedział Stallings.

- Na jak długo?

- Na miesiąc z możliwością przedłużenia na następny.

- Blisko, daleko czy gdzieś pomiędzy? Pytam, ponieważ Malibu jest długie na prawie czterdzieści kilometrów i szerokie na półtora.

- Może gdzieś tutaj? - zaproponowała Georgia.

- No cóż, tutaj, panno Blue, mamy Carbon Beach, a ponieważ teraz jest luty, z Kanady przylatują do nas „zimowe ptaki” i Europejczycy tłoczą się, by wykorzystać relacje: dwa dolary za funta, sześćdziesiąt dziewięć centów za markę i prawie dwadzieścia centów za franka.

- To znaczy, jest drogo? - zapytał Stallings.

- Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia tysięcy za miesiąc.

- Ma pan coś z pięcioma pokojami za cenę w tych granicach?

Quill potarł lewym kciukiem wystający podbródek, jak gdyby pomagało mu to myśleć. Stallings prawie odruchowo dotknął szczęki i powiedział:

- Robił pan tak przed podaniem piłki, prawda?

Stallings od dawna nie widział rumieniącego się dorosłego mężczyzny - Quill błyskawicznie zrobił się czerwony. Spróbował uśmiechnąć się szeroko, co w efekcie wyglądało jak grymas.

- Zawsze mam nadzieję, że ludzie zawołają: „Hej, czy to nie ciebie widziałem w «Krwawej Valentynie» i tym szmirowatym «Pijackim południu»?”. Ale nikt nigdy nie pamięta czternastu filmów i pięćdziesięciu jeden odcinków seriali, w których grałem. Wszyscy pamiętają tylko futbol.

- Przykro mi, że o tym wspomniałem.

- No cóż, wolałbym raczej słyszeć z tego, co zrobiłem w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat niż z tego, co osiągnąłem między osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia. Mogłem zostać zawodowcem, ale nie zostałem. Zamiast tego uważam się za aktora - chociaż w ciągu jednego miesiąca w osiemdziesiątym ósmym dzięki handlowi nieruchomościami zarobiłem więcej, niż kiedykolwiek w filmie - łącznie z dochodami z telewizji.

- Zawsze myślałam o panu jako o aktorze, panno Quill - podlizła się Blue.

- Doceniam to, panno Blue, ale teraz muszę zmienić się z powrotem w Phila Quilla, faceta od nieruchomości.

Spojrzał jeszcze raz na Stallingsa, potem znów na Georgię Blue, lekko zmarszczył brwi, potarł kciukiem wielki podbródek i powiedział:

- Wyglądacie na rozsądnych, wyrafinowanych ludzi, a nie używam określenia „wyrafinowani” w jakimś pejoratywnym znaczeniu. Dlatego chciałbym zadać wam pytanie. - Po krótkim aktorskim ukłonie podjął: - Czy rozważylibyście wynajęcie wielkiego, wspaniałego domu z sześcioma sypialniami tutaj, na Carbon Beach, za piętnaście tysięcy miesięcznie, choć jego były właściciel został zastrzelony w ostatni dzień zeszłego roku?

- Kto to był? - zapytał Stallings.

- William A.C. Rice. Bogacz. Gliny mówią, że zastrzeliła go Iona Gamble.

- Ten dom znajduje się na plaży? - zapytała Georgia Blue.

- Ma nawet własną, długą na trzydzieści metrów.

- Za piętnaście tysięcy? - zapytał Stallings.

- Tak, proszę pana.

- Weźmie pan dwanaście i pół?
- Wezmę trzynaście i pół.
- Z opcją na przedłużenie?
- Tak, proszę pana, mogę to zrobić.
- Bierzemy.
- Nie chcecie najpierw obejrzeć?
- Powiedział pan, że jest śliczny, panie Quill. A na ile - to będzie niespodzianka - zakończyła rozmowę Georgia Blue.

13

O 13.37 tego samego dnia Artie Wu, pchający wózek z bagażem, Otherguy Overby i Quincy Durant szli długą rampą z urzędu celnego i imigracyjnego do głównego holu lotniska międzynarodowego, gdzie czekał Booth Stallings z Georgią Blue.

Durant przyglądał się, jak Wu, nim podał rękę Stallingsowi, obdarzył Georgię uśmiechem, uściskiem, pocałunkiem oraz kilkoma słowami gorącego powitania. Następny był Overby. Poklepał Georgię w policzek - co sprawiło, że niemal się wzdrygnęła - potem powiedział coś, co prawie wywołało na jej twarzy uśmiech.

Durant bez uśmiechu podszedł do niej i wyciągnął dłoń. Ujęła ją i powiedziała:

- Miło cię spotkać, Quincy. Puścił jej rękę.
- Nie próbuj znowu zrobić mnie w konia, Georgia.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie bez słowa. Georgia dwu krotnie skinęła głową, co Durant zinterpretował jako „Może zrobię” i „Może nie zrobię”. Potem powiedziała:

- Wyglądasz tak samo.
- Ty też.
- Nie, ja się zmieniłam.

Durant przyjrzał się pasemku białych włosów.

- Zamierzasz je zachować?
- Jako memento.

- Podoba mi się - powiedział Quincy i odwrócił się, by powitać Bootha Stallingsa.

Otherguy Overby, bez marynarki i krawata, w szytej na miarę białej koszuli z pieczołowicie podwiniętymi rękawami, wprowadził wynajętego Lincoln Town Car na skrót wiodący do terminala, w którym Artie Wu do tej pory powinien już zakończyć rozmowę telefoniczną.

Obok Overby'ego siedziała Georgia Blue. Miejsca z tyłu zajmowali Durant i Stallings. Wcześniej, po tym, jak razem dotarli na drugi poziom parkingu i zaparkowali walizki do bagażnika, Overby zaproponował, że będzie prowadził. Stallings rzucił mu kluczyki.

- Są twoje.
- Dokąd jedziemy?

- Do Malibu - odparł Booth. Oddał kluczyki bez słowa protestu, bowiem utrzymywał, że jest jednym z tych nielicznych Amerykanów, którzy uważają samochody nie za rzecz niezbędną, a wręcz nieprzyjemną. Był czas, szczególnie wtedy, gdy przebywał za granicą i zajmował się terroryzmem, że

nawet przez osiemnaście miesięcy obywatel się bez prywatnego samochodu - chodził pieszo, jeździł rowerem lub korzystał z taksówek i transportu publicznego. Teraz był prawie pewien, że nigdy nie kupi następnego wozu - chyba że, oczywiście, natknąłby się na niewiarygodnie taniego Morgana czy może Jowett-Jupitera.

Overby dostrzegł Wu czekającego przy krawężniku. Gdy Lin cołn wyhamował, Wu zajął miejsce z tyłu obok Stallingsa i powiedział:

- Quincy i ja... - Przerwał, gdy Overby wprawnie zajechał drogę hotelowej bagażówce, po czym wymusił pierwszeństwo zjeżdżając na skrajny lewy pas drogi. Wu zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, póki nie znaleźli się na prostej. Korzystając z zapasu powietrza, dokończył rozpoczęte zdanie: -...mamy spotkać się z Iona Gamble o piątej po południu.

- Rozmawiałeś z nią? - zapytał Durant.

- Nie. Z Howardem Mottem. - Wu popatrzył na Stallingsa. - Twój zięć prosił, by ci powtórzyć, że twój wnuk i imiennik miewa się dobrze.

Dziadek uśmiechnął się lekko.

- Nazwali małego Booth Stallings Mott, uwierzysz? Georgia Blue zapytała:

- Widziałeś go już?

- Jeszcze nie. Ale nie byłem w Waszyngtonie od pięciu lat. W każdym razie mały jest jeszcze na etapie gaworzenia, więc może poczekam, póki nie będzie miał trzech czy czterech lat i czegoś do powiedzenia.

Overby skręcił na północ na Sepulveda, kierując się na Lincoln Boulevard. Wu pochylił się i zapytał:

- Dokąd, Otherguy?

- Booth mówił o Malibu.

Wu wyprostował się i zapytał Stallingsa:

- Były jakieś problemy z kontem?

- Żadnych. Mam w kieszeni książeczki czekowe i karty wzorów podpisów dla ciebie i Quincyego.

- Masz już na oku jakiś dom?

- Pamiętasz Phila Quilla?

Wu nachmurzył się, a po chwili rozjaśnił.

- Phil „Brzytwa” Quill z Arkansas.

- Wynajął nam dom.

- Swój?

- Nie, jest teraz w Malibu agentem od nieruchomości - kiedy nie jest aktorem, to znaczy przez większość czasu.

- Ładne miejsce? - zapytał Durant.

- Na samej plaży.

- Ile sypialni?

- Sześć sypialni, siedem łazienek.

- Za ile?

- Quill mówił o piętnastu tysiącach, ale spuścił do trzynastu i pół.

By mieć pewność, że nie umknie mu reakcja Wu, Stallings odwrócił się. Zauważył, że Georgia Blue również się obejrzała.

- Ten dom obecnie znajduje się w swego rodzaju prawniczej próżni - powiedział. - Ale wcześniej należał do Williama A.C. Rice'a Czwartego.

Zdziwienie Artie'ego Wu objawiło się w typowy dla niego sposób - w serii oszczędnych ruchów głowy i nieznacznym mądrym uśmiechu.

- I co? - zapytał Stallings, przygotowany na pochwały albo słowa potępienia.

- Sądzę, że dom Rice'a może okazać się przydatny - powie dział Wu. - Myślę również, że ty i Georgia postąpiliście doskonale.

- Nie sądzą, żeby to nam coś dało, poza przyciągnięciem uwagi - zauważył Durant.

- I o to chodzi - powiedział Wu.

Z fotela kierowcy odezwał się Otherguy:

- Chryste, mogę podać z pół tuzina sposobów, w jakie możemy go wykorzystać.

Wu poprawił się na siedzeniu, splótł ręce na brzuchu i powiedział:

- Podaj nam dwa, Otherguy.

O 15.15 wszyscy rozpakowali się, zwiedzili „plażową chatkę” BilVego Rice'a, wartą piętnaście milionów dolarów, odbyli krótki spacer po plaży, a później zbrali się w ogromnym salonie. Artie Wu został przyciągnięty, jak gdyby łańcuchem, do obitego skórą barwy portwajnu, ulubionego rozkładanego fotela zamordowanego.

Nie widać było żadnych dźwigni, które mogłyby wskazywać, że fotel jest rozkładany. Wyglądał jak zwyczajny, zdobiony mośdadem sprzęt - pod warunkiem, że trzy czy cztery tysiące dolarów jest zwyczajną ceną. Przemysłnie ukryty guzik pozwałał obniżyć oparcie, inny guzik włączał elektryczny mechanizm wibrujący, a za pomocą trzeciego można było kontrolować system nagłaśniający w pokoju.

Obok fotela stała konsola telefoniczna na sześć linii, na której Iona Gamble wystukała numer 911. Przy niej znajdował się ru chomy pulpit do czytania. Po niższej, lewej stronie fotela umie szczono głęboką skórzaną kieszonkę, nadal wypchaną scenariuszami. Źródłem światła była stojąca lampa, której chromowany stojak i czarny metalowy klosz zostały ustawione w pozycji do czytania.

Booth Stallings i Georgia Blue razem zajęli jedną z trzech znajdujących się w pokoju kanap, jak gdyby dając do zrozumienia, choć tego nie ogłosili, że zawarli swego rodzaju niezo bowiązujące przymierze. Overby wybrał fotel Eames, autentyczny, i oparł stopy na podnóżku. Durant stanął przed szerokim oknem, plecami do pokoju, i podziwiał ocean.

Artie Wu zaproponował drinka, a gdy nikt nie wyraził ochoty, powiedział:

- Booth da każdemu z nas tysiąc w gotówce na bieżące wydatki. On będzie naszym bankierem, logistykiem i gospodarem. Gdyby ktoś pytał, jesteście współpracownikami dra Stallingsa i jego uroczej asystentki, panny Blue. Jakież propozycje?

Stallings miał jedną.

- Myślę, że jutro zajmę się sąsiadami, Artie. Będę się podawał za starego doktora Stallingsa, gadatliwego akademika, który zagada człowieka na śmierć, jeśli tylko da mu się okazję. Nie uwierzycie, ilu ludzi powie takiemu wszystko, co go interesuje, żeby tylko się go pozbyć.

- Spróbuj dowiedzieć się, jak się zabawiał Billy Rice i z kim - powiedział Wu.

- Mam taki zamiar. Wu rozejrzał się po pokoju.

- Jakież pytania?

Durant miał jedno. Nie odwracając się, powiedział:

- Co powiesz sąsiadom, gdy zapytają, czym się zajmujesz, Booth?

- Nic. To znaczy powiem, że odpoczywam od pracy w Ammanie, podczas gdy moi współpracownicy z Wudu Limited pro wadzą negocjacje na temat poufnego projektu badawczego w LA.

- Dobrze - pochwalił Durant i kontynuował przyglądanie się oceanowi.

- Jak wspominałem wcześniej - ciągnął Wu - Quincy i ja mamy spotkanie z Iona Gamble o piątej. Howard Mott również będzie obecny. Powinienem dodać, że połączył się z jedną ze starych firm adwokackich, co upoważnia go do reprezentowania Gamble w Kalifornii. Jej osobisty prawnik, Jack Broach, który jest również jej menadżerem i agentem - też może być na tym spotkaniu. Przeliteruję wam nazwisko. Po przeliterowaniu, Wu zerknął na Georgię Blue i powiedział:

- Sprawdź go, Georgia.

- Coś szczególnego czy jak leci?

- Wszystko.

Następnie Wu zwrócił się do Overby'ego.

- Otherguy, chciałbym, żebyś zaczął polowanie na zaginionych hipnotyzerów. Quincy'emu udało się znaleźć jedną z promocyjnych ulotek ze zdjęciem Goodisonów. Rozmawiał również z byłą policjantką z posterunku Paddington i ona scharakteryzowała mu ich nawyki oraz cechy szczególne. To wszystko jest w sporządzonej przez niego notatce.

- Dał mi już kopię - powiedział Overby.

- Dobrze. Jak Georgia skończy z Jackiem Broachem, przyłóż się do ciebie w poszukiwaniu Goodisonów.

- Ile mamy czasu? - zapytał Overby.

- Niewiele. Mott powiedział, że proces odbędzie się w sądzie wyższej instancji w Santa Monica dwudziestego trzeciego marca. Ma nadzieję, że uda mu się uzyskać odroczenie, ale martwi się, że jeśli dojdzie do rozprawy, to Iona jest przegrana.

- Czy ktoś wie o jakimś związku pomiędzy tym Rice'em a Goodisonami? - zapytał Overby.

- Ja o niczym takim nie wiem - powiedział Wu. - Ale nie zaszkodzi się rozejrzeć.

- A jeśli odkryjemy, że Goodisonowie nie żyją? - zapytała Georgia Blue. Wu zastanawiał się przez moment.

- Wtedy nasza robota będzie skończona, chyba że Enno Glimm stwierdzi, że jest inaczej.

- A jeżeli - wtrącił Durant, nadal patrząc na ocean - natrafimy na dowód wskazujący, że Iona Gamble zabiła Rice'a i miała coś wspólnego ze zniknięciem Goodisonów?

Zanim Wu zdążył się odezwać, Overby stwierdził:

- Wtedy będziemy mogli ją sprzedać i wycofać się - wszyscy. Wu westchnął.

- To trochę bezwzględne, nawet jak na ciebie, Otherguy.

- Nie mów, że coś takiego nie przyszło ci na myśl, Artie. Wu znowu westchnął.

- Myślę, że powinniśmy wyjść z dwóch założeń. Po pierwsze, że Goodisonowie żyją, ale w ukryciu - może z własnej woli, może nie. Po drugie,

że Iona Gamble nie zabiła Williama Rice'a. Skoro gliny są przeświadczone o jej winie, istnieje pewna możliwość, że nasz sposób podejścia odkryje coś nowego i nawet uniewinniającego, chociaż naprawdę nie mam wielkiej nadziei.

Zapadła cisza, w czasie której Wu patrzył na każde z nich, nie śpiesząc się, szczególnie wtedy, gdy jego oczy spoczęły na plecach Duranta.

- Coś jeszcze? - spytał w końcu.

- Potrzebujemy więcej wozów - stwierdził Overby.

- Niedaleko przy autostradzie jest wypożyczalnia Budget - poinformował Stallings. - Tam można wynająć to, co będzie trzeba.

- Coś jeszcze?

Po nieco dłuższej chwili ciszy Georgia Blue powiedziała:

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Dotyczy tej pary hipno tyzerów, Goodisonów. Kalifornijskie prawo nie respektuje zez nań uzyskanych pod hipnozą. Dlaczego zatem Mott ściągnął hipnotyzerów aż z Londynu, skoro wiedział, że to, co Iona powie w czasie transu, nie będzie mogło zostać użyte w jej obronie?

- To drugie pytanie, jakie chcę zadać Mottowi - powiedział wciąż zapatrzony na ocean Durant.

- A jakie jest pierwsze?

- Dlaczego sprowadził dwójkę zboczonych hipnotyzerów.

- Może nie wiedział, że są zboczeni?

- To moje trzecie pytanie. Dlaczego nie wiedział?

14

O 16.56 Artie Wu zatrzymał Lincoln Town Car przed domem Iony Gamble przy Adelaide Drive tak gwałtownie, że przód samochodu niemalże dotknął asfaltu. Durant nie kwapił się, by wysiąść; zamiast tego wpatrywał się w dom tak, jak gdyby ukrywało się w nim pół tuzina jego najgorszych wrogów.

- Nie podoba ci się styl hiszpański? - zapytał Wu.

- Nie podoba mi się, gdy tak nędznie prowadzisz. Pytanie: dlaczego jazda z tobą kojarzy mi się z kontrolą urzędu skarbowego? Odpowiedź: ponieważ wiem, że skończy się nieszczęściem.

- Przyjechaliśmy bezpiecznie.

- Dzięki boskiej opiece.

- A co naprawdę cię gryzie?

- Prawdopodobnie Goodisonowie - odparł Durant i otworzył drzwi.

Wu dwukrotnie przycisnął dzwonek i w chwilę później drzwi otworzyła nie salwadorska gosposia, ale Howard Mott ubrany w ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i stonowany krawat. Mott uważnie zmierzył wzrokiem gościa i dwa razy skinął głową.

- Jeśli pan jest Wu, to pan nazywa się Durant. Ja jestem Howard Mott. Proszę wejść.

Po wejściu do środka i wymianie uścisków dłoni, Artie Wu powiedział:

- Najpierw chcieliśmy podziękować za wszystkie interesy, które podrzucał nam pan przez ostatnie lata, szczególnie ten w Bejrucie.

- Wdowa była i zadowolona, i zyskała finansowo, jak dobrze wiecie. Ja również jestem wdzięczny za klientów, którym mnie polecałście. Niektórzy byli

trochę dziwni, oczywiście. Kilku było fascynujących. Wszyscy, dzięki Bogu, byli wypłacalni i co do jednego winni jak cholera.

- Gdyby nie byli - powiedział Durant - dlaczego mieliby potrzebować prawnika, który bierze tysiąc dolarów za godzinę?

- Widocznie nie biorę tak dużo. Jeszcze nie.

- Jaki jest twój średni wynik? - zapytał Wu.

- Ośmiu z dziesięciu, których mi przysłaście, zostało unie Winnionych. Dwóch innych podnosi swoje umiejętności gry w ping-ponga w zakładach o złagodzonych rygorach w Pensylwanii i na Florydzie. - Mott znowu wlepił oczy, najpierw w Duranta, potem w Wu, lekko pokręcił głową i dodał: - Właśnie myślałem, że to trochę dziwne, iż spotykamy się dopiero teraz.

- Staraliśmy się unikać sytuacji, w których musielibyśmy po potrzebować porady prawnej - skomentował Durant.

- Bardzo mądrze - pochwalił Mott. - Overby nie przyjdzie?

- Nie.

- Mam nadzieję, że spotkam się z nim w czasie jego pobytu w mieście. Tak wiele razy rozmawialiśmy przez telefon, że za cząłem uważać go za potencjalnego klienta.

- No bo dlaczego nie? - powiedział Wu.

- Co u swojego teścia?

- Jest zakochany - powiedział Durant.

- Naprawdę? W kim?

- W byłej agentce Tajnej Służby. Georgii Blue. Mott zmarszczył czoło.

- Czy to nie ta z Hongkongu, którą w wyniku ekstradycji odesłano na Filipiny za morderstwo i...

- Ta sama. - Wu nie pozwolił mu dokończyć.

- Więc wasza piątka znowu razem. To musi wyglądać jak zjazd koleżeński.

- Na szczęście - wtrącił Durant - jak wszystkie zjazdy, jest tymczasowy.

Mott najwyraźniej chciał powiedzieć coś więcej i nawet zadać jedno czy dwa pytania, lecz zamiast tego przesunął coś w ustach. Ugryzł się w język, pomyślał Wu. Wtedy Mott zerknął na zegarek i oznajmił, że spotkanie odbędzie się na piętrze w gabinecie Iona Gamble.

- Tylko nas czworo? - zapytał Wu, gdy ruszyli po schodach.

- Spodziewałeś się, że będzie ktoś jeszcze?

- Wspomniałeś o Jacku Broachu.

- Jack nie mógł się wyrwać.

Iona Gamble ubrana była w robiony na drutach ciemnoniebieski bawełniany sweter z głębokim dekoltem, koszulę z surowego jedwabiu, szare flanelowe spodnie i białe Reeboki. Gdy Mott dokonał prezentacji, najpierw potrząsnęła ręką Duranta i mruknęła coś uprzejmego, jednocześnie oceniając tweedową marynarkę, szytą na zamówienie koszulę, spodnie z diagonalu i wiekowe klapki. Jaskrawe wzorzyste skarpetki zobaczyła dopiero wtedy, gdy Durant usiadł i założył nogę na nogę.

Następnie uśmiechnęła się do Artie'ego Wu, uścisnęła jego dłoń i powiedziała coś miłego, szacując w trakcie białą koszulę bez krawata z półbajronowskim kołnierzem, nieco pospolity dwurzędowy blezer, jasne spodnie i błyszczące czarne mokaasy, które nosił niczym oznakę godności. Zwróciła również uwagę, że Wu nosi obrączkę, a Durant nie.

Po przywitaniu Iona Gamble zajęła miejsce za biurkiem memphiskiego maklera. Mott usiadł w solidnym fotelu, a Wu i Durant na kanapie z kretonowym pokrowcem.

Durant skrzyżował nogi, odsłaniając wzorzyste skarpetki, uśmiechnął się do Iony Gamble i powiedział to, co sobie zaplanował:

- Wynajęliśmy dom Williama Rice'a w Malibu. Jej zdziwienie znikło równie szybko, jak się pojawiło. Zastąpiło je ponure spojrzenie skierowane na Motta.

- Ja płacę za ten dom, Howie?

- Enno Glimm - odpowiedział Mott.

Ponure spojrzenie ustąpiło miejsca uśmiechowi.

- Mam nadzieję, że będziecie dobrze się tam czuli; to cudowne miejsce.

- Wynajęliście go przez szczęśliwy traf? - zapytał Mott. Artie Wu skinął głową.

- To jeden z tych fortunnych przypadków, który może się przydać albo nie. Ale jak mówi panna Gamble, to cudowny dom.

- Lepiej mówcie do mnie Iona, a ja będę mówić Artie i Quincy, zgoda?

- Quincy - zgodził się Durant. - Skoro jesteśmy tutaj, by zadawać pytania, może powinniśmy ustalić podstawowe reguły. Czy jest coś, o czym wolałabys nie mówić?

- Jeżeli tak, to w stosownej chwili powiem ci, od czego masz trzymać się cholernie daleko.

- Takie ostrzeżenie powinno wystarczyć.

- Okay. Od czego zaczynamy?

- Od Goodisonów - powiedział Durant. - Pauliny i Hughesa.

- Tak... Goodisonowie. Cóż, chcieli, bym mówiła im po imieniu w dwie minuty po naszym poznaniu. Mieszkam w tym mieście od trzydziestu lat, a przez „to miasto” rozumiem LA, i nie miałam tego, co nazywa się dzieciństwem pod kłosem. Nim skończyłam dwadzieścia lat, byłam przekonana, że znam każdy rodzaj skurwiela i szmaty - dopóki nie spotkałam Goodisonów.

- Opowiedz nam o nich - powiedział Wu.

- Okay. Spotkałam się z nimi trzy razy, i to po ostatnim Howie dostał telefon od Hughesa Goodisona, który stwierdził, że posiada jakieś nowe dane, ważne fakty czy coś takiego. W każdym razie, Hughes powiedział, że dzwoni z „Bel-Air”, ale nim Howie tam dotarł, Goodisonowie zniknęli.

- Wymeldowali się? - zapytał Durant.

- Nie, po prostu zniknęli, pozostawiając wszystko - odparł Mott.

- Może powinniśmy wrócić do pierwszego spotkania? - zaproponował Wu.

- W porządku. Goodisonowie przylecieli z Londynu i zameldowali się w „Bel-Air”. Potem zadzwonili do mnie, to znaczy

Hughes to zrobił, i po zwyczajowej paplaninie przeszedł do rzeczy, to jest do hipnozy. Oznajmił, że byłoby miło, gdybym przyszła do ich pokoju, który cechuje się wybitnie relaksującą i spokojną atmosferą. Nie zamierzam nudzić was opisem jego głosu i wrażeniem, jakie wywierał, ale był fałszywie dystyngowany i przekonujący, o ile wiecie, jak to brzmi - choć skoro pochodzicie z Londynu, to chyba wiecie.

- Tak - przyznał Wu. - Wiemy.

- No to dalej. Całkiem wcześnie, miałam wtedy jakieś cztery czy pięć lat, nauczyłam się nie chodzić do pokoi hotelowych obcych mężczyzn. Powiedziałam więc Hughesowi, że w moim domu również panuje spokojna i

relaksująca atmosfera, i że to tutaj - o ile w ogóle - odbędzie się seans hipnotyczny. Potem podałam adres i udzieliłam mu wskazówek, jak tu dojechać, a oni, wyobraźcie sobie, zajechali limuzyną.

- O której? - zapytał Durant.

- Około czwartej po południu. Wu spojrzał na Motta.

- Byłeś tutaj?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie wiedziałem ani o ich przylocie do LA, ani o ich spotkaniu z Iona. Durant popatrzył na Iona.

- Dlaczego go nie powiadomiłaś?

- Właśnie miałam zadzwonić, gdy wpadł Jack Broach z jakimiś papierami do podpisu. Był tutaj w czasie rozmowy telefonicznej z Hughesem i poprosiłam go, by został. Zapytałam też, czy mam zatelefonować do Howiego, a on powiedział, że to dobry pomysł. Jednak kiedy oznajmiłam, że na tym spotkaniu nie będzie mowy o hipnotyzowaniu, Jack stwierdził, że nie ma powodu, by zwracać głowę Howie'emu, więc w końcu nie zadzwoniłam.

Durant znowu spojrzał na Motta.

- Spotkałeś się kiedyś z Goodisonami?

- Tylko raz. Przyjechali do hotelu w Santa Monica, gdzie się zatrzymałem, zadzwonili z dołu i chcieli wstąpić na drinka. Dałem im do zrozumienia, że w barze będzie wygodniej. Wypiliś my drinka, porozmawialiśmy o głupstwach i poszli.

- Jakie wrażenie na tobie wywarli? Mott uśmiechnął się lekko.

- Powiedzmy, że według mnie brakuje im kręgosłupa moralnego.

- Zboczeni?

- Nie potrafię czytać w myślach.

- Czy Enno Glimm za nich poręczył?

- Nikt nigdy tego nie zrobił, Quincy. Ale wiele osób z Londynu, tych lepiej zorientowanych, powiedziało mi, że są cudowni.

- Są zboczeni - poprawił Durant. - Jak usłyszałem, że zniknęli, niecałe dwadzieścia cztery godziny później wiedziałem, na ile. Niepokoi mnie, dlaczego Enno Glimm i spółka nie zasięgnęli języka.

- Myślę, że odpowiedzią na pytanie „kto zawinił” możemy zająć się później - powiedział Wu. - Teraz chciałbym zadać Ionie kilka pytań. Ktoś zgłasza sprzeciw?

Nikt się nie odezwał. Wu pochylił się na kanapie, oparł łokcie na potężnych kolanach i splótł dłonie. Obdarzył Ione uśmiechem, który zmusił ją, by odpowiedziała tym samym, i powiedział:

- Jakie było twoje pierwsze wrażenie po spotkaniu z Goodisonami?

- Lizidupy.

- Chodziło mi bardziej o ich zachowanie - co zrobili po za kończeniu początkowego podlizywania?

Gamble najpierw przybrała podejrzliwy, potem zainteresowany wyraz twarzy.

- Znałeś ich w Londynie?

- Nie ich, ale im podobnych. Wszyscy mają typowe otwarcie - zwłaszcza hipnotyzerzy.

- Jakie jest wasze?

- My zazwyczaj zaczynamy od zwięzłych pytań, a kończy my okazując współczujące zrozumienie i pewną dozę nadziei. Uśmiechnęła się krzywo, nawet ponuro i powiedziała:

- Masz rację. Ich zachowanie było typowe. Było to coś jak pierwsza wizyta u lekarza. Zanim powiesz, co cię boli, on już przystępuje do działania - obrzuca cię przenikliwie z ukosa, jednocześnie szybko wypełniając twoją kartę. Hughes i Paulina postępowali mniej więcej tak samo. Podczas gdy Hughes wygłaszał swoją kwestię, Paulina badała mnie wzrokiem i szukała... no, tego, czego szukali. Potem Paulina mówiła, a Hughes obserwował.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza.

- W moim fachu i w branży Howie'ego zawsze musimy być czujni na mrugnięcia, uśmiechy i tiki, by ukraść je czy wypożyczyć, prawda, Howie?

Howie przyznał jej rację nieznacznym skinieniem i jeszcze mniej widocznym uśmiechem.

- Co się stało później? - zapytał Durant.

- Zaproponowali, że mnie zahipnotyzują - w ramach testu, czy jestem podatna. Kiedy powiedziałam, że jeszcze nie jestem gotowa, zaproponowali mi mały pokaz. Zgodziłam się i Hughes w ciągu pięciu sekund wprowadził Pauline w trans. Cofnął ją do czasów, gdy miała sześć lat i poprosił, by pokazała, czego nauczyła się tego dnia w szkole tańca. Paulina wstała, wykonała kilka niezgrabnych kroczków i usiadła.

- Co dalej? - zapytał Wu.

- Wyprowadził ją z transu. Wyglądała na odprężoną, szczęśliwą i niczego nie pamiętała - przynajmniej tak mówiła. I to wtedy Hughes zapytał, czy może sprawdzić moją podatność. Powiedziałam mu, że nadal nie chcę zostać zahipnotyzowana. No cóż, wtedy użył swego całego fałszywego uroku i powie dział, że nie może zahipnotyzować kogoś, kto się opiera, i że chce jedynie sprawdzić moją podatność - najwyraźniej lubił to słowo. Potem zaczął mówić o wszystkich gwiazdach, które sły nęły ze swej podatności. Jakaś połowa z nich już nie żyje, ale nadal jest to imponująca lista. I skoro był przy mnie Jack, wyraziłam zgodę.

Przerwała i po chwili milczenia zapytała:

- Chcecie kawy czy czegoś mocniejszego? Wu pokręcił głową.

- Chyba wolimy wysłuchać tej historii do końca.

- Okay. No więc nadal siedzieliśmy w tym gabinecie - ja, Jack, Hughes i Paulina. Hughes kazał mi się zrelaksować, zamknąć oczy, myśleć o kolorach tęczy i nazywać je po kolei. Zrobiłam to i poczułam, że idę - nie wiem, dokąd - zapadam się w siebie, jak sądzę. Ale zwalczyłam to i otworzyłam oczy. Hughes i Paulina wyglądali na rozczarowanych, a Jack na w pół rozbawionego, tak jak zawsze. Wtedy pozbyłam się Goodisonów, godząc się na kolejną sesję następnego dnia.

Przestała mówić i odwróciła się na krześle, by spojrzeć przez sięgające od sufitu do podłogi okno na ocean i kanion. Nie odrywając oczu od tego widoku, powiedziała:

- Ale nim do tego doszło, postanowiłam, że nie dam się zahipnotyzować nikomu, a zwłaszcza Goodisonom. Odwróciła się.

- Pozwoliłam im jednakże na próbę i stało się to samo. Zaczęłam schodzić - i wyrwałam się. Za trzecim i ostatnim razem badanie mojej podatności zakończyło się w ten sam sposób. Wtedy powiedziałam im, że nie będzie

dalszych sesji i wtedy widziałam ich po raz ostatni.

- Jak zareagowali? - zapytał Wu.

- Przeprasili, że nie okazali się pomocni i to wszystko. Potem wyszli.

Durant spojrział na Howarda Motta.

- I tego samego dnia otrzymałeś ten dziwny telefon od Goodisona?

- Tak.

Artie Wu westchnął i wstał. Powoli podszedł do biurka memphiskiego maklera, podniósł długi żółty ołówek i zaczął obracać go w palcach obu rąk.

- Kiedy Hughes sprawdzał twoją podatność po raz pierwszy, czy używał jakiegoś przedmiotu? Na przykład ołówka? Iona wlepiła oczy w ołówek.

- Nie.

- Ale mówił o kolorach tęczy?

- Tak.

- Prosił, byś się na nich skoncentrowała, prawda?

- Tak.

- I nazywałaś głośno barwy?

- Tak.

- Żółty jest kolorem tęczy, zgadza się, Iono?

- Tak.

- Jak ten żółty ołówek.

- Tak.

- Zamknij oczy i powiedz, czy nadal widzisz żółty kolor.

- Tak.

- Czy dzięki temu nie czujesz się odprężona?

- Tak

- Kiedy będziesz w pełni rozluźniona, Iono, zaśniesz. Aby szybciej osiągnąć ten stan, myśl o kolorach tęczy. Zaczynij od czerwonego. Kiedy dojdiesz do ostatniego, żółtego, będziesz w pełni odprężona.

- W porządku.

- Doszłaś do żółtego?

- Tak.

- Czy chcesz przypomnieć sobie coś, co próbowałaś, ale czego nie mogłaś sobie przypomnieć?

- Tak

- Pamiętasz noc, w którą pojechałaś do domu Bilh'ego Rice'a?

- Tak

- Przypomnij sobie, co się wówczas stało, Iono. Wspominaj to głośno - wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy opuściłaś swój dom.

Iona zaczęła mówić cichym głosem. Opowiedziała wszystko o swej szybkiej jeździe do plażowego domu Williama A.C. Rice'a Czwartego, o tym, co tam zastała i jak dzwoniła na policję.

15

Iona Gamble w dalszym ciągu siedziała za biurkiem. Miała zamknięte oczy, jej ręce spoczywały na poręczach krzesła, usta układały się w lekki uśmiech. Wyglądała na wypoczętą i zadowoloną, a nawet szczęśliwą.

Howard Mott obserwował ją prawie przez minutę, potem odwrócił się do Wu i zapytał:

- Czy ona mnie słyszy? Wu pokręcił głową.
- Ona go nie zabiła - powiedział Mott, bardziej do siebie niż do Wu czy Duranta.
- A myślałeś, że tak? - zapytał Durant.
- Próbowałem nie mieszać nadziei z logiką. - Mott odwrócił się do Wu i zapytał: - Gdzie się tego nauczyłeś?
- W objazdowej trupie, gdy miałem szesnaście lat.
- Siedemnaście - poprawił Durant. - Była to „Zdumiewająca Trupa i Objazdowa Panorama Doktora Mingo”. Doktorek był karłem. Miał dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jego stałym hipnotyzerem był Szabo, Tajemniczy Mesmerysta. Szabo na prawdę nazywał się Hank Steem i jedyną jego tajemnicą było to, że w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat potrafił wypijać codziennie pół litra samogonu.
- Hank był w porządku - powiedział Wu.
- Był przynajmniej szczęśliwym pijakiem - powiedział Durant. - A niedługo po tym, jak wynajęliśmy się jako fizycy, Hank postanowił odejść na emeryturę i zamieszkać u siostry i w Corpus Christi. Wice Doktorek musiał znaleźć zastępcę - i został nim Zdumiewający Fu Chang Wu. - Czyli ja - powiedział Wu z szerokim uśmiechem. - Quincy i ja zostaliśmy zaangażowani w El Paso, a Tajemniczy Mesmerysta miał zamiar opuścić trupę po dotarciu od Longview - po drugiej stronie Teksasu. W czasie czterech czy pięciu tygodni, jakie zabrał dojazd, Hank nauczył nas wszystkiego, co wiedział na temat hipnozy. Po tym, jak w końcu odszedł, Doktorek ubrał mnie w czerwono-czarne jedwabne piżamy, które skądś wytrzasnął, wetknął mi na głowę śmieszny kapelusz, z Quincy'ego zaś zrobił mojego naganiacza.
- Podstawionego na widowni? - zapytał Mott.
- Blisko - zgodził się Durant. - Odstawialiśmy numer na zew nątrz, by przyciągnąć naiwniaków do namiotu, ale to wymagało ochotników. Hank nauczył nas, jak wybierać tych najbardziej podatnych na hipnozę - gadatliwych, chichoczących, ekstrawer tyków i ekshibicjonistów. Podczas gdy zapowiadający nawijał o Zdumiewającym Fu Changu Wu, ja mieszałem się z gapiami i wystawiałem Artiemu trzech czy czterech łebków. Później, jak zapowiadający prosił, żeby zgłosili się ochotnicy, ja pierwszy wskakiwałem na scenę, po czym Artie zwabiał tych, których ja wybrałem.
- Po co?
- Na otwarcie. Najpierw Artie hipnotyzował mnie - robiłem się sztywny jak deska - po czym podnosił i kładł na dwóch krzesłach - głowa na jednym, pięty na drugim. Następnie prosił, by ci trzej czy czterej ochotnicy stanęli na mnie - co zawsze robili z dużą ochotą. I to przyciągało resztę tłumu do środka po cztery dolce od łebka na prawdziwy pokaz, który najczęściej polegał na pozwalaniu, by wybrani przez nas gamonie robili z siebie idiotów.
- Jak długo to trwało? Durant zerknął na Wu.
- Pięć czy sześć miesięcy, prawda? Wu przytaknął i powiedział:
- Dawaliśmy przedstawienia w Teksasie, w północnej Luizjanie i w kraju Cajunów - Crowley, Lafayette, New Iberia, Opelousas. Rozstaliśmy się z Doktorkiem pod Nowym Orleanem, skąd mieliśmy zamiar popłynąć do Ameryki Południowej albo na Południowy Pacyfik.
- I co się stało?
- W Nowym Orleanie spotkaliśmy faceta, który przekonał nas, że zamiast

tego powinniśmy iść do Princeton.

Mott odwrócił się, by sprawdzić stan Iony Gamble, która nadal siedziała nieruchomo z lekkim, zadowolonym uśmiechem.

- Goodisonowie zahipnotyzowali ją, prawda? I zasugerowali, by wierzyła, że im się nie udało?

- To nie jest trudne - powiedział Wu. - Zwłaszcza gdy chodzi o aktorów. W większości są emocjonalnie otwarci, co czyni ich podatnymi na sugestie hipnotyzera.

- Kiedy Iona Gamble ocknie się, czy będzie pamiętała, że nie zabiła Billy Rice'a? Wu skinął głową.

- Tym razem tak.

- Czy nie zapominamy o Jacku Broachu? - powiedział Durant. - Jeśli był tutaj w czasie pierwszej sesji, musiał słyszeć, jak mówiła, że nie zastrzeliła Rice'a. Dlaczego, do cholery, nic nie powiedział?

- To nie musiało stać się za pierwszym razem - stwierdził Wu. - Goodisonowie doprowadzili ją na skraj transu, uświadomiłi sobie, jak łatwo można ją zahipnotyzować, potem, nim zdążyła coś powiedzieć, obudzili ją i powiedzieli, że się nie udało. Broach mógł przypuszczać, że jej nie można poddać działaniu hipnozy - w co również wierzy sama Iona - i nie wracał sobie głowy drugą i trzecią sesją, kiedy to Goodisonowie prawdopodobnie używali magnetofonu.

Mott znowu popatrzył na Ionę Gamble.

- Musieli być przekonani, że przyzna się do zamordowania Rice'a. - Pokręcił głową. - A ona dokładnie tego samego się obawiała.

- Można by się upierać - powiedział Durant - że zrobili po prostu to, za co im zapłacono: pomogli Ionie odzyskać pamięć.

- Gówno zrobili - rzucił Mott. - Zahipnotyzowali ją, w porządku, lecz potem rozkazali jej, aby o tym zapomniała i zmusili, by uwierzyła, po pierwsze: że nie została zahipnotyzowana, i po drugie: że nigdy nie przypomni sobie niczego, co wydarzyło się w noc morderstwa. - Popatrzył na Wu. - Mówiłeś, że nie jest to trudne?

- Absolutnie.

Howard Mott nie był usatysfakcjonowany. Podrapał się po brodzie, potem po grzbiecie lewej dłoni, znowu spojrzął na Wu i powiedział:

- Kiedy zadzwonili do mnie późno w nocy z hotelu „Bel-Air”, twierdzili, że natknęli się na pewien problem. Przynajmniej Hughes tak powiedział. To z nim rozmawiałem. Lecz nie chciał powiedzieć, o co chodzi, a gdy przyjechałem do hotelu, ich już nie było. Zostawili wszystkie swoje rzeczy. Wyglądało to tak, jakby coś ich wystraszyło.

- Albo tak, jak chcieli, żeby wyglądało - podsunął Durant.

- Być może. W każdym razie tydzień czy dziesięć dni później, muszę sprawdzić dokładną datę, Hughes zatelefonował do mnie drugi raz. Chciał pogadać o pogodzie i o tym, jak przyjemna jest ta pora roku. Zacząłem zadawać pytania, ale przerwał mi i powie dział, że bym nie martwił się o niego ani o siostrę, że mieli nerwowe chwile, i że próbują rozpracować jakieś osobiste problemy, w które wolałyby nie wnikać. To była gra na zwłokę. Na pewno.

- Jakie pytania mu zadałeś? - zapytał Durant.

- Zapytałem, dlaczego zniknęli. Gdzie teraz są? Czy mógłbym coś dla nich zrobić? Jak można się z nimi skontaktować? A on tylko mi powtarzał, że bym

się nie martwił.

- Jesteś pewien, że to był głos Hughesa? - zapytał Durant.

- Całkowicie.

Mott odwrócił się, by spojrzeć na Lone Gamble, która nadal siedziała za biurkiem, z zamkniętymi oczyma i lekkim uśmiechem na twarzy.

- Czy naprawdę będzie pamiętała, co nam mówiła?

- Co do słowa - odparł Wu i miękkim, prawie uwodzicielskim głosem zapytał: - Pamiętasz tęczę, Iono?

- Tak, pamiętam - odpowiedziała, nie otwierając oczu.

- Jeszcze raz powtórzmy kolory. Kiedy dojdiesz do ostatniego - żółtego - przebudzisz się, odprężona i wypoczęta, i będziesz pamiętała wszystko, co mówiłaś. Teraz zacznij wymieniać kolory tęczy.

Sześć sekund później Iona Gamble podniosła powieki, uśmiechnęła się do Artie'ego Wu, potem zmarszczyła brwi, zrobiła zdumioną minę i powiedziała:

- Strzeliłam do Chagalla, nie do Billy'ego, prawda?

- Tak - przyznał Wu. - Strzeliłaś do Chagalla.

16

Otherguy Overby siedział w holu hotelu „Bridges” przez sześćdziesiąt siedem minut, nim w końcu zobaczył kogoś, kto mógł okazać się użyteczny. Hotel miał niecałe trzydzieści lat, ale już był dystygowanie wyświechtany, co przyciągało tych, którzy mieli potrzebę posiadania adresu w obrębie kodu pocztowego Beverly Hills.

Chociaż nie był tani, jednocześnie był stosunkowo niedrogi, i z tego względu cieszył się popularnością wśród zagranicznych i rodzimych dziennikarzy, ludzi zajmujących się reklamą, aktów i od czasu do czasu podstarzałego najemnika, który żywił złudzenia, że historia jego życia może stać się kanwą cudownego filmu.

W wyłożonym imitacją dębu holu stał wybór kanap i foteli krytych porządną tapicerką z ciemnobrązowej sztucznej skóry. Na ścianach wisiały ogromne sztychy przedstawiające środkowoeuropejskie pejzaże, a w powietrzu unosiły się dźwięki muzyki klasycznej - tak ciche, że przypominały raczej pomruk - nadawanej przez jedną ze stacji w Los Angeles.

W osłoniętym kuloodpornym plastikiem boksie, za recepcyjną ladą stał melancholijny facet po czterdziestce. Miał gęste czarne wąsy i zrezygnowaną minę kogoś, kto włada dziewięcioma językami i teraz zastanawia się, dlaczego się martwi.

Hotelowy detektyw - przemianowany przez hotel na „szefa ochrony” - dorabiający sobie na boku sierżant policji z Beverly

Hills, dwukrotnie minął Overby'ego, poświęcając mu jedynie prze lotne spojrzenie. Być może dlatego, że Overby siedział na jednym z dwóch znajdujących się w holu zwyczajnych krzesel, ze zsu niętymi stopami, z ciemnoszarym kapeluszem na kolanach, skromnie ubrany w czarne sznurowane buty, białą koszulę, ma-towoszary krawat i dwurzędowy niebieski prążkowany garnitur kupiony w sklepie w Londynie. Był to starannie wybrany kostium, w którym Overby miał uchodzić za cudzoziemca, najlepiej Europejczyka - do chwili otwarcia ust.

Człowiek, którego Overby uznał za użytecznego, był gruby, średniego

wzrostu, z potrójnym podbródkiem. Zabrał pocztę i „Wall Street Journal” z lady recepcji i wertował cztery czy pięć kopert, gdy Overby podszedł do niego od tyłu i postukał go palcem w prawe ramię.

Mężczyzna znieruchomiał - aczkolwiek tylko na chwilę - po czym zawirował na dziwnie drobnych stopach. Jego twarz rozjaśnił ten sam zaskoczony, rozradowany uśmiech, jaki pojawiłby się w chwili spotkania z najdroższym przyjacielem. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wyciągnął prawą rękę i powiedział:

- Czego chcesz, do kurwy nędzy? Overby odwzajemnił uśmiech, ujął wyciągniętą dłoń, puścił ją i powiedział:

- Przysyłają ci „The Wall Street Journal”, Dickie - i comiesięczny rachunek Amexu. To znaczy, że mieszkasz tu od jakiegoś czasu. I że jesteś w tym mieście na tyle długo, by wiedzieć coś, co mnie interesuje.

Richard Brackeen, lat 42, wepchnął korespondencję do prawej zewnętrznej kieszeni pięknie skrojonej czarnej marynarki, wsunął „The Wall Street Journal” pod lewą pachę i splótł ręce na ogro mnym brzuchu. Gołębioszara kamizelka, przyozdobiona złotą dewizką odgrywającą rolę znaku rozpoznawczego korporacji Phi Beta Kappa, sprawiała, że brzuch wydawał się większy niż w rzeczywistości.

Brackeen, ze splecionymi rękoma, z radosnym uśmiechem, zakołysał się na piętach i zmierzył Overby'ego małymi oczkami o barwie i połysku żywego srebra.

- Cholera, za kogo ty się uważasz, Otherguy? Za kogoś, kto ledwo zdążył na ostatni lot z Bagdadu?

Overby w odpowiedzi błysnął białymi zębami w twardym uśmiechu i powiedział:

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, Dickie, a dostaniesz trzy stówy. Za powiedzenie, że nie wiesz nic, stówę.

- Słyszałem, że byłeś w Mezopotamii, a może chodziło o Jordanię?

- A teraz jestem w L.A. Więc?

Radosny uśmiech zniknął, a usta ściągnęły się w coś, co przypominało pączek róży. Trzy podbródki podskoczyły, gdy Richard Brackeen z zadumą pokiwał głową.

- Chodźmy się odświeżyć.

Bar w hotelu „Bridges” nazywał się „Rogatka”. Cechowało go neutralne oświetlenie, niskie stoliki i miękkie fotele. O 17.20 był w trzech czwartych pełen i hałas klientów już narastał od pomruku do czegoś co przypominało niski, monotony śpiew.

Brackeen usiadł przy stoliku w rogu, plecami do ściany. Pojawiła się śliczna młoda kelnerka, do której zwrócił się per „kochanie”. Zamówił martini, podając nie tylko rodzaj ginu, ale również wermutu. Overby poprosił o butelkę meksykańskiego piwa i powiedział, że może być obojętnie jakie.

Kelnerka wróciła, podała drinki, przyjęła pieniądze od Overby'ego, uśmiechnęła się szeroko na widok napiwku, odwróciła się do Brackeena i zapytała:

- Kiedy zaczniesz zdjęcia, Dickie?

- We wtorek.

- Mówiłeś, że pomyślisz nad rolą dla mnie.

Brackeen podniósł głowę i zmarszczył czoło, jak gdyby przebiegając w pamięci wszystkie złożone obietnice. Po chwili rozjaśnił się i powiedział:

- Nie obsadzona jest tylko mała rólka w trzeciej scenie. Jeżeli chcesz, należy do ciebie.

- Kogo mam grać?

Brackeen powoli tracił zainteresowanie.

- Uczestniczyłaś kiedyś w prawdziwej orgii?

- Nie wiem. Może. Chyba tak

- Czasami z facetami, czasami z dziewczynami, a czasami z jednymi i drugimi? Skinęła głową.

- No cóż, jedyna różnica będzie polegała na tym, że chodzi o okresową orgię i będziesz nosiła kostium - przez jakieś dziesięć sekund.

- Co rozumiesz przez „okresową orgię”?

- Historyczną. W tym przypadku, rzymską. - Brackeen teraz stracił całkowicie zainteresowanie dziewczyną i popijał martini.

- Ale to mógłby być przełom, prawda? - powiedziała bez śladu przekonania.

- Oczywiście - odparł Brackeen dokładnie tym samym tonem.

- Okay. Biorę to.

- Zostaw w mojej przegródce swoje prawdziwe nazwisko, telefon, adres i numer ubezpieczenia.

- Dzięki, Dickie.

Brackeen skinął, kelnerka odeszła, a Overby powiedział:

- Myślałem, że przyjechali faceci z Chicago i wywalili cię na pysk.

- Pozwoliłem im przejąć pełnomocnictwa, to wszystko. Komu potrzebne takie wydatki? Teraz wchodzę w kasety, które wysyłam wyłącznie na zamówienia. Zamieszczam ogłoszenia w świerszczykach i założyłem kilka ślicznych małych punktów na telefon. - Rozmowa o interesach wprowadziła Brackeena w dobry humor i radosny uśmiech znów zagościł na jego twarzy. - Poza tym zostałem zagorzałym zwolennikiem kardynalnego prawa w interesach, Otherguy: obniżaj płace i podnoś zyski.

- Brzmi dobrze.

Brackeen wzruszył ramionami.

- Wystarczająco, jak na moje potrzeby.

- Przypuśćmy, że chciałbyś zniknąć na kilka dni, tydzień czy może nawet miesiąc lub dwa?

- Przed kim - przed glinami?

- Może nawet przed facetami z Chicago.

- Pojechałbym do Meksyku - jest takie miejsce na południe od La Paz, gdzie wszyscy mówią tylko po hiszpańsku, włącznie ze mną.

- A przypuśćmy, że znasz tylko brytyjski angielski?

- Z akcentem? Overby skinął głową.

- Chyba nie myślisz o zaszczytciu się w jakimś jednopokojowym mieszkaniu w Palm Springs jedynie z lodówką pełną mrozonej pizzy, kuchenką mikrofalową i telewizorem?

Overby pokręcił głową.

- Pełna obsługa?

Z kolei Overby skinął głową, po czym napił się piwa.

- Cóż, jedyne takie znane mi miejsce w LA mieści się u Colleen Cullen.

Znasz ją?

- Chyba ktoś mi mówił, że nerwy jej puszczaają.
- Robi w partyzantce, Otherguy, a wszyscy partyzanci są trochę drażliwi.
- Co obecnie oferuje poza wiktem i opierunkiem? Brackeen spojrzał w górę, jak gdyby zastanawiał się nad od powiedzią, potem skinął do siebie i powiedział:

- Powiedzmy, że potrzebujesz broni maszynowej, by bronić pani twego serca i domu? Albo że chcesz raczej szybko, ale bez biurokratycznych korowodów dostać się do Kanady? Albo założmy, że znalazłeś coś, co wypadło z ciężarówki - może trzy tuziny telewizorów - lecz nie wiesz, co z nimi zrobić? Za uczciwą cenę i przy minimalnym zamieszaniu - osobą, jakiej ci trzeba, jest panna Colleen Cullen.

- Ma uprzedzenia?
- A kto ich nie ma? Ale uprzedzenia do kogo?
- Do Brytyjczyków. Nienawidzi ich.
- Myślisz, że mimo to prowadzi z nimi interesy?
- Jak zawsze, Otherguy, uprzedzenia wychodzą, gdy wcho dzą zyski. Na twarzy Overby'ego pojawiła się zaduma.

- Czy mogłaby wziąć pieniądze, a potem... no wiesz?
- Zdradzić? - podpowiedział Brackeen.

Overby odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion.

- Ona jest szanowaną bizneswoman i zrobienie tego, co jak się wydaje sugerujesz, mogłoby zniszczyć jej reputację.

- Ile?

- Za zrobienie tego, co sugerujesz? Chciałaby kupę forsy.

Overby sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął trzy złożone na pół studolarowe banknoty. Pozwolił Brackeenowi je obejrzeć, potem złożył je jeszcze raz, przykrył pieniądze dłonią i prze sunął po stole. Jego ręka nadal przykrywała pieniądze, gdy powiedział:

- Trzy setki za numer telefonu i adres Colleen Cullen.

- Mam ci to napisać?

- Tylko powiedz. Dwa razy.

17

Biura firmy Jack Broach i Spółka mieściły się tuż na południe od Wilshire po zachodniej stronie Robertson Boulevard i kilka przecznic na północ od miejsca, gdzie Jane Fonda miała swoje studio aerobiku. Spółka Broacha zajmowała wszystkie trzy kondygnacje małego budynku w kształcie litery U, wyłożonego warstwą starannie wybranych używanych cegieł, na których widać było zaschnięte ślady starej zaprawy. Śliczna kępa jacarandy ocieniała podwórko wyłożone płytami i ozdobione szmerzącą trójstopniową fontanną z meksykańskich kafelków. Starannie wykaligrafowany napis na małej tabliczce głosił: UŻYWAMY WODY JEDYNIEM W OBIEGU ZAMKNIĘTYM.

Projektant budynku Broacha musiał być miłośnikiem małych rzymskich łuków, bowiem Georgia Blue przeszła pod trzema, nim w końcu dotarła do recepcjonistki o blond włosach. Podała jej swoje nazwisko, wtedy blondynka

mruknęła coś do telefonu, potem uśmiechnęła się do Georgii i powiedziała, że pan Broach przyjmie ją niebawem. Georgia Blue bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszała amerykański odpowiednik angielskiego słowa „wkrótce”.

Recepcjonistka zaproponowała kawę, herbatę bądź wodę Per-rier, ale Blue odmówiła i teraz czekała na fotelu ze skóry i chromu. Nieświadomie skubała rąbek ciemnoszarej sukienki od Annę Klein kupionej u Neiman-Marcusa za pieniądze, które otrzymała od Bootha Stallingsa. Resztę z tego tysiąca dolarów wydała na parę czarnych butów Joan&David i była zaskoczona odkryciem, że teraz nosi numer 7-a zamiast 7-aaa, który to rozmiar miała wchodząc do więzienia Mandaluyong.

Georgia Blue, w nowych butach i sukience od Neimana, zapakowała do reklamówki rzeczy zakupione w Manili i tuż przed parkingiem, na którym zostawiła wynajętego Forda, wrzuciła torbę do kosza na śmieci.

Po odczekaniu szesnastu minut w recepcji biura Jacka Broacha Georgia Blue obejrzała sobie samotne wejście gwiazdki filmowej, drugiej czy trzeciej wielkości. Dwie minuty później do drzwi zbliżył się czarnoskóry chłopak w wieku może dwudziestu dwóch czy dwudziestu trzech lat, ubrany w bawełnianą koszulkę, wystrzępione džinsy, z Rolexem wartości trzech tysięcy dolarów na lewym nadgarstku. Odprowadzali go dwaj biali po trzydziestce, którzy heroicznie starali się nie sprawiać wrażenia, że się przed nim płaszczą.

I w końcu pojawiła się twarz, dzięki której prawie dziewiętnastominutowe oczekiwanie okazało się warte zachodu. Była to twarz z jej dzieciństwa, ale teraz pogrubiona, pomarszczona i za czerwieniona przez lata, słońce i prawdopodobnie zbyt dużą ilość whisky. Złociste włosy przeredziły się i posiwiały, ale mężczyzna nadal poruszał się z wdziękiem i nadal miał proste plecy. Stary aktor popatrzył na Georgię Blue, uchwycił jej spojrzenie, obdarzył ją krzywym, lekko szalonym uśmiechem - który powinien objąć prawami autorskimi - potem mrugnął do niej i zniknął.

Jack Broach wstał, uśmiechnął się i szybko obszedł biurko, którego zbudowanie mogło jakiemuś osiemnastowiecznemu francuskiemu rzemieślnikowi zabrać przynajmniej rok życia. Przywitał Georgię ciepło i poprosił, by usiadła na kanapie, która stała pod - jak to określił - „trzema małymi Daumierami”.

Georgia obejrzała trzy wykonane piórkiem szkice, odwróciła się i usiadła. Gdy tylko oboje zajęli miejsca, ona na kanapie, on w zbyt wysokim fotelu, Broach powiedział:

- Zamiast odpowiadać na pani pytania, jestem prawie zdecydowany albo panią wynająć, albo namówić do podpisania kontraktu reprezentacyjnego.

- Wspaniale - powiedziała Georgia takim tonem, jakby mówiła: „co za brednie”. Broach dotknął czoła na linii włosów i zapytał:

- To pasemko jest prawdziwe, zgadza się?

- Słucham?

- Musi być, ponieważ pani go nie potrzebuje. Georgia Blue uśmiechnęła się lekko, czekając na następne pytanie. Broach znowu sięgnął ręką do czoła.

- Ile czasu było trzeba, aby tak posiwiały? Rok? Miesiąc? Ile?

- Jedną noc.

- Dobry Boże, co się stało?

- Siedziałam w więzieniu. Na Filipinach. Broach wydawał się bardziej zafascynowany niż zszokowany jej wyznaniem.

- Za co?

- Powiedzieli, że kogoś zabiłam. Ja powiedziałam, że tego nie zrobiłam. Wyrok został złagodzony kilka dni temu.

- To nie była amnestia, prawda?

- Prawda.

- A co pani robiła wcześniej?

- Byłam agentką Tajnej Służby.

- Nie wiedziałem, że kobiety też to robią.

- Urząd Skarbowy też nie wie.

- A teraz pracuje pani dla mojej klientki.

- Pracuję dla Wu i Duranta.

- Wudu, Limited - powiedział. - Chwytna nazwa.

- W każdym razie łatwa do zapamiętania.

- Musieli zaangażować panią od razu po wyjściu z pudła.

- Ktoś od nich czekał na mnie, gdy brama więzienia stanęła otworem.

- Wobec tego musiała pani znać ich wcześniej.

- Niekoniecznie, chociaż faktycznie znałam ich wcześniej.

Broach odchylił się w fotelu, zetknął dłonie czubkami palców, podniósł je pod nos i przyglądał się Georgii przez kilka sekund. Potem rozłożył ręce i powiedział:

- Wie pani, jak zarabiam na życie? Otaczam intensywną opieką schorowane ego. A bardzo rzadko można natknąć się na kogoś, kto tego nie potrzebuje.

- Co z ego Iony Gamble?

- Wyjątkowo silne.

- Co pan dla niej robi?

- Oferuję porady.

- Pan poradził, by wynajęła hipnotyzerów?

- To była sugestia jej obrońcy, chociaż całkowicie się z nią zgodziłem.

- Spotkał się pan z nimi - z Goodisonami? Skinął głową.

- I?

Jack Broach pochylił się do przodu z nowym i raczej gorliwym wyrazem twarzy, który Georgia Blue uznała za jego typową minę pod tytułem: możesz-ufać-temu-co-mówię.

- Jestem agentem - powiedział. - Odkrywam talenty. Szlifuję je. Pakuję. Sprzedaję. A czasami jestem zmuszony zdecydować, że nie są już chodliwe. To czyni mnie taksatorem. I moja pierwsza ocena Hughes i Pauliny Goodisonów brzmiała: standardowi naciągacze z pospolitym bajerem.

- Oczywiście, powiedział pan o tym Ionie Gamble?

- Nie potrafiłem zmusić się do podważenia opinii jej prawnika.

- Howarda Motta? Broach przytaknął.

- On zarekomendował Goodisonów?

- Mniej więcej.

- Albo to zrobił, albo nie.

- Mott dowiedział się o nich, potem sprawdził ich i wynajął za pośrednictwem renomowanej londyńskiej agencji. Ktoś, z kim Howard Mott rozmawiał w Londynie, zapewnił go, że Goodisonowie są w jak najlepszym

gatunku.

- Kto zarekomendował Motta Ionie Gamble?

- Poprosiła mnie, bym znalazł najlepszego obrońcę w Sta nach. Przedstawiłem jej pięciu, ona wybrała Motta, a wtedy ja stwierdziłem, że to mądra decyzja.

- Nadal pan w to wierzy?

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Nie rozumiem tego pytania.

- Jasne, że pan rozumie - stwierdziła. - Zaproponował pan Motta - między innymi, Iona Gamble zaangażowała go. On wy najął Goodisonów i nagle wszystko poszło w diabły. Moje pytanie brzmi: Czy w dalszym ciągu uważa pan, że była sprytna wybierając Motta?

- Spryt nie ma z tym nic wspólnego, Iona czuje się dobrze z Howie'em Mottem. Ufa mu. Poza tym on jest cholernie dobrym prawnikiem, z imponującą listą wygranych spraw.

- Jest pan prawnikiem, prawda?

- I co z tego?

- Prawnicy zwykle popierają się wzajemnie. - Blue przerwała, rozejrzała się powoli po olbrzymim pokoju, jak gdyby wyceniając jego zawartość, potem zadała Broachowi kolejne pytanie.

- Co robi pan dla Iony Gamble poza udzielaniem rad?

- Jestem jej najlepszym przyjacielem.

- A ile to ją kosztuje? Nie chcę liczby w dolarach, po prostu w procentach.

- Jestem jej agentem, menadżerem i osobistym adwokatem. Za to płaci mi dwadzieścia procent od dochodu. Przyjaźń jest bezpłatna.

- Pan kieruje jej inwestycjami? Broach skinął głową.

- Jest zrujnowana, zamożna, bogata - jaka?

- Dziesięć lat temu, mając dzisiejsze dochody, byłaby boga ta. Obecnie można ją uznać za bardzo zamożną.

- Jaki był powód zerwania między nią a Williamem Rice'em Czwartym?

- Nie mam pojęcia.

- Niech pan zgaduje.

- Skoro nawet Iona nie mogła tego odgadnąć, pewne jak cholera, że mnie też się nie uda.

- Czy coś jest z nią nie w porządku? Mam na myśli jej psychikę, pozytywny wynik testu na HIV, uzależnienie od narkotyków, seksualne dewiacje, problemy z alkoholem. A może cierpi na jakąś chorobę umysłową czy psychiczną, która mogłaby zaszkodzić jej karierze?

- Do diabła, o czym pani mówi?

- O szantażu - powiedziała Georgia Blue. - No i jak? Czy coś jej dolega?

- Nie.

- Myśli pan, że go zabiła?

- Nie.

- Kto według pana mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Najmniejszego.

- Jak pan sądzi, dlaczego Goodisonowie zwiali?

- Jeśli tak, znów nie mam pojęcia, dlaczego.

- A gdyby pan był Goodisonami i chciał zniknąć, dokąd by pan się udał?

- Do jakiegoś wielkiego miasta - powiedział Broach, po czym uśmiechnął się i dodał: - Może do Los Angeles.

- Dziękuję za poświęcenie mi swojego czasu, panie Broach. - Georgia Blue wstała, obejrzała się i raz jeszcze przyjrzała Dau-mierom. Potem odwróciła się do Broacha i powiedziała z uśmiechem: - Te trzy Daumiery są fałszywe. Mówię to na wypadek, gdyby pan nie wiedział.

Broach również uśmiechnął się i podniósł ze zbyt wysokiego fotela.

- Ale bardzo dobrze podrobione, prawda?

- Nieźle.

- Nauczyli panią tego w Tajnej Służbie?

- Nauczyli mnie rozpoznawać fałszerstwa.

- Nawet fałszywych ludzi?

- To moja specjalność.

- Jest pani pewna, że nie potrzebuje pracy?

- Całkowicie.

- Mogę jeszcze o coś zapytać? Skinęła głową.

- Zje pani dziś ze mną kolację?

- Przykro mi.

- A kiedy indziej?

- Kto wie? - Georgia Blue uśmiechnęła się na pożegnanie, podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła. Jack Broach uznał, że było to absolutnie cudowne wyjście.

18

Gdyby nie Hollywood Freeway, stary dwór Trusselów nigdy nie odbyłby sześćdziesięcioosmiokilometrowej przeprowadzki z obrzeży tego, co wówczas było centrum Los Angeles, na dwu hektarową parcelę w pobliżu początku kanionu Topanga.

Topanga, niegdyś będąca luźną wspólnotą wolnych duchów, narkomanów, mistyków, robotników, niedobitków epoki lat sześćdziesiątych, aktorów, pisarzy, artystów i osobników bez grosza przy duszy - pod koniec lat siedemdziesiątych i w osiemdziesiątych przeżyła plagę podnoszenia standardu. W wyniku tego procesu z taniego, na poły wiejskiego schronienia przemieniła się w coś, co każdy krytyk literacki nazywa boską dolinką z neonem.

Piętnastopokojowy dwór, który w 1947 odbył długą podróż do Tapangi, został zbudowany w 1910 - a więc wystarczająco późno, by uciec od tandetnych ozdóbek wiktoriańskiego szaleństwa. W 1948 został przeznaczony do rozbiórki, ponieważ stał na drodze autostrady, i został uratowany tylko dzięki temu, że jego właścicielka, panna Martha Trussel, urodzona w nim w 1911 i zdecydowana w nim umrzeć, wezwała starszego part nera swej prawniczej firmy, podała mu papierową torbę, zawie rającą dziesięć tysięcy dolarów w gotówce - co w 1947 było poważną sumą - i powiedziała: - Posmaruj, kogo trzeba, Henry.

Szybko uzyskano pozwolenie; dwór został przecięty na trzy części i przeciągnięty z prędkością pięciu kilometrów na godzinę na dwuhektarową działkę w kanionie Topanga, pozostawioną panie Trussel przez jej zmarłego

ojca, który w 1932 roku przejął ją w zamian za dług wysokości trzystu dolarów.

Z powodu awarii, stromych stoków kanionu i pomniejszych przeszkód przeniesienie domu na nowe miejsce zajęło trzynaście dni. „Los Angeles Times” uznał to zdarzenie za na tyle godne uwagi, że jednemu z dwudziestu jeden korków poświęcił bieg nącą przez trzy kolumny fotografię na stronie siódmej. Prze prowadzką kierowała osobiście panna Trussel, która później nadzorowała ustawienie domu i jego modernizację. Mieszkała w tym wielkim starym domu jedynie z szeregiem zmieniających się meksykańskich gospodyń, aż do śmierci. Zmarła w 1981 roku na rozedmę, w łóżku, z nie zapalonym Chesterfildem w jednej ręce, a kuchenną zapalniczką w drugiej.

Do tego czasu stary dwór Tusselów niszczał na tyle, że w 1982 roku na aukcji sprzedano go za jedyne sto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Nabyła go, płacąc dwudziestoma poświadczonymi czekami, z których każdy wystawiony był na inny bank i na sumę mniejszą od dziewięciu tysięcy dolarów, dwudziestodwuletnia panna Colleen Cullen. Panna Cullen mówiła każdemu, kto tylko chciał słuchać, że zamierza przekształcić stary dwór w zajazd oferujący noclegi i śniadania, który, jak się chełpiła, będzie „najlepszy na Zachodzie”.

Od doliny San Fernando 27. autostrada stanowa wije się przez góry Santa Monica do Topangi, a po drugiej stronie obniża się do oceanu i Pacific Coast Highway. Tam, na połączeniu autostrady numer 27 i oceanu, doświadczeni kierowcy jadący do San Francisco, Santa Barbara lub nawet Oxnard zwalniają, by nie wpaść w łapy zastępców szeryfa okręgu, których zatrudniło świeżo zarejestrowane i cierpiące na brak funduszy miasto Malibu.

Mniej więcej w połowie drogi między oceanem a doliną, w najwyższym punkcie autostrady stanowej numer 27, znajduje się „Summit Bar Grill”. I to tam Otherguy Overby siedział za kierownicą wynajętego czterodrzwiowego Forda, studiując wydaną przez Thomas Brothers mapę okręgu Los Angeles. Po pewnym czasie obok zatrzymała się Georgia Blue. Wsiadła ze swe go wynajętego wozu i wsiadła do Forda.

- Jadłaś już? - zapytał Overby, nie odrywając wzroku od mapy.

- Nie. A ty?

- Możemy zjeść coś tutaj.

Georgia Blue szybko oszacowała „Summit Bar Grill”, pokręciła głową i powiedziała, że woli zjeść później.

- Możesz wziąć kanapkę z serem i butelkę piwa - powiedział. - Co można spieprzyć w kanapce z serem?

- Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

- Może masz rację - przyznał Overby, zamykając atlas.

- Wiesz, jak mamy jechać?

Overby skinął głową i zapuścił silnik.

- I jak poszło z tym... jak on się nazywa - Broachem?

- Gładko.

- Powiedział coś interesującego o łonie Gamble?

- Tylko to, że jest jej najlepszym przyjacielem, jak również agentem, menadżerem i osobistym prawnikiem. Najlepszym przyjacielem jest za darmo, ale od reszty bierze dwadzieścia procent.

- Co powiedział o Goodisonach?

- Że od razu ocenił ich jako dwoje chorych skurwieli. Wzruszając

ramionami, jak gdyby usłyszał starą wiadomość, Overby zapytał:

- Słyszałaś kiedykolwiek o Colleen Cullen? Georgia Blue najpierw zmarszczyła brwi, potem popatrzyła na Overby'ego i powiedziała:

- Była jakaś Cullen rok temu w Chicago, związana z Czarnymi Panterami i IRA, ale nie miała na imię Colleen. Dlaczego pytasz?

- Ta Cullen podobno prowadzi najlepszą melinę w LA.

- I chcesz ją zapytać o Goodisonów? Powiedział, że tak.

- Myślisz, że poda ci informacje za darmo?

- Jeśli powie coś interesującego, zapłacimy jej. Masz jeszcze ten tysiąc od Booth'a?

Wydałam go. Na co?

- Na sukienkę i buty.

Overby oderwał oczy od drogi i przyjrzał się jej nowym butom i sukience, jak gdyby widział je po raz pierwszy.

- Nieźle. Ile dałaś?

- Dziewięćset sześćdziesiąt coś tam, razem z butami. Overby z uznaniem pokiwał głową i powiedział:

- Ty i ja, Georgia, zawsze rozumieliśmy, dlaczego odpowiedni strój może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Overby zjechał wynajętym Fordem z wąskiej krętej asfaltowej drogi na ceglany podjazd. W przednich światłach mignęła zielona tablica ze złotymi literami, które głosiły: ZAJAZD KUZYNKI CULLEN. NOCLEGI I ŚNIADANIA. Na szczycie drewnianego szyldu jarzył się rząd małych czerwonych liter: BRAK WOLNYCH MIEJSC.

Ceglany podjazd ciągnął się w nieskończoność; Overby domyślał się, że zajazd stoi tak daleko od wąskiej asfaltowej drogi, jak to tylko możliwe - prawdopodobnie w miejscu, gdzie płaski teren przechodził w strome stoki gór Santa Monica. Było tam wiele drzew, w których mimo nocy Georgia po kształcie i wielkości rozpoznała sosny, sykamory i eukaliptusy. W świetle reflektorów nie ukazał się żaden trawnik, o którym warto byłoby wspominać, jedynie zaniedbane grządki stokrotek, meksykańskich maków i innych odpornych na suszę kwiatów, których nazw nie pamiętała lub nie знаła.

Ceglany podjazd kończył się tuż przed starym domem, rozszerzając w parking mogący pomieścić tuzin wozów. Jednakże teraz stały na nim tylko dwa samochody - prawie nowa półciężarówka Toyoty i starszy kabriolet MG. Overby zatrzymał Forda, zgasił silnik i światła, zerknął na Georgię Blue i powiedział:

- I co?

- Dziewięć kroków do krytej werandy, która ciągnie się od frontu i po zachodniej stronie domu. Frontowe drzwi z solidnego drewna, oświetlone przez dwie, prawdopodobnie stuwatowe żarówki umieszczone wewnątrz kloszy z matowego szkła. Wąskie witrażowe okienko tuż na prawo od drzwi. Przedstawia owoce, jak myślę. To dwupiętrowy dom, prawdopodobnie ma piętnaście, szesnaście czy nawet siedemnaście pokoi. W jednym z pomieszczeń na piętrze pali się światło, ale na parterze i drugim piętrze jest ciemno. Żadnych samochodów z wyjątkiem Toyoty i MG, które wyglądają tak, jakby nie ruszały się z miejsca od sześciu miesięcy czy nawet roku.

- Żadnych samochodów i informacja, że brak wolnych miejsc raczej do siebie nie pasują - powiedział Overby.

- Może jej goście przyjeżdżają limuzynami.
- Może - powtórzył Overby i otworzył drzwi.

Georgia wysiadła za nim i razem weszli na schody. Overby znalazł dzwonek i wcisnął go, czego efektem było głośnie brzęczenie. Kiedy nikt nie odpowiedział, przycisnął dzwonek jeszcze raz - tym razem na prawie dwadzieścia sekund. Odczekali następne dwadzieścia, po czym Georgia Blue pchnęła drzwi. Były zamknięte. Overby wzruszył ramionami i odwrócił się, jak gdyby się poddał. Georgia, gdyby nie to, że akurat patrzyła w jego stronę, nie dostrzegłaby szybkiego krótkiego ruchu jego prawego łokcia, który trzasnął w wąskie witrażowe okno, wybijając kawałek wielkości piętnaście na dwadzieścia centymetrów. Widniała w nim czara z dojrzałymi wiśniami.

Overby odwrócił się, wsunął rękę w otwór i otworzył drzwi od środka.

- Cholera, chyba się poślizgnąłem - powiedział tuż przed wejściem do środka, błyskając twardym, białym, szerokim uśmiechem.

Georgia Blue znalazła przełącznik i zapaliła dwie lampy, które oświetliły olbrzymi hol z dobrze utrzymanym parkietem. Lampy, mleczone kule na żłobkowanych brązowych kolumnach, wyrastały ze słupków u wejścia na schody. Schody zakręcały w połowie drogi na wysokości dwóch metrów. Korytarz po lewej stronie klatki schodowej prowadził do tego, co wyglądało na spiżarnię i prawdopodobnie dalej do kuchni. Po lewej i po prawej stronie holu znajdowały się rozsuwane drzwi.

Overby chrząknął, potem wyszczerzył:

- Jest tu kto?

Gdy nikt nie odpowiedział, Georgia Blue powiedziała:

- Drzwi na lewo prawdopodobnie prowadzą do jadalni, a te na prawo do pokoju dziennego.

- W takim starym domu może to być salon.

- W porządku. Do salonu.

Overby podszedł do rozsuwanych drzwi po prawej i zapukał. Gdy w dalszym ciągu nie było odpowiedzi, przesunął jedno skrzydło i znowu zawołał:

- Jest tu kto? - poczekał chwilę i obejrzał się na Georgię Blue, która skinęła głową w odpowiedzi.

Overby wszedł powoli do pokoju. Przez chwilę po omacku szukał przełącznika, znalazł go i zapalił lampy, które znajdowały się w drugim końcu pokoju. Zanim on czy Georgia zdążyli się ku nim odwrócić, kobiecy głos warknął ostrzegawczo:

- Jeden ruch, a strzele.

Overby i Georgia Blue zamarli. Po chwili Overby, poruszając tylko ustami, zapytał:

- Pani Colleen Cullen?

- Ręce do głowy - powiedział głos. - Szybko. Overby i Blue wykonali polecenie.

- Odwrócić się powoli, potem na kolana, ale ręce na głowach.

- To dosyć trudne - stwierdził Overby.

- Spróbuj po jednym kolanie na raz, dupku.

- Chcesz, żebyśmy najpierw się odwrócili?

- Czy naprawdę jesteś taki głupi, jak się wydaje? Odwróć się, klęknij i niech zobaczą, czy faktycznie wyglądasz na idiotę.

Overby i Georgia Blue, trzymając ręce na głowach, powoli odwrócili się i

wlepili oczy w kobietę, która trzymała obrzyna-dwururkę potężną dwunastkę z odwiedzionymi kurkami.

- O co chodzi? - zapytała. - Spodziewaliście się kogoś z błękitnymi oczyma, blond włosami i dołeczkami w policzkach?

- No cóż, sepią też jest ładna - powiedział Overby.

19

Georgia Blue nachmurzyła się na widok kobiety ze strzelbą. Po blisko dziesięciu sekundach rozpoznała się i powiedziała:

- Teraz sobie przypominam.

- Co sobie przypominasz?

- Juniora Gibbonsa. Zanim przyłączył się do Panter, żył z Mary Margaret Cullen, którą wykorzystał do podjęcia forszy dla IRA w Chicago. Jesteś jej córką, zgadza się?

Dwie lufy przesunęły się tak, że wycelowały w Georgię Blue.

- Na kolana, siostrzyczko. Ty też, Asie.

Blue i Overby uklękli, trzymając ręce na głowach.

- Okay, znasz moje nazwisko oraz nazwisko mojej mamy i taty. Teraz chciałabym usłyszeć wasze, ty pierwsza.

- Georgia Blue.

- A ty?

- Maurice Overby.

- Mohriiss. Brzmi jak z przedmieścia, prawda?

Wbrew słowom Overby'ego jej skóra była jaśniejsza od sepii. Bardziej przypominała kawę z dwiema trzecimi śmietanki. Choć ciąż jej oczy były zbyt wielkie, nos odrobinę za cienki, a usta troszeczkę za szerokie, składały się na całość tak uderzającą, że rysy jej twarzy tkwiły w pamięci dłużej od urodziwych i prawie tak samo długo, jak prawdziwie piękne.

Miała smukłą szyję. Ubrana była w czarną bluzkę na szerokie ramionach, która odsłaniała gładkie ramiona, dobrze umięśnione ręce i podkreślała zarys drobnych piersi. Para czarnych obcisłych spodni reklamowała jędrne pośladki i długie nogi. Jej postawa i sposób, w jaki trzymała strzelbę, sugerowały dobrą koordynację ruchową i prawdopodobnie nadmiar pewności siebie.

Colleen Cullen odruchowo pokręciła głową, by odgarnąć z oczu kosmyk gęstych czarnych włosów. Włosy były przycięte na prawdziwego pazia z lat dwudziestych - krótkie z tyłu, rozdzielone na środku i po bokach na tyle długie, by zwisały się tuż poniżej uszu.

Spojrzała na Overby'ego i powiedziała:

- Chciałabym usłyszeć, dlaczego włamaliście się do mojego domu.

- Może najpierw pogadamy o forsie - powiedział Overby.

- Czyjej?

- Mojej.

Lufy strzelby lekko opuściły się, jednak szybko wróciły na swoje miejsce.

- Mogę wziąć wszystko, co masz.

- W prawej kieszeni spodni mam jakieś trzy setki. Moja part nerka ma sześćdziesiąt więcej. Ale przyszliśmy tutaj z nadzieją, że kupimy coś za poważne pieniądze, a jakoś nie myślę, by któreś z nas uważało trzysta

sześćdziesiąt doków za poważną sumę.

Lufy strzelby znów lekko opadły i tym razem znieruchomiały w nowym położeniu.

- A tak dokładnie, to co chcecie kupić?

- Informację.

- O czym?

- O Goodisonach, Paulinie i Hughesie - powiedziała Georgia Blue, która wstała i zaczęła otrzepywać prawdziwy czy wyimaginowany kurz z kolan.

- Pozwoliłam ci wstać? Georgia wyprostowała się i powiedziała:

- Kiedy Overby wspomniał o pieniądzach, zapomniałaś o obrzynie.

- To tylko twoje pobożne życzenie. - Cullen znowu podniosła strzelbę.

Overby podniósł się i pochylił, by otrzepać kurz z kolan błękitnych spodni. Nie przerywając tej czynności, powiedział:

- Znasz Goodisonów, Colleen? Powiedz tak, a dostaniesz tysiąc dolarów.

- Spotkaliśmy się.

- Masz już tysiąc - powiedział Overby, prostując się.

- A ile bym dostała, gdybym trzymała ich zamkniętych w piwnicy?

Overby powoli przyjrzał się jej, szukając oznak podstępów. Nie znalazł żadnych.

- Szkoda, że tak nie jest.

Colleen Cullen opuściła strzelbę, odwróciła się i podeszła do wielkiego dębowego stołu, na którym stała lampa z brązu z kloszem z zielonego szkła. Znajdowała się tam również butelka Virginia Gentleman, cztery kubki i dzbanek z wodą.

- Miałam zamiar zrobić grog - powiedziała, kładąc strzelbę na stole. - Pijecie burbona?

- Czasami - rzekł Overby.

Cullen nalała hojne miarki do trzech kubków, dodała odrobinę wody, wzięła dwa kubki w jedną rękę i podała jeden najpierw Georgii, potem Overby'emu.

- Siadajcie, jeśli chcecie - powiedziała, wracając do stołu i wyciągając krzesło dla siebie. Overby i Blue dołączyli do niej.

- Niech zgadnę - mówiła dalej Colleen Cullen, patrząc na Blue. - Byłaś gliną, prawda?

Georgia w odpowiedzi podniosła drinka.

- Ale ty, Asie... - Cullen odwróciła się do Overby'ego. - Myślę, że ty starałaś trzymać się od glin jak najdalej, co? Nieznaczny uśmiech Overby'ego nie zdradzał niczego.

- Jeśli opowiem wam o Goodisonach, ile dostanę?

- Już masz tysiąc.

- Jak na razie mam tylko słowa.

- Powiedz nam, co o nich wiesz, a dostaniesz następny ty siąc. Jak powiesz, gdzie możemy ich znaleźć - dwa tysiące.

- Razem cztery? Overby skinął głową.

- Razem cztery.

- Kto wam o mnie powiedział?

Overby zrobił niezadowoloną minę, jak gdyby czuł niechęć do zdradzania informatora. Potem westchnął i z żalobnym wyrazem twarzy powiedział:

- Dickie Brackeen.

- Facet od pornosów? Overby skinął głową.
- Opowiedz nam o Goodisonach - rzekła Georgia Blue.
- Nie lubisz pogawędek towarzyskich, siostrzyczko, no nie?
- Goodisonowie - powtórzyła z naciskiem Blue.
- Okay. Goodisonowie - Hughes i Paulina. Brat i siostra. Pieprzyli się ze sobą, ale jak się domyślam, wiecie o tym. Overby przytaknął.
- Pod koniec próbowali nawet podpuścić mnie, bym poszła z nimi do łóżka.
- Kiedy było to „pod koniec”?
- Sześć dni temu.
- Zacznijmy od początku.
- Co z moją forszą?
- Overby pochylił się, położył władczo dłoń na strzelbie i powiedział:
- Kiedy moja partnerka dostanie obrzyna, ty dostaniesz pieniądze.
- Cullen zamrugnęła szybko więcej razy, niż Overby zdołał policzyć.
- Nie ma mowy, nie dostanie.
- Okay. Ty zatrzymasz obrzyna, ale ona wyjmie naboje.
- Nie czekając na dalszą dyskusję, Overby pchnął strzelbę po stole do Georgii Blue, która złamała ją, wyjęła dwa naboje, schoowała je do torebki i przesunęła złamaną strzelbę w stronę Cullen.
- Cullen położyła rękę na broni i popatrzyła na Overby'ego.
- Moja forsa.
- Overby sięgnął do kieszeni na biodrze i wyjął dziesięć uprzednio odliczonych studolarowych banknotów. Podał je Cullen, która powoli przeliczyła je dwa razy, potem podniosła głowę i powiedziała:
- Kiedy otrzymam następny tysiąc?
- Kiedy opowiesz nam o Goodisonach. Colleen Cullen napiła się burbona z wodą i odrzuciła czarne włosy z oczu.
- Zjawili się nieoczekiwani i nieproszeni goście, dwa tygodnie temu w wielkiej czarnej limuzynie.
- Georgia Blue obrzuciła Overby'ego triumfalnym półuśmiechem. Overby zignorował ją i zwrócił się do Colleen:
- W porządku. Przyjechali limuzyną. Co dalej?
- Powiedzieli hasło.
- Które brzmi?
- Pięć tysięcy na tydzień.
- Za dwoje? - zapytała Georgia Blue.
- Za osobę.
- Chryste! - wyrwało się Georgii.
- Oczywiście z pełną obsługą, siostrzyczko.
- Co jeszcze dostali za te dziesięć tysięcy? - zapytał Overby.
- Gwarantowaną dyskrecję.
- Overby skinął, jak gdyby uznał, że cena jest wysoka, ale nie wygórowana.
- Jak często wstępują tu zastępcy szeryfa?
- Co wtorek.
- I z czym odjeżdżają?
- Z tysiącem na głowę - niezależnie od tego, czy ktoś u mnie jest, czy też nie.
- Okay - wtrąciła się Georgia Blue. - Goodisonowie zameldowali się. Co

potem?

- Zamknęli się w swoim pokoju na trzy dni - nawet tam jedli. Telewizor grał dwadzieścia cztery godziny na dobę - na okrągło leciało główniane MTV - chociaż po cichu. Wyglądało na to, że chcieli mieć hałas w tle, ale oczywiście nie był na tyle głośny, by zagłuszyć odgłosy baraszkowania w łóżku.

- Dlaczego używali swoich prawdziwych nazwisk? - zapytał Overby.

- Z tym angielskim akcentem? Gdy drugi raz otworzyli usta, powiedziałam: „Chcę zobaczyć wasze paszporty”.

- Powiedzieli, że są rodzeństwem?

- Powiedzieli, że są małżeństwem. Pomyślałam, akurat. Tak się składa, że macie takie same nosy, usta, oczy i uszy. Ale jeśli rodzeństwo chce się pieprzyć, nie moja sprawa, więc jego na zywiałam panem Goodisonem, a ją panią Goodison - przynajmniej do czasu, gdy nie powiedzieli, bym mówiła im Hughes i Paula.

- Mieli telefon w pokoju? - zapytał Overby.

- W tym domu jest tylko jeden telefon, zamknięty.

- Pytali, czy mogą z niego skorzystać?

- Raz.

- Odbierali jakieś telefony?

- Gdyby tak było, drogo by za to zapłacili.

- Kiedy wyłączyli telewizor?

- A kto powiedział, że tak zrobili?

- Domyślałam się.

- Wyłączyli pod koniec trzeciego dnia i już nie włączyli. Wieczorem wyszli z pokoju i zaczęli zachowywać się po przyjacielsku - aż za bardzo. Najpierw on. Potem ona. Potem oboje razem. Macanki-obłapianki. Lubili też zdejmować ubrania. W końcu on schodził na dół, nie mając na sobie niczego poza szortami, a ona zapominała założyć cokolwiek poza małym starym stanikiem i majtkami, ale biorąc pod uwagę to, co wyprawiali, równie dobrze mogła ich nie mieć. Nie mam nic przeciwko trójkącikom od czasu do czasu, ale nie z dwójką takich czubów. Wolałabym iść do łóżka z wężem i aligatorem. W związku z tym ustanowiłam kilka nowych zasad.

- Jakich? - zaciekała się Georgia Blue.

- Zasada pierwsza: trzymać łapy z daleka od właścicielki zajazdu. Zasada druga: kutasy i cipy przez cały czas muszą być zakryte.

- Jak zareagowali? - zapytał Overby.

- Cichotali, ale później widywałam ich tylko w czasie posiłków - do czasu odjazdu.

- Sześć dni temu?

- Zgadza się.

- Uprzedzili cię, że odjeżdżają? - zapytała Georgia. Cullen pokręciła głową.

- Po prostu zeszli na dół ze swoimi manelami. Jedną wielką skórzaną walizką i dwiema weekendowymi torbami z brezentu czy tego nowego materiału, jakiego używają amatorzy górskich wspinaczek. No i byli wystrojeni - to znaczy, wyglądali, jakby byli wystrojeni - wiecie, o co mi chodzi?

Overby pokiwał głową.

- Tak więc wystąpiłam z gadką w rodzaju: „Wyjeżdżacie? Tak szybko?”. A Hughes poważnie odparł, że żałują, ale czas ruszać w drogę - czy jakieś inne bzdety. Potem zapytał, czy nie mogłabym sprzedać mu jakiegoś środka do

osobistej ochrony, a ja na to, że nie handluję prezerwatywami.

Cullen wyszczerzyła zęby. Overby odpowiedział jej równie szerokim uśmiechem. Ale Georgia Blue powiedziała:

- Mów dalej.

- No cóż, Paulina wpadła w szal. Zaczęła wrzeszczeć, że jestem, kurwa, za głupia, by odróżnić rewolwer od prezerwatywy. Powiedziałam Hughesowi, że im dłużej będzie się wydzierać, tym wyższa będzie cena. Szarpnął ją i przewrócił, i podczas gdy ona siedziała na tyłku, nadal drąc mordę, Hughes i ja tar gowaliśmy się o dwa prawie nowe *Chief Special*. W końcu sta nęło na siedmiuset pięćdziesięciu za sztukę, choć gdyby Paulina tak nie wrzeszczała, dostaliby je po pięćset.

Overby z zadumą pokiwał głową i spytał:

- Ile kosztowałyby dwie trzydziestkiósemki?

- Sześć stów za sztukę.

- Pomyślimy jeszcze nad tym. Czym wyjechali?

- Tą samą starą czarną limuzyną z tym samym kierowcą.

- Zatem ich wyjazd był zaplanowany - stwierdziła Georgia Blue.

- Musiał być. Gdzie moje pieniądze?

- Nie wiesz, dokąd pojechali?

- Ja nie pytałam, oni nie mówili.

- Okay, Colleen - powiedział Overby. - Jest interes. Już do stałaś tysiąc.

Zapłacimy ci następny za to, co powiedziałaś nam o Goodisonach. Trzeci dostaniesz za dwie spluwy - pod warunkiem, że będą w dobrym stanie. Następny, jeśli podasz numery limuzyny. To wszystko daje w sumie cztery tysiące, tak jak mówiłem.

- Dlaczego uważasz, że znam numery rejestracyjne? Overby wzruszył ramionami.

- Znasz albo nie.

- Cóż, cholera, dlaczego nie? - Cullen wstała i sięgnęła po strzelbę, ale ręka Georgii była szybsza.

- Lepiej zostaw to tutaj - powiedziała Georgia.

Cullen zastanowiła się, potem wzruszyła ramionami i wyszła do salonu. Georgia Blue wyjęła naboje z torebki, załadowała strzelbę i odwiodła oba kurki.

Kiedy Colleen Cullen wróciła po pięciu minutach, na palcach wskazujących jej rąk kołysały się dwa rewolwery *Smith & Wesson* kalibru 0,38 cala. Zatrzymała się i spojrzała na strzelbę, z której celowała w nią Georgia Blue.

- Masz zamiar mnie załatwić?

- Jeszcze nie wiem. Nie odrywając oczu od Georgii Blue, Cullen powoli podeszła do stołu i ostrożnie położyła na nim jeden rewolwer. Overby podniósł go. Cullen położyła drugi, znowu spojrzała na Georgię i zapytała:

- Co teraz?

- Rejestracja - zażądała Blue.

Gdy Colleen Cullen podała numer, Georgia Blue powoli opuściła kurki, złamała strzelbę, wyjęła naboje, położyła broń na stole i powiedziała:

- Zapłać jej, Otherguy.

To samo południe Booth Stallings spędził w roli nowego mieszkańca Malibu, przedstawiając się lekko osłupiałym sąsia dom oraz kompletnie ogłupiałym latynoskim służącym.

W trzech miejscach zaproszono go do środka; w dwóch powiedziano, żeby spływał; dwa razy zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem; w czterech mieszkaniach odbył krótką oziębłą pogawędkę, a raz został uprzejmie, choć z kompletnym brakiem zrozu mienia wysłuchany przez będącą na wakacjach kobietę z Dusseldorfu, która mówiła wyłącznie po niemiecku. Jedynym wyjątkiem był zwrot: „Okay, w dechę”, który powtarzała bez przerwy z uśmiechem na twarzy.

Sąsiedzi, którzy z nim rozmawiali, nie wiedzieli niczego sensownego o świętej pamięci Williamie A.C. Rice'ie Czwartym - albo nie chcieli nic Stallingsowi wyznać - dopóki nie zadzwonił do domu stojącego po drugiej stronie autostrady, dokładnie naprzeciwko domu Rice'a.

Mężczyzna, który otworzył drzwi piętrowego kanarkowego bliźniaka, miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Był na bosaka, ubrany w krótki zielony frotowy płaszcz kąpielowy i najwyraźniej nic innego poza lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi. W zębach trzymał papierosa, a w lewej dłoni bursztynowego drinka. Stallings pomyślał, że w tej ostrej twarzy z papierosem tkwiącym w lewym kąciku szerokich zgorzkniałych ust jest coś znajomego.

Papieros zatańczył lekko, gdy mężczyzna odezwał się, nim Stallings zdążył powiedzieć „Cześć”.

- Naprawdę myślisz, że wyślą cię na Hawaje na dwa tygodnie?

- Kto?

- Szef kolportażu, który polecił ci sprzedawać subskrypcje magazynu starego jak ty sam.

- Niczego nie sprzedaję, przyjacielu. - Stallings miał nadzieję, że jego słowom towarzyszy coś, co można nazwać uspokajającym i nawet szczerym uśmiechem. - Nazywam się Booth Stallings i wpadłem na przyjacielską pogawędkę z tej okazji, że jestem twoim nowym sąsiadem.

- Z którego domu?

- Tego po drugiej stronie ulicy, który należał do biednego pana Rice'a.

Mężczyzna skinął, wyjął papierosa, z zadumą napił się whisky, włożył papierosa do ust i powiedział:

- O Billym Rice'ie można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że był biedny.

- Dobrze go znałeś?

- Pijesz?

- Muszę przyznać, że tak.

- Świetnie, wejdź do środka, naleję po jednym i zaznajomisz się z najbardziej przyjacielskim sąsiadem z sąsiedztwa, Rickiem Clevelandem.

Cleveland wyciągnął rękę po króciutkiej, prawie niedostrzegannej chwili wahania, jak gdyby miał nadzieję, że Stallings dopasuje nazwisko do twarzy. Stallings ujął jego dłoń i zaryzykował.

- Cholera, robisz w filmie.

Lekkiemu skinieniu towarzyszył wyrażający ulgę uśmiech, gdy Cleveland,

odwracając się, by wprowadzić gościa do salonu, powiedział:

- Tak, ale przez parę lat nie grałem wiele. Podejrzewając, że prawdopodobnie chodzi o więcej, niż dwa lata, Stallings zapytał:

- Od dawna jesteś w Malibu?

- Od pięćdziesiątego pierwszego, a w LA od trzydziestego siódmego - odparł Cleveland, podnosząc z marmurowego blatu stołu na wpół opróżnioną butelkę Vat 69. - Może być szkocka?

- Świetnie.

- Z wodą?

- Odrobinę.

- Chcesz lodu?

Ponieważ lodu nie było widać, Stallings rzucił bez troski:

- Do diabła z nawykami.

Stallings dostał drinka, po czym odwrócił się w stronę olbrzymiego okna, z którego rozciągał się widok na Pacific Coast Highway, dom Billy'ego Rice'a oraz, kiedy stanął na palcach, bardzo wąski pasek oceanu.

- Lepszy widok jest z góry - poinformował Cleveland, osuwając się w szary klubowy fotel. Stallings wybrał niską bładoniebieską kanapę pod oknem, posmakował drinka, obdarzył swego gospodarza kolejnym dobrosąsiedzkim uśmiechem i powiedział:

- Musiałeś być świadkiem wielu zmian.

- Tak, ale to dlatego, że sięgam pamięcią do potopu - albo w każdym razie do „Przeminęło z wiatrem”. Pamiętasz tych wszystkich młodych lalusiów, pętających się wokół Scarlett w pierwszych kilku scenach? Cóż, byłem tym, który mówił: „Wi tamy, panno O'Hara” czy może było to: „Witamy, panno Scarlett”. Już teraz nie pamiętam. Ale, cholera, kogo to obchodzi?

- Może kinomanów?

- Pieprzyć ich.

Po następnym łyku Stallings powiedział:

- Często widywałeś swojego zmarłego sąsiada? Cleveland zgasił papierosa i zapalił następnego.

- Zaskarżyłem tego sukinsyna o to, że zasłonił mi widok. Ale on miał układy w okręgu i Komisji Wybrzeża, i bardzo szybko ko przekonałem się, że tylko cholerny głupek podaje do sądu kogoś, kto siedzi na szczycie miliarda dolców.

- Zatem nie żyliście w zbyt wielkiej przyjaźni.

- Jak się dowiedziałem, że zamierza wybudować ten cholerny dom, poszedłem pogadać z nim do jego biura w Century City. Kazał mi zwrócić się do swoich prawników. To była nasza pierwsza i ostatnia rozmowa.

Stallings zerknął przez ramię na dom Rice'a.

- Byłeś kiedyś w środku?

- Nigdy.

- Nie należy do najprzytulniejszych.

- No to dlaczego go wynająłeś?

- Firma, dla której pracuję, ma swoją bazę w Londynie, ale ma zamiar założyć filie w LA. Dwóch głównych partnerów myśli, że być może będą musieli zorganizować małą imprezę. To dlatego wydzierżawiłem na dwa miesiące dom Rice'a, ponieważ wygląda tak, jakby został zaprojektowany na nigdy nie kończące się przyjęcie.

- Tak. Rice urządzał ich wiele. Ale nigdy się o nich nie wiedziało. Nie było

słysząc żadnego hałasu ani rozmów, ponieważ przyjęcia odbywały się od strony plaży. I nie można było skarżyć się na parkowanie czy utrudnienia w ruchu, bo zawsze ściągali ludzi, którzy odprowadzali samochody gości. Ale jej wóz widywałem na dziedzińcu. Często stał tam przez całą noc.

- Czyj wóz?

- Iony Gamble - tej, która go zastrzeliła, niech Bóg ją błogosławi.

- Myślisz, że naprawdę go zabiła?

- Jasne jak cholera, że miała powody. Prawdę mówiąc, nie tylko ona.

- Nie tylko ona?

- Nie śpiam tak dobrze jak kiedyś. - Cleveland sięgnął po butelkę Vat 69, by dolać sobie whisky. Wlał prawie pięćdziesiąt procent, odstawił butelkę z powrotem na marmurowy blat stołu i podjął watek. - I nawet kiedy zasnę, muszę wstawać co dwie-trzy godziny i iść się odlać, bo mam cholerną prostatę. I tak, kiedy leję w kiblu na piętrze, z którego zawsze korzystam, lubię wyglądać przez okno łazienki na ocean, ponieważ jest to dużo bardziej interesujące od patrzenia w dół na to, co robię lub co próbuję zrobić, zgodzisz się?

Stallings współczująco pokiwał głową.

- Tak więc stałem tam, w sylwestra około jedenastej trzydzieści, i zauważyłem jej samochód zaparkowany przed domem Rice'a. Ma jeden z tych ekstrawaganckich nowych Mercedesów ze składanym dachem, które sprzedaje się po blisko sto tysięcy. Ale nie myślałem o tym i wróciłem do sypialni na tradycyjne uczczenie Nowego Roku, które polega na walnięciu się do łóżka z butelką i oglądaniu w telewizji, jak jacyś nieznajomi robią z siebie cholernych durniów. Później, około wpół do pierwszej, musiałem iść zrobić to, co zapewne będę musiał robić przez cały następny rok - to znaczy odlać się. I wtedy to zauważyłem.

- Co?

- Że jej samochód zniknął. Wóz Iony Gamble.

- Więc?

- Więc pomyślałem, że to trochę dziwne, że nie została na imprezę, albo - jeżeli to zrobiła - że spędziła ze swoim byłym narzeczoną jedynie pół godziny Nowego Roku. Ale do diabła z tym. To nie była moja sprawa, więc wróciłem do łóżka. Później, około piątej nad ranem, znów musiałem iść do kibla. I jej samochód stał tam, z wyjątkiem klaksonem. Po chwili ona wyskoczyła z wozu i wrzasnęła coś, czego nie usłyszałem. A potem weszła do domu zastrzelić go albo upewnić się, że rzeczywiście nie żyje.

- Niech mnie diabli - rzekł Stallings - jak mogłeś widzieć to wszystko w nocy? Czy Rice, tak jak ja, trzymał zapalone wszystkie zewnętrzne światła, by zabezpieczyć się przed włamaniem?

- Miał zapalone nie tylko zwykłe światła, ale i te z Bożego Narodzenia.

- Co powiedziały gliny?

- Kiedy?

- Kiedy powiedziałeś im to, co mnie?

- Nic. Spisali to wszystko i chcieli wiedzieć, ile wtedy wypilem i czy nie nadeszła pora, bym znów zaczął chodzić na spotkania w klubie anonimowych alkoholików.

- Czy za pierwszym razem nie mógł to być ktoś inny? To znaczy, czy ktoś inny nie mógł przyjechać takim wozem, jaki ma Iona Gamble?

Cleveland wzruszył ramionami.

- Właśnie tak powiedziały gliny, i powiem ci, co im powiedziałem. Szansa na to wynosi jeden do stu. Zapadła cisza, którą Stallings przerwał ostatnim pytaniem.

- Jak myślisz, co się z nią stanie?

- Jak myślę, czy jaką mam nadzieję?

- Jedno i drugie.

- Mam nadzieję, że dadzą jej medal - powiedział Rick Cleveland. - Ale nie myślę, żeby to zrobili.

21

W czasie tego, co Georgia Blue nazwała Seminarium Puł kownika Sandersa, raport Bootha Stallingsa na temat dwukrotnego dostrzeżenia przez starego aktora samochodu Iony Gamble wywołał coś, co powinno być oszałamiającą ciszą, I byłoby, gdyby na plaży tuż poniżej ogromnego salonu, w którym Wu, Durant, Overby, Blue i Stallings jedli na kolację kurczaki warte siedemdziesiąt trzy dolary, nie szumiały ciężkie oceaniczne fale.

Wyznaczony na zaopatrzeniowca Booth Stallings kupił kurczaki w miejscowej filii KFC i podał je, nim Wu i Durant rozpoczęli sprawozdanie z sesji hipnotycznej z Iona Gamble. Po tem Georgia Blue i Otherguy Overby opisali swoje spotkania z Jackiem Broachem, agentem, i Richardem Brackeenem, face tem od filmów porno. Następnie Blue i Overby opowiedzieli jedno przez drugie o spotkaniu z Colleen Cullen w jej zajeździe.

Stallings zdawał raport jako ostatni. Uśmiechnął się, zadowolony z efektu, jaki wywarł, włożył rękę do pojemnika z kurczakiem, wyciągnął nóżkę i ogryzając ją czekał, kto zareaguje pierwszy.

Tym pierwszym okazał się Artie Wu, który obrócił się w wiel kim ciemnoczerwonym fotelu, chrząknął i zapytał:

- Mówisz, że pan Cleveland jest aktorem?

Mając usta wciąż pełne kurczaka, Stallings tylko skinął głową.

- W jakim jest wieku?

Stallings przeżuł mięso, przełknął i powiedział:

- Jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, co stawia go na progu wieku zgrzybiałego.

- I mówisz też, że ludzie szeryfa byli nie tyle zainteresowani tym, co pan Cleveland mówił, ile tym, ile wypił?

- Ten facet pije, Artie, ale nie zalewa się w trupa. Przypuszczam, że nie pił dużo więcej w noc, w którą dwukrotnie widział samochód Iony Gamble - o ile widział.

- Pamięć mu szwankuje?

- Ja tego nie powiedziałem. Przyznał, że nie może sobie do brze przypomnieć swojej kwestii mówionej do Vivien Leigh w „Przeminęło z wiatrem”, ale co do centymetra określił wysokość tego domu i co do centa, ile kosztowało zaskarżenie Rice'a z jego powodu.

Durant stał przy olbrzymim oknie, patrząc na światła Santa Monica. Odwrócił się, cisnął kość kurczaka do pustego opakowania i powiedział:

- Może nie dość daleko cofnąłeś Ione Gambles, Artie?
- Może i nie.
- Ale może Goodisonowie to zrobili - powiedziała Georgia Blue, która znowu siedziała na długiej kanapie obok Stallingsa, z opakowaniem KFC między nimi.
- Wu zerknął na nią z uśmiechem.
- Masz coś więcej, Georgia?
- Georgia najpierw wytarła usta papierową serwetką, potem powiedziała:
- Czysta spekulacja. Wu westchnął.
- Czysta czy brudna, dawaj ją.
- Okay, Iona Gambles powiedziała, że nie pozwoliła, by Goodisonowie ją zahipnotyzowali, zgadza się? Wu skinął głową.
- A czy ty miałaś problemy z wprowadzeniem jej w głęboki trans?
- Nie.
- Powiedzmy, że Goodisonowie są równie dobrzy.
- Powiedzmy, że są lepsi.
- W takim razie możemy założyć, że mogli zahipnotyzować Ione Gambles w czasie drugiej sesji - wtedy, gdy nie było tam nikogo innego - tak, by nie zdawała sobie z tego sprawy i niczego nie pamiętała?
- Wu tylko skinął głową.
- I w czasie głębokiego transu mogła powiedzieć im o swoich dwóch wyprawach do domu Rice'a - oczywiście pod warunkiem, że faktycznie miały miejsce dwie wyprawy?
- Przyjmijmy, że były dwie - powiedział Durant. Georgia Blue ruchem głowy wyraziła zgodę.
- W porządku. W czasie pierwszej wyprawy była już pijana. Zastrzeliła Rice'a po kłótni, wróciła do domu, wypita jeszcze więcej i urwał jej się film. Po dojściu do siebie nie pamiętała niczego - z wyjątkiem tego, że jest cholernie wściekła na Billy'ego Rice'a. - Georgia znów popatrzyła na Wu. - To możliwe?
- Nie bardzo.
- W takim razie istnieje również niewielka możliwość, że Gambles wściekła się na Rice'a raz jeszcze do tego stopnia, iż wróciła tutaj, strzeliła w Chagalla zamiast w niego, znalazła Rice'a martwego, ale nie pamiętała, że zastrzeliła go wcześniej. Wykręciła 911, ponownie straciła przytomność i ocknęła się, niczego nie pamiętając.
- Przypuszczasz, że Goodisonowie w czasie drugiej sesji - wtrącił Durant - nagrali jej każde słowo, prawda?
- Georgia Blue skinęła głową.
- Może nawet nagrali ją na wideo. Durant odwrócił się do Wu.
- Więc?
- Wu przez dłuższą chwilę badał wzrokiem wysoki sufit.
- Ione można wyjątkowo łatwo zahipnotyzować. Co do na grywania... - Przerwał, oderwał oczy od sufitu i spojrzał na Duranta. - Ale ty nie o tym mówiłeś, prawda?
- Nie - powiedział Durant. - Ponieważ jeśli ją zahipnotyzowali, to cholernie pewne, że ją nagrali.
- Jeśli założymy, że tak było - powiedziała Georgia - może my również założyć, że Goodisonowie będą ją szantażować.
- Oczywiście - stwierdził Overby. - Prawdopodobnie najpierw wyślą jej

kopie tej części kasety, na której mówi jedynie o tym, jak strzelała do obrazu i jak znalazła martwego Rice'a. Aby ją zaniepokoić. Potem wyślą część, gdzie opowiada, jak załatwiła Rice'a. Okay, wyznania pod hipnozą nie są dopuszczalnym dowodem - ale gliny na pewno byłyby zainteresowane. Tak więc Iona zgodzi się płacić i Goodisonowie wyciągną od niej wszystko do ostatniego centa, łącznie z domem.

- Ale nie poprzestaną na tym, prawda, Otherguy? - powiedział Durant.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy szantażyści to chciwe bestie. Nigdy nie wiedzą, kiedy przestać, ponieważ wszystko to jest takie łatwe, takie... nie wymagające wysiłku. Kiedy Goodisonowie wycisną Gamble do sucha, spróbują sprzedać kopie kaset jednemu ze szmatławców. A jeśli również mają nagrania wideo, jak mówi Georgia, mogą spróbować sprzedać je jednej z tych podrzędnych stacji TV i miliony ludzi będą mogły zobaczyć, jak zahipnotyzowana Iona Gamble opowiada o zamordowaniu swego niezwykle bogatego kochanka w ostatni dzień starego roku. A wtedy Goodisonowie będą już średnio bogaci.

- To znaczy, że ty byś tak zrobił, Otherguy? - zapytał Durant. Overby obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- To znaczy, że faceci tacy jak ty i ja wiedzą, jak to się robi.

- Miejmy nadzieję, że większość z tego, co sugerują Georgia i Otherguy, jest prawdą - powiedział Wu z nieznacznym, mądrym, uprzejmym uśmiechem, którego, jak pomyślał Booth Stallings, mogliby mu pozazdrościć co sprytniejsi święci.

Uśmiech, którym odpowiedział Overby, składał się w dwóch trzecich z wiedzy i w jednej trzeciej ze złośliwości.

- Oni jeszcze tego nie łapiają, Artie.

- Myślę, że Georgia tak - prawda, Georgia?

- Oczywiście.

- Quincy? Durant tylko skinął głową.

- Booth?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy Goodisonowie spróbują zaszantażować Ione Gamble - powiedział Wu - co, jak wierzę, zrobią, czego będzie przede wszystkim potrzebowała?

- Pieniądzy? - strzelił Stallings.

- I pośrednika - powiedział Wu. Stallings skinął głową.

- Mediatora.

- Masz kogoś na myśli? - zapytał Durant.

- Georgię, oczywiście. - W słowach Wu przebijało zdziwienie, że ktoś o to zapytał.

- Oczywiście - powtórzył Durant płaskim i bezbarwnym tonem.

- Przejdźmy do konkretów, Artie - zaproponował Overby. - Do pieniędzy.

- Wpadło mi do głowy - rzekł Wu - że Wudu Limited, Berkeley Square, Londyn, czasowo zajmujące rezydencję w Malibu, powinno rozgłosić, że poszukuje pikantnych, szokujących i nawet sprośnych kaset z życia wziętych - głównie wideo, ale audio w razie konieczności - do światowego, wielojęzycznego programu telewizyjnego. Za odpowiednie nagrania jest gotowe zapłacić - ile? Do stu tysięcy dolarów?

- Dlaczego nie funtów? - zapytał Durant.

- Jeszcze lepiej.

- Co chcesz zrobić, dać ogłoszenie w „The Hollywood Reporter”? - powiedział Stallings.

- Myślę, że powinniśmy polegać całkowicie na słowie mówionym. I nie potrafię wymyślić lepszego herolda od Otherguya. Jest ktoś przeciw?

Wściekłe spojrzenie Overby'ego nie napotkało żadnego sprzeciwu. Po chwili jego twarz rozjaśnił znajomy twardy biały uśmiech.

- Ale proszę pamiętać o jednym - powiedział Wu. - Płaci nam się za odnalezienie Goodisonów, którzy najwyraźniej nie chcą zostać odnalezieni. Jeśli teoria Georgii jest prawdziwa - a znów powtórzę, że według mnie jest - Goodisonowie spróbują zaszantażować Ionę Gamble. Jeśli to zrobią, będą mieć do czynienia z jednym z nas jako pośrednikiem. Jeśli spróbują sprzedać kasety, audio czy wideo, postaramy się zapewnić sobie prawo pierwokupu - i znowu będą mieli do czynienia z nami. Ktoś chce coś dodać lub zapytać o coś?

- Kto co robi? - zapytał Durant.

Wu na moment zamknął oczy, potem pokiwał głową z zadowoleniem. Booth Stallings przypuszczał, że był to gest wyrażający aprobatę dla obmyślanej przez niego strategii. Wu podniósł powieki i popatrzył na Georgię Blue.

- Jak powiedziałem, Georgia, ty będziesz pośrednikiem. Ale dopóki nie będziesz potrzebna do tej roboty, zajmiesz się dal szym wglądem w życie i interesy Jacka Broacha. Otherguy, na razie będziesz naszym heroldem i domniemanym kupcem tego, co Goodisonowie mają do sprzedania. Quincy i ja sprawdzimy parę rzeczy, łącznie z numerem rejestracyjnym limuzyny, którą odjechali Goodisonowie.

- To zostaw mnie - zaproponował Stallings.

Wu obdarzył Stallingsa uśmiechem szczerego podziwu.

- Ty będziesz naszym panem X, Booth - tajnym emisariuszem tajemniczego pana Z, który wynajął Wudu Limited, do przetrząśnięcia świata w poszukiwaniu sensacyjnych wideokaset.

- Innymi słowy, siedzę przy telefonie i czekam, aż ktoś zadzwoni i spróbuje coś mi sprzedać.

- Tym może zająć się automatyczna sekretarka. Natomiast potrzebujemy kameleona doskonałego - kogoś, kto zagra każdą rolę, nie wypadając z niej ani na chwilę. Myślę, że ty będziesz idealny. Są sprzeciwy?

- Żadnych - powiedział Stallings - dopóki nie każesz mi zorganizować kinderbalu.

22

Dom lekkiej konstrukcji na skraju Venice stał na działce o długości siedmiu i pół metra, a zaparkowana przed nim czarna limuzyna Cadillac z 1982 roku wydawała się dłuższa od szerokości budynku. Na tablicy rejestracyjnej wypisano LUXURY 3, co sugerowało, że może istnieć cała flotylla takich pojazdów. Tę sugestię potwierdzał mały, starannie wymalowany drewniany symbol przybity gwoździem do kolumny werandy. Głosił: LIMUZYNY LUXURY i podawał numer telefonu. Cyfry i litery były jednakowej wielkości.

Małe frontowe podwórko przecinał betonowy chodnik, który po prawej stronie zostawiał nieco miejsca, trochę trawy i pięć bezlitośnie przyciętych

krzaków róż. Druga strona, lewa, była zdominowana przez starą bugenwillę, która wspięła się na małą frontową werandę i dach, jak gdyby miała zamiar pochłonać komin.

Bugenwilia zasłaniała większą część krytego zielonkawym gontem dachu. Reszta domu niedawno została pomalowana na dwa odcienie żółci - zewnętrzna boazeria bardzo bladym, a dużo ciemniejszym listwy przy oknach i drzwiach. Durant doszedł do wniosku, że dom wygląda jednocześnie przytulnie i cholerycznie.

Wysiadł z Lincoln Town Car od strony pasażera, a Wu z kierownicy. Kiedy weszli na werandę, usłyszeli dzwoniący wewnątrz domu telefon. Durant zapukał. Kiedy nikt się nie pojawił, a telefon zadzwonił po raz dziewiąty, na próbę przekręcił gałkę z brązu i zdziwił się, że drzwi są otwarte.

Za drzwiami znajdował się salon. Dzwoniący telefon stał na małym szarym metalowym biurku w dalszym lewym kącie pokoju. Pomiędzy drzwiami a telefonem znajdował się Latynos w wieku około trzydziestu lat. Leżał na plecionym owalnym dywaniku z poderżniętym gardłem. Durant przeszedł nad trupem, wyjął chusteczkę i przez nią podniósł słuchawkę wciąż dzwoniącego telefonu.

- Limuzyny Luxury - powiedział.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. W końcu kobiety głos zapytał:

- Carlos?

- W tej chwili nie może podejść do telefonu - powiedział Durant. - Coś przekazać?

Kobieta rozłączyła się.

Artie Wu, który przeszedł na drugą stronę biurka, czubkiem pióra odwracał kartki oprawionego w czarną skórę notesu.

- To jego dziennik - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Brakuje lutego.

- Idziemy - oznajmił Durant.

Durant znowu przeszedł nad martwym mężczyzną, ale Wu przyklęknął obok. Latynos miał na sobie ciemnoniebieskie spodnie, błyszczące pantofle, białą koszulę i czarną przypinaną muszkę. Muszka i koszula były przesiąknięte krwią. Z kieszeni koszuli wystawał mały oprawiony w skórę notesik. Wu wyciągnął go, owinął w chusteczkę i schował do kieszeni na biodrze. Potem podniósł się i ruszył do drzwi. Durant zatrzymał się przy nich tylko na czas potrzebny do wytarcia chusteczką wewnętrznej i zewnętrznej gałki.

Kiedy dotarli do Lincoln, zobaczyli ciemnowłosą kobietę wybiegającą z domu po drugiej stronie ulicy. Dom był brązowym bliźniakiem tego, który służył za kwaterę główną Luxury. Kobieta miała na sobie dżinsy, białą bawełnianą koszulkę i białe tenisówki. Z tej odległości można było dać jej dwadzieścia albo trzydzieści lat, ale poruszała się jak dwudziestolatka.

Wu i Durant pośpiesznie wsiedli do Lincoln, zaś kobieta rzucała się biegiem w stronę żółtego domu. Gdy Lincoln ruszał, dotarła do olbrzymiej bugenwilli i zatrzymała się, patrząc na przyśpieszającego Lincoln. Wu we wstecznym lusterku dostrzegł, że jej usta poruszają się, jakby powtarzała numer rejestracyjny.

- Kto wynajął wóz? - zapytał Durant.

- Booth.

- Zadzwoń do niego i poproś, by zgłosił kradzież.

- Gdzie go zostawimy - w centrum handlowym?

- Dlaczego nie?

Znaleźli wolne miejsce na trzecim poziomie centrum handlowego Santa Monica Place przy Trzeciej Ulicy i Broadwayu, oddalonym od oceanu o krótki spacer. Krążyli ruchomymi schodami w górę i dół, póki nie znaleźli piętra ze stoiskami z je dzeniem z różnych stron świata, gdzie Wu kupił dwie kawy espresso i zaniósł je do stolika zajętego przez Duranta.

Wu usiadł i wyjął owinięty w chusteczkę notes. Na czarnej skórze widniały złote cyfry: 1991. Chustka była przesiąknięta krwią. Wu wziął papierową serwetkę, by wytrzeć okładki notesu. Potem zawinał chusteczkę w papierową serwetkę, wszystko to opakował w następną serwetkę, wstał i cisnął do pobliskiego kosza na śmieci.

Zajął miejsce, otworzył notes i zaczął przewracać kartki. Durant napił się kawy i doszedł do wniosku, że jest za słaba. Wu podniósł swoją filiżankę, napił się, wrócił do studiowania notesu i mruknął.

- Dobra kawa. Durant wstał.

- Idę zadzwonić do Bootha.

Wu skinął głową, kompletnie zaabsorbowany notesem.

Durant znalazł w końcu telefonu, ale nie mógł sobie przy pomnieć, ile kosztuje rozmowa. Ćwierć dolara czy trzydzieści pięć centów? Wrzucił dwie ćwierćdolarówki i wystukał numer domu w Malibu z kierunkowym 456. Kiedy Stallings zgłosił się po trzecim sygnale, Durant przedstawił się i powiedział:

- Musieliśmy pozbyć się Lincolna.

- Co mam zrobić?

- Zadzwoń do wypożyczalni - która to jest?

- Budget.

- Powiedz im, że skradziono go w nocy, i że właśnie to odkryłeś.

- Gdzie go zostawiliście - pytam z ciekawości?

- Na trzecim poziomie centrum handlowego Santa Monica Place, z zamkniętymi drzwiami i oknami.

- Znajdą go po południu - powiedział Stallings. - Mam wynająć inny wóz?

- Weź coś okazałego - coś, w czym Artie mógłby wystąpić jako tajemniczy pan X.

- Ja jestem panem X - poprawił Stallings. - On jest panem Z. Co myślisz o Mercedesie - wielkim Mercedesie?

- Doskonale.

Kiedy Durant wrócił do stolika, Wu siedział z rękoma splecionymi na oprawionym w skórę notesie.

- Booth wynajmie inny samochód. Mercedes. Wu skinął głową i powiedział:

- Nazywał się Carlos Santillan. W maju skończyłby trzydzieści jeden lat. Miał siedemdziesiąt sześć tysięcy ulokowane w domu, około dwóch tysięcy sześciuset w tym starym Cadillacu i miesięczne opłaty za jedno i drugie wynoszące w przybliżeniu dziewięć setek z groszami. Był kawalerem, ale zanotował, że w razie wypadku lub śmierci należy powiadomić Rosę Alicję Chavez, która mieszka cztery domy dalej po drugiej stronie ulicy. To na pewno ta, która biegła zobaczyć, co się stało. Panna Chavez ma dwadzieścia sześć lat.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Zapisał datę jej urodzin zaraz po adresie i telefonie.

- Wszystko zapisywał?
- Jego wóz był ubezpieczony przez Allstate. Pieniądze trzywał w banku Security Pacific. W 1978 roku ukończył SaMoHi. Durant zmarszczył brwi, potem pokiwał głową.
- Szkoła średnia w Santa Monica.
- Miał sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu - kontynuował Wu.
- Ważył siedemdziesiąt dwa kilogramy, miał brązowe włosy, brązowe oczy i był umówiony na czyszczenie zębów za dwa tygodnie.
- Rzeczywiście wszystko zapisywał - powiedział Durant.
- Wszystko. Sześć dni temu miał zabrać panią i pana Goodison z „Zajazdu Kuzynki Colleen” w kanionie Topanga. Nie ma ani słowa, dokąd miał ich zawieźć. Nie sądzę, by wiedział.
- Może rozmawiał z kimś o nich? - powiedział Durant. - Są dość., hmmm... nietypowi.
- Masz na myśli Rosę Alicję Chavez? Durant przytaknął.
- Jeśli spróbujemy skontaktować się z nią, wezwie gliny - powiedział Wu. - Przynajmniej mam nadzieję, że tak by zareagowała.
- Czy w tym notesie nie ma nazw organizacji, do których należał - związki, stowarzyszenia zawodowe, może jakieś bractwo?
- Chodzi ci o takie, które mogłoby dać bliskim czy spadkobiercom jakąś sumkę po jego śmierci?
- Powiedzmy dwa tysiące dolarów - powiedział Durant.
- Myślę, że może SNWL. Stowarzyszenie Niezależnych Właścicieli Limuzyn, które właśnie przez chwilę zostało powołane do życia.
- O kim myślisz - o Otherguy?
- Otherguy poradziłby sobie z tym doskonale, ale Booth będzie jeszcze lepszy. Jest starszy i bardziej, co tu ukrywać, tatusiowaty, chociaż nie sądzę, by to określenie przypadło mu do gustu.
- Jasne, że tak - powiedział Durant. - Booth lubi być seniorem. Jest starszy o piętnaście czy dwadzieścia lat od nas i Otherguya, i dużo więcej od Georgii. Lecz chociaż cieszy się tym, że jest patriarchą, prawdziwym powodem, dla którego lubi włączyć się z nami, jest to, że według niego wszyscy jesteśmy przeżytkami.
- Niech go cholera - rzekł Wu. - Czy uważasz się za przeżytek?
- Nie, ale pewnego dnia uznam się za coś w rodzaju oryginalnego dziwaka.
- Tak, pewnego dnia ja też.

23

Georgia Blue jeszcze przed wypiciem porannej kawy zatelefonowała do Wydziału Pojazdów Zmotoryzowanych i używając zimnego formalnego tonu oraz kilku żargonowych określeń rodem z Tajnej Służby zażądała podania nazwiska i adresu właściciela pojazdu z tablicą rejestracyjną LUXURY 3.

Przekazała uzyskaną informację Durantowi, który właśnie na lał sobie pierwszą filiżankę kawy w niesamowicie zadbanej - i tak wielkiej, że mogłaby obsługiwać mały hotel - kuchni świętej pamięci Williama Rice'a. Durant spojrział na kartkę, wymruczał podziękowania i wyszedł na taras, gdzie mógłby bez przeszkód wypić kawę.

Georgia znalazła w kuchennej szafce termos, wzięła doń dwie filiżanki

kawy, zabrała kubek i zaniósła jedno i drugie do swej sypialni. Wypiła jedną filiżankę kawy, wzięła prysznic, przeczesła włosy, które od czasu pobytu na Filipinach urosły prawie o centymetr, i założyła sukienkę od Anne Klein oraz buty Joan & David. Potem usiadła na łóżku obok telefonu, nalała sobie drugą filiżankę kawy, podniosła słuchawkę i wystukała numer, który zanotowała poprzedniej nocy.

Usłyszawszy radosne Jack Broach i Spółka", powiedziała:

- Nazywam się Margo Dawson i jestem wiceprezesem Mitsu Bank w Beverly Hills. Dzwonię, by zorientować się, czy pan Jack Broach nie zechciałby zdecydować się na nasze usługi.

- Musiałaby pani porozmawiać z naszym finansistą, panem Corriganem.

- Jest obecny?

- Zwykle przychodzi około dziewiętej trzydzieści.

- Może mógłby pan dać mi jakąś wskazówkę. Czy pan Corrigan jest zadowolony z usług waszego dotychczasowego banku?

- Chyba tak. Z pewnością.

- Bank Amerykański, prawda?

- Security Pacific.

- Ten na Wilshire tuż przy Doheny?

- Ten przy La Cienega.

- Bardzo dziękuję. Skontaktuję się z panem Corriganem później.

Zadzwoiła do informacji, by zdobyć numer filii Security Pacific. W odpowiedzi usłyszała odtwarzany z magnetofonu głos aktora, który zaczął instruować ją, pod jakie numery ma telefonować, jeśli chce sprawdzić bieżący stan konta. Georgia Blue rozłączyła się i jeszcze raz zadzwoniła do informacji. Zniżyła swój zimny głos agentki Tajnej Służby do lodowatego i powiedziała telefonistce, że chce rozmawiać z człowiekiem, nie z maszyną. Telefonistka podała jej żądany numer.

Kiedy odpowiedział jej kobiecy głos, Georgia Blue powiedziała:

- Chciałabym rozmawiać z jednym z waszych nowych urzędników na temat utworzenia sześciocyfrowego handlowego konta.

Szybko została połączona z jakimś panem Davidsonem, który chciał wiedzieć, w czym może być pomocny.

- Tu Georgia Blue. Jestem wiceprezesem Wudu, Limited, amerykańskiej firmy konsultingowej z siedzibą w Londynie. Właśnie otwieramy filię w LA i szukamy odpowiedniego banku. Jeden z pańskich klientów wspomniał nam o waszym.

- Kto taki?

- Jack Broach.

Na chwilę zapadła pełna wahań cisza, po czym Davidson rzekł:

- Rozumiem. Czy wasza spółka również zajmuje się przez myśl rozrywkowym, pani Blue?

- Dobry Boże, nie. Jesteśmy konsultantami do spraw bezpieczeństwa, cholernie dobrymi w likwidowaniu gangów okradających sklepy i tym podobnych. Ale naszą prawdziwą specjalnością jest projektowanie systemów zapobiegających szpiegowi przemysłowemu.

- Mogłaby pani przeliterować nazwę spółki? Georgia Blue zrobiła to i dodała:

- Oto nasz londyński adres: Eight Burton Street, Berkeley Square, Londyn

WI. Korzystamy z banków Westminster i Barck-lays. Nasza pierwsza wpłata wynosiłaby ćwierć miliona. Przepraszam, że w funtach, nie dolarach.

Ton Davidsona stał się zauważalnie cieplejszy, gdy mężczyzna powiedział:

- Jestem pewien, że uda nam się spełnić wasze oczekiwania. Może wstąpiłaby pani dziś po południu?

- Wolałabym przed południem.

- O której?

Georgia Blue zerknęła na wart trzydzieści sześć dolarów ze garek. Wskazywał 9.22.

- Może o jedenastej trzydzieści?

- Zatem do zobaczenia - odpowiedział Davidson.

Jedynie Booth Stallings był w salonie, gdy Georgia Blue weszła tam siedem minut później. Stallings czytał właśnie wstępniaka w „Los Angeles Times”, ale podniósł głowę i zaproponował jej dział aktualności.

Pokręciła głową i powiedziała:

- Nie jestem na bieżąco.

- Nic się nie zmieniło.

- Jak idzie wojna?

- My jesteśmy odważni. Oni są tchórzliwi.

- To dobrze. O co to wszystko?

Stallings zerknął na nią podejrzliwie, ale wyglądała na szczerze zaciekawioną.

- Jedni powiedzieliby, że o ropę. Inni, że o powstrzymanie agresji i przywrócenie demokracji w Kuwejcie.

- Od kiedy w Kuwejcie była demokracja?

- Od momentu kiedy zaczęła się wojna.

- A jak długo to będzie trwało?

- Do pierwszego bądź drugiego tygodnia marca. Ten kraj nie pozwoli sobie na długą wojnę lądową, w której ginęłyby amerykańskie dzieciaki. Więc skończymy z tym jak najszybciej, spakujemy się, wrócimy do domu, urządzimy sobie śliczną patriotyczną orgię i zostawimy Bliski Wschód takim, jakim go zastaliśmy - pomijając martwych Irakijczyków.

Georgia Blue była chyba zmęczona rozmową o wojnie, bowiem rozejrzała się po pokoju i zapytała:

- Gdzie są wszyscy?

- Wu i Durant poszli wytropić faceta, który prowadził tę limuzynę. Otherguy załatwia Otherguyowe interesy.

- A ty?

- Ja jestem w rezerwie.

- Potrzebuję trochę forsy. Stallings skinął głową.

- Ile?

- Parę tysięcy. Mam jedną sukienkę i jedną parę butów, a za nosi się na deszcz.

Stallings sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął ogromny plik studolarówek.

- Nie pytałem, po co ci pieniądze. Pytałem ile. - Odliczył dwadzieścia banknotów, po chwili dołożył jeszcze pięć i podał je Georgii Blue.

- Jesteś słodka - powiedziała.

- Mając wybór, wolałbym być raczej seksowny.
- O tym możemy przekonać się wieczorem.
- Brzmi to jak konkretna propozycja.
- Bo tym jest. Stallings wstał.
- Wybierasz się do miasta?
- Podrzucić cię gdzieś? - zapytała.
- Do Santa Monica i Wilshire. Tam, gdzie Budget wynajmuje swoje bajeranckie wozy.
- Po co tam jedziesz?
- Po Mercedesa dla Wu i Duranta.
- Co się stało z ich Lincolnem?
- Przypuszczam, że w tej chwili szukają go gliny.
- Wygląda na to, że zaczęło coś się dziać - powiedziała Georgia Blue.
- Tak - zgodził się Stallings. - Prawda?

Georgia podrzuciła Stallingsa do wypożyczalni Budget, która zdawała się oferować wszystkie rodzaje wozów od Fiata po Lamborgini. Dziesięć minut później była w galerii Neiman-Marcusa, gdzie kupiła niebieskawoszarą garsonkę z jedwabiu i wełny oraz perłowszary płaszcz przeciwdeszczowy. Ta sama kobieta, która sprzedawała jej sukienkę od Anne Klein, chciała wiedzieć, czy Georgia była kiedyś modelką. Kiedy Georgia Blue zaprze czyła, kobieta powiedziała, że szkoda, bo mogłaby mieć swe wielkie chwile.

Georgia Blue weszła do banku Security Pacific o 11.28 przed południem. Trzy minuty później siedziała przed biurkiem Harolda Davidsona, który przedstawił się jako asystent dyrektora filii. Davidson miał brązową twarz wyposażoną w duży podbródek, przenikliwe ciemne oczy i usta, których kąciki wznosiły się do góry, przez co wyglądał na wiecznie uśmiechniętego. Chociaż nie miał jeszcze czterdziestki, zostało mu niewiele wło sów, ale zachował potężną, acz trochę niezgrabną posturę ko szycarza z koledżu, który był za wolny i za niski, by przejść na zawodowstwo. Davidson pomógł Georgii zdjąć płaszcz i ostrożnie powiesił go na wieszaku na kapelusze, na którym nie leżał żaden kapelusz. Georgia Blue podejrzewała, że nigdy ich tam nie było.

- Londyn - powiedział Davidson, gdy oboje usiedli.
- Londyn - zgodziła się.
- Dzisiaj mamy typowo londyńską pogodę, prawda? Pada.
- Nie wiem. Przez minionych pięć lat byłam stałym przedstawicielem Wudu w Manili.
- Filipiny. - Davidson przechylił głowę w lewo, pozwolił, by jego uśmiech powiększył się odrobinę i zapytał: - Czy Wudu przypadkiem nie poluje na zaginione miliardy Marcosa?
- Powiedzmy po prostu, że wykonywałam różne zadania dla rządu pani Aquino.
- A teraz jesteście w LA. Znaleźliście już sobie jakieś biuro?
- Nie, ale tymczasowo wydzierżawiliśmy dom w Malibu od pośrednika, niejakiego Phila Quilla, który prawdopodobnie znajdzie nam jakieś pomieszczenia na biura.
- Quill. Phill Quill - powtórzył Davidson. - Coś mi chodzi po głowie.
- Grał w futbol w Arkansas.

- Zawodnik roku UPI, zgadza się?
- Nie znam się na tym. Davidson skinął ze zrozumieniem.
- Wspomniała pani, że zarekomendował nas Jack Broach.
- Powiedziałam, że wspomniał o was.
- Jest waszym klientem?
- Nie, ale pośrednio pracujemy dla jego klientki, Iony Gamble. Chciałabym podkreślić, że ani Iona Gamble, ani Jack Broach nie są naszymi klientami. Naszym jedynym klientem w tym szczególnym przypadku jest pan Enno Glimm. Davidson był pod wrażeniem.
- Glimm od „Camarderi”?!
Georgia potwierdziła.
Davidson podniósł pióro i przysunął notatnik.
- Jakiego rodzaju usługi bankowe was interesują, panno Blue?
- Normalne. Przede wszystkim chcielibyśmy, żeby pokierował pan wypłatami dla od dziesięciu do siedemdziesięciu pracowników. Wystawiałby pan чеки co dwa miesiące i doglądał spraw podatkowych na rzecz urzędu stanowego i federalnego plus zwyczajne rzeczy, typu ubezpieczenia. Wszystko byłoby rutynowe, chociaż czasami moglibyśmy potrzebować znacznych sum gotówką - bez uprzedzenia.
Na wzmiankę o gotówce Davidson odłożył pióro i powiedział:
- Mogłbym zapytać, czy zna pani pana Broacha osobiście?
- Spotkaliśmy się wczoraj.
- Jakie sprawiał... wrażenie?
Georgia Blue przez kilka sekund mierzyła go wzrokiem.
- Nie rozumiem. Jeśli pyta pan o jego zdrowie, wyglądał świetnie. Ale chyba nie o to chodzi, prawda?
- Jack Broach jest starym i szacownym klientem. Ale kiedy napomknęła pani o Enno Glimmie, pomyślałem, że może wasza firma sprawdza agencję Broacha przed możliwym wykupieniem, fuzją czy nawet zainwestowaniem kapitału.
- Enno Glimm nie jest zainteresowany agencją pana Broacha. Kąciki ust Davidsona wyraźnie opadły.
- Rozumiem.
- Jesteśmy małą firmą, panie Davidson. Ale jeśli chce pan prowadzić nasze interesy, lepiej, żeby był pan ze mną szczery. Jack Broach jest zrujnowany czy tylko cierpi na chwilowy brak gotówki?
Davidson zmarszczył brwi, zaczął mówić, zmienił zamiar, potem zmienił go powtórnie i oznajmił:
- Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. Georgia Blue wstała.
- Wobec tego obawiam się, że nie dojdziemy do porozumienia.
Podeszła do wieszaka, zdjęła płaszcz, przerzuciła go przez lewe ramię i odwróciła się do Davidsona, który zerwał się na nogi.
- Przykro mi, jeśli odebrała pani to w ten sposób. Spojrzała na niego i powiedziała:
- Jack Broach i spółka są skończeni, prawda? Kiedy Davidson nie odpowiedział, a zamiast tego popatrzył na zegarek, Georgia Blue dodała:
- Tak myślałam.
Odwróciła się i odeszła, a wtedy Davidson sięgnął do telefonu, wystukał numer i skierował oczy na plecy Georgii Blue. Gdy zamykały się za nią drzwi

banku, usłyszał radosne: Jack Broach i spółka". Davidson przedstawił się i powiedział, że chce rozmawiać z panem Broachem.

24

Po tym, jak Georgia Blue wysadziła go na skrzyżowaniu Santa Monica i Wilshire Buleward w Beverly Hills, Booth Stallings wykonał anonimowy telefon na policję w Santa Monica i zawiadomił, że skradziony Lincoln Town Car znajduje się na trzecim poziomie w garażu centrum handlowego Santa Monica Place.

Później znalazł w pobliżu kawiarnię i zamówił śniadanie składające się z kiełbasek, gofrów i kawy. Po uregulowaniu rachunku ruszył spacerkiem w dół Wilshire, dopóki nie natknął się na bank, w którym potwierdził czek w wysokości dwóch tysięcy dolarów wystawiony na nazwisko Rosa Alicia Chavez.

Wychodząc z banku zauważył ekspresowy zakład poligraficzny, który raczej nie skarżył się na nadmiar klientów. Wszedł, uśmiechnął się do właściciela, położył na ladzie dwa studolarowe banknoty i powiedział, że założy się o dwieście dolarów, że zakład nie zrobi dla niego tuzina firmowych wizytówek w ciągu trzydziestu minut.

- Przegrał pan - powiedział właściciel, gdy studolarówki zniknęły w jego kieszeni. Pół godziny później Stallings wyszedł z punktu usługowego z tuzinem wizytówek, które oznajmiały: JEROME K. WALTERS, WICEPREZES STOWARZYSZENIA NIEZALEŻNYCH WŁAŚCICIELI LIMUZYŃ. Był tam również adres na Colorado Boulevard w Santa Monica oraz równie fikcyjny telefon i numer faksu.

Piętnaście minut później Stallings wszedł do biura wypożyczalni Budget i przedstawił się jako najemca skradzionego Lincoln Town Car. Za biurkiem siedziała śliczna dziewczyna w wieku około dwudziestu pięciu lat, która aż tryskała dobrą wolą. Powiedziała, że ma na imię Gloria, i że policja z Santa Monica właśnie powiadomiła wypożyczalnię o znalezieniu skradzionego Lincoln, praktycznie bez szkód, w centrum handlowym Santa Monica Place.

- Co rozumie pani przez: „praktycznie”?

- No cóż, musieliśmy wysłać ślusarza, by otworzył drzwi, a gliny zatrzymają wóz na parę dni, by zebrać odciski palców.

- Zostanę obciążony z tego powodu jakimiś dodatkowymi kosztami?

- Oczywiście, że nie zostanie pan obciążony.

- To dobrze - powiedział Stallings, potem zmarszczył czoło i dodał: - Niech pani słucha, Gloria, mam u siebie swego prezesa i wiceprezesa z Londynu, którzy nie byłiby zbyt rozradowani, gdyby budząc się rankiem w pierwszy dzień pobytu w Malibu odkryli, że ich wózek zniknął. Pomyślałem więc, że lepiej będzie wynająć coś, co nie tak łatwo ukraść - może nawet coś zagranicznego i ekstrawaganckiego.

- Mamy ślicznego białego Bentleya.

- To dla nich zbyt ostentacyjne. Wolałbym na przykład czar nego Mercedesa.

- Tak, mamy czarnego 500SL, czarnego 300E i naprawdę eleganckiego czarnego Mercedesa 560SL.

- Wezmę 560-tkę.

- Tym razem chce pan pełne zabezpieczenie?
- Jak pani sobie życzy.

Stallings wysiadł z wielkiego czterodrzwiowego Mercedesa na zachodnim skraju Venice i betonowym chodnikiem podszedł do werandy. Zapukał do drzwi brązowego domu, który był ciemnym bliźniakiem małego żółtawego po drugiej stronie ulicy. Otworzyła mu pulchna kobieta w średnim wieku w lokówkach na głowie.

- Panna Chavez? - zapytał Stallings, choć wiedział, że to nie ona.
- Czego? - Pani jest panną Chavez?
- Nie. Jestem Helen, sąsiadka, Rosa jest wciąż w szoku.
- Biedny Carlos - rzekł Stallings, żalobnie potrząsając głową. - Biedna panna Chavez. Jest nam bardzo, bardzo przykro.
- To znaczy komu?
- SNWL
- A co to takiego?
- Stowarzyszenie Niezależnych Właścicieli Limuzyn. Helen odwróciła głowę i zawołała:
- Rosa! Przyszedł jakiś facet od kierowców limuzyn. - Spojrzała na Stallingsa i powiedziała: - Wejdz pan.

Stallings wszedł do środka i znalazł się we wczesnych latach sześćdziesiątych. Na podłodze leżał bawełniany kudłaty dywanik w kolorach białym, czerwonym, brązowym i czarnym, będący duplikatem tego, jaki wraz z byłą żoną kupił w 1941 roku w Hecht Company w Waszyngtonie.

Stała tam również kryta tweedem kanapa na chromowanych nóżkach i fotel obity zielonym materiałem. Stolik do kawy był z drewna tekowego. Obok zielonego fotela stał jego mniejszy kuzyn. Skandynawska moda trzydzieści lat później, pomyślał Stallings, bez zaproszenia sadowiąc się w fotelu.

Młoda kobieta, siedząca na tweedowej kanapie, ubrana była w prostą czarną koszulkę i czarne dżinsy. W rękach ścisnęła zmiętą chusteczkę. Mimo opuchniętych oczu, zaczerwienionego nosa i braku makijażu była ładna.

Dziewczyna podniosła głowę, pociągnęła nosem i zapytała:

- Znał pan Carlosa?
- Stallings podał jej firmową wizytówkę. Przeczytała ją uważnie, potem popatrzyła na niego i powiedziała:
- Nie mówił mi, że należy do jakiegoś związku.
- Zapisał się w zeszłym miesiącu, gdzieś na początku roku.
- I przyszedł pan złożyć kondolencje. To miłe. Dziękuję.
- Przyszedłem również powiedzieć pani o funduszu na wypadek śmierci - oznajmił Stallings i znacząco popatrzył na wciąż kręcącą się po pokoju Helen.

Helen powiedziała:

- Wrócę za parę minut, kochanie.
- Po jej wyjściu Stallings wyjął potwierdzony czek, wstał i wręczył go z uszanowaniem Rosie Alice Chavez.
- Dwa tysiące? - zapytała z niedowierzaniem. Stallings smutno pokręcił głową, usiadł i powiedział:
- Przykro mi, że tak mało, ale Carlos był naszym członkiem od niedawna.
- To dużo.
- Wiem, że to trudne, panno Chavez, ale głównym powodem powołania

związku kierowców limuzyn jest otaczanie się wzajemną opieką i zapobieganie takim okropnym wydarzeniom.

Kobieta skinęła, jeszcze raz oglądając czek.

- Zapewne chce pan zadać mi jakieś pytania, prawda?
- Jeśli za bardzo to pani nie zdenerwuje. Podniosła głowę.
- Mogę powiedzieć panu to, co już powiedziałam glinom.
- Byłoby to bardzo uprzejme.

Rosa Alicia Chavez przez prawie pięć minut opowiadała o Lincolnie Town Car, którego widziała odjeżdżającego spod domu Carlosa. Podała rok produkcji, kolor, prawdopodobną cenę i numer tablicy rejestracyjnej. Wspomniała o mężczyźnie, którego nazwała *El Chino Grande*, i o drugim - naprawdę wysokim, ciemnym i wyglądającym dość wszawo. Opisała, jak obaj wypadli z domu Carlosa, jak wskoczyli do Lincolna i co chciałyby z nimi zrobić - szczególnie z *El Chino Grande*.

Stallings wyjął notes i gdy skończyła opowiadać, zapytał:

- Czy Carlos wspominał ostatnio o jakichś dziwnych czy trudnych klientach? Pokręciła głową.

- Tylko o *Ingleses*.
- O Anglikach?

Skinęła z wyrazem będącym ciekawą mieszanką odrazy i fascynacji.

- O mężczyźnie i kobiecie, którzy powiedzieli Carlosowi, że są małżeństwem. Ale on stwierdził, że wyglądali jak bliźnięta.

- To znaczy jak brat i siostra.
- Tak, brat i siostra - powtórzyła, lekko wzruszając ramionami.
- Wspomniał ich nazwiska?
- Nie, powiedział tylko, że zawiózł ich do kanionu Topanga, a potem, może tydzień później, zabrał i zawiózł gdzieś indziej.

- Powiedział gdzie?

- Do motelu.

- W LA?

- W Oxnard.

- Powiedział, do jakiego?

Dziewczyna jeszcze raz obejrzała czek, popatrzyła na Stallingsa i rzekła:

- Powiedział mi tylko tyle, że to świry, i że zawiózł ich do jakiegoś motelu w Oxnard. Myśli pan, że te świry mają coś wspólnego z tym wielkim Chińczykiem i wysokim facetem z prawdziwą opalenizną?

- Nie wiem. To możliwe, oczywiście.

- Jeśli nie powiem, do jakiego motelu zabrał ich Carlos, zabierze pan czek, prawda?

- Nie.

Lekko machnęła czekiem, jakby zachęcając Stallingsa, by go zabrał.

- Słuchaj pan. Gdyby się okazało, że to jakaś sztuczka czy żart, chyba bym tego nie zniosła.

- To nie jest ani sztuczka, ani żart, i pani ma nasze najgłębsze współczucie - powiedział Stallings i wstał. Ona popatrzyła na niego i powiedziała bardzo formalnie:

- Dziękuję za przyjęcie i za pieniądze. Jest pan bardzo miły. Może wypije pan drinka albo kawę? Stallings uśmiechnął się.

- Dziękuję, nie.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?
 - Oczywiście.
 - Jak długo jest pan kierowcą limuzyny?
 - Około trzydziestu lat.
- Pokiwała poważnie głową i powiedziała:
- Tak myślałam.

25

Wygranie prawie pięciuset dolarów w pokerowym klubie w Gardenie zajęło Otherguyowi Overby'emu mniej niż pół go dziny. Grał zwanym przez siebie „ponurym stylem” - nie mówił niczego poza kilkoma odzywkami: „trzy karty”, „pasuję”, „podnoszę o dychę” czy „sprawdzam”. I od czasu do czasu zerkał przez lewe ramię.

Po jego prawej stronie siedziała pięćdziesięcioletnia kobieta o figurze trzydziestolatki i twarzą spaloną przez słońce. Ubrana była w niebieską koszulkę na ramiączkach i czapkę baseballową Dodgersów z daszkiem przesuniętym na lewo. Kiedy Overby po raz sześćdziesiąty spojrzał przez lewe ramię, zapytała:

- Czekasz na posiłki?
- Mam się tu spotkać z pewnym facetem.
- Sposób, w jaki się rozglądasz sugeruje, że jest ci winien kupę forsy.
- Zamierzam płacić, nie odbierać - jeśli w ogóle przyjdzie. Kobieta pochyliła się ku niemu i zniżyła głos.
- Jeśli naprawdę cię przycisnęło, mogę podać ci numer. Overby spojrzał na nią spode łba.
- Czy wyglądam na ćpuna?
- Kto mówił o prochach? Ale jeśli o to chodzi, wyglądasz jak typowy facet z wydziału narkotyków. Overby zmienił wyraz twarzy.

- Kupuję kasety wideo.

Rozegrali dwa rozdania, zanim kobieta zapytała:

- Kasety wideo z czym?
 - Z ludźmi robiącymi rzeczy, których nie powinni robić.
 - Masz na myśli seks?
- Overby spojrzała na nią wściekle.
- Co z tobą, kobieto? Najpierw robisz ze mnie narkomana, potem faceta z wydziału narkotyków. A teraz wstawiasz mnie w pornobiznes.

Pochyliła się w jego stronę i wyszeptała:

- Co powiesz o parze usiłującej utopić swoje czteromiesięczne dziecko?
- Wściekłość w oczach Overby'ego ustąpiła miejsca zaciekawieniu.
- Napijesz się kawy?
 - Oczywiście - powiedziała kobieta i zebrała swoje żetony.

Powiedziała, że nazywa się Cheyne Grace. Przeliterowała imię i powiedziała Overby'emu, że wymawia się jak Shane, nazwisko starego aktora, lub Shayne, starego detektywa.

- Jakiego starego detektywa? - zapytał Overby.
 - Michaela Shayne, prywatnego glinę. Grywał go ten, no, Lloyd Nolan.
- Overby mieszał swoją kawę przez prawie piętnaście sekund, po czym

znów zerknął przez lewą ramę i powiedział:

- Opowiedz mi o tym wideo z topieniem dziecka.
- Pewien znany mi facet powiedział, że zna kogoś, kto to widział.
- Może powinienem z nim pogadać - z tym facetem, którego znasz.
- Jestem jego agentką - swego rodzaju.
- Swego rodzaju?

- Okay, jestem jego agentką. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, najpierw musisz porozmawiać ze mną.

Overby skinął, popatrzył przez lewe ramię, odwrócił się w kierunku kobiety, zniżył głos i powiedział:

- Okay. Jest tak Reprezentuję faceta, którego będę nazywał panem Z - okay? Pan Z jest z Londynu - w Anglii - i tworzy program telewizyjny dla odbiorców na całym świecie. W programie nie będą potrzebni aktorzy i praktycznie lektorzy, po nieważ wszystko wyjaśnia się samo. Będą wykorzystywane kasety z nagraniami rzeczy, które odbyły się naprawdę.

- Jakie?

- Na przykład takie, jak ta, za którą pan Z zapłacił sto tysięcy funtów.

- Ile to będzie w dolarach?

- Około stu osiemdziesięciu tysięcy. - Overby jeszcze raz zerknął przez lewe ramię i zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. Kobieta pochyliła się w jego kierunku. - Dwa lata temu w Londynie miało miejsce morderstwo. Facet wrócił do domu z podróży w interesach do Stanów i znalazł żonę, i teściową z odrąbanymi głowami.

Oczy kobiety rozszerzyły się.

- Macie to wszystko na kasecie?

Overby westchnął, znowu spojrzął przez lewe ramię i powiedział:

- Oczywiście, że nie. Mamy film wideo, na którym morderca przyznaje się do winy, potem włącza gaz i wkłada głowę do piecyka. Pozostawiliśmy jego wyznanie w całości, ale scenę z piecykiem skróciliśmy do sześciu czy siedmiu sekund - zostawiliśmy tylko tyle, by wywierała wrażenie.

- I kto nim był?

- Kto?

- Ten morderca?

- Aha, no cóż - mąż. Był w Waszyngtonie. Kupił albo ukradł amerykański paszport, poleciał *Concordem* do Londynu, odrąbał im głowy siekierą i wrócił do Waszyngtonu, zanim ktokolwiek zorientował się, że go nie było. Trzydzieści sześć godzin później przyleciał do Londynu klasą turystyczną, znalazł ciała i zadzwonił na policję. Zbrodnia doskonała. Doskonałe alibi.

- Dlaczego je zabił? - zapytała Cheyne Grace. Overby zdecydował się na standardowy motyw.

- Pieniądze, cóżby innego? Jego teściowa była dość bogata, a żona była jej jedyną spadkobierczynią. Morduje więc teściową,

zmusza żonę, by przyrządziła im obojgu coś do zjedzenia i godzinę później ją zabija. Autopsja wykazuje, że teściowa umarła pierwsza, a to oznacza, że córka dziedziczy wszystko. A mąż dziedziczy wszystko po zmarłej żonie. Teściowa zostawiła naprawdę śliczne mieszkanie nad wodą w Torguay i to tam mąż nagrał swoje wyznanie, a potem wsadził głowę do piecyka.

- Ile odziedziczył?

- Około czterystu tysięcy funtów - powiedział Overby po chwili namysłu, w

czasie której zdecydował, że ma być mniej niż milion.

- Od kogo kupiłeś tę kasetę?

Overby uśmiechnął się - według niego był to pierwszy uśmiech od trzech godzin.

- To tajemnica.

Kobieta skinęła na znak, że rozumie.

- Aha, a ten kawałek o topionym dziecku po prostu wymyśliłam.

- Nie żartujesz?

- Nie, ale ten znajomy facet zna mnóstwo dziwaków, rozumiesz, o co mi chodzi? Overby w odpowiedzi pokiwał głową.

- Więc jak mamy się z tobą skontaktować na wypadek, gdyby miał coś ciekawego?

Overby wyrecytował numer telefonu w domu Williama Rice'a z kodem kierunkowym.

- Cztery-pięć-sześć - powtórzyła Cheyne Grace pod wrażeniem. - To w Malibu.

- To dom pana Z, ale nie pytaj o niego. Pytaj o pana X.

- Ty jesteś panem X, prawda?

Zanim Overby mógł udzielić odpowiedzi, na jego lewym ramieniu wyładowała olbrzymia dłoń. Podskoczył, potem spojrzał w górę na mężczyznę, który mierzył dobrze ponad metr dzie więćdziesiąt. Miał na sobie ściągniętą pasem kurtkę, ciemne lotnicze okulary i kapelusz ze świńskiej skóry z opuszczonym rondem. Na jego twarzy widniał przynajmniej trzydniowy zarost.

Mężczyzna przemówił niskim gardłowym głosem. Pobrzmiewało w nim oskarżenie i groźba.

- Mówiłeś, że będziesz sam, człowieku.

- Jestem - odparł Overby.

- No to, kurwa, kto to jest?

Overby spojrzał na Cheyne Grace i przepaszająco wzruszył ramionami.

- Nie pogniewasz się?

- Nie - powiedziała, podnosząc się szybko. - Absolutnie. Kiedy odeszła, mężczyzna usiadł po lewej stronie Overby'ego.

- Nadal nas obserwuje - powiedział.

- To dobrze.

- Jak wypadłem?

- Byłeś doskonały.

- Próbowałem zawrzeć więcej groźby w zdaniu: „No to, kurwa, kto to jest?” i chciałem powiedzieć: „No to, kurwa, kim ona jest?”, ale to zabrzmiałoby zbyt sztucznie, nie sądzisz?

- Wypadło tak, jak powinno - zapewnił go Overby, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Nadal patrzy?

- Tak.

- Okay. Podam ci nie zaklejoną brązową kopertę. W środku są trzy setki w dwudziestkach. Chcę, żebyś je przeliczył, ale w kopercie. Zrób to powoli. Potem masz skinać głowę.

- Tylko skinać? - zapytał mężczyzna. - Bez słów?

- Bez słów.

- Myślę, że uda mi się zawrzeć wiele w tym skinieniu.

- Wiem - powiedział Overby i podał mu brązową kopertę.

O pierwszej po południu Overby zafundował sobie martini w barze „Manhattan Beach”, który często odwiedzał, gdy finansowe porażki w 1985 roku zmusiły go do zostania „Opiekunem domów gwiazd”. Czterdziestoletni barman-właściciel podsunął mu drinka i zagadnął:

- Mam coś, co może cię zainteresować, Otherguy.

- Tak, co?

Właściciel oparł łokcie na barze, spojrzał w lewo, w prawo, a potem na Otherguya.

- Jakiś ważniak z londyńskiej TV pojawił się na rynku wideo - interesują go amatorskie filmy. Słyszałem, że daje ciężką forszę.

- Chodzi o amatorskie porno? - zapytał Overby, zerkając na zegarek. Była 13.05 i minęły dokładnie dwie i pół godziny od czasu, gdy wyszedł z pokerowego klubu w Gardenie.

- Z tego, co słyszałem, bardziej idzie o spowiedź. Coś takie go jak: „Zabiłem swoją żonę, dzieciaki i psa, a teraz pokażę wam, gdzie ich zakopałem”.

- Chciałbym w to wejść - powiedział Overby.

- Potrzebna ci jedynie kamera wideo i scenariusz.

- I może aktor - dodał Overby.

- Chcesz numer telefonu?

Overby przytaknął.

Właściciel napisał numer na podstawce do piw i pchnął ją w stronę Overby'ego. Ten spojrzał i zobaczył numer domu Rice'a w Malibu.

- Pytaj o pana X - dodał barman-właściciel - i nie zapomnij, że nadal płacę podatki. Overby wsunął podstawkę do kieszeni marynarki.

- Może będę w kontakcie - powiedział Overby, wysączył martini, położył na barze dwudziestodolarowy banknot i wyszedł.

26

O jedenastej tego samego dnia Georgia Blue zadzwoniła do Jacka Broacha i zaproponowała wspólny lunch. Broach szybko wyraził zgodę i polecił popularną alzacką restaurację na Sunset w Beverly Hills. Umówili się na pierwszą, po czym Broach za dzwonił do potencjalnego klienta i odwołał umówione spotkanie. To sprawiło, że potencjalny klient, humorzystyczny aktor, oskarżył Broacha o niestałość. Broach, wiedząc, że jego kariera i tak wiedzie donikąd, radośnie przyznał się do winy i odłożył słuchawkę.

Georgia Blue przybyła do alzackiej restauracji piętnaście minut później, niż było umówione. Prowadzona przez kierownika sali do stolika Broacha przyciągnęła natychmiastową uwagę innych gości. Mężczyźni w większość patrzyli na jej twarz, kobiety - na strój. Potem wszyscy, czy prawie wszyscy, zauważyli pasemko białych włosów, długi pewny krok i jej oczywistą obojętność na ich zainteresowanie.

Odprowadzono ją wzrokiem do samego stolika. Jeszcze nim do niego dotarła, Broach doszedł do wniosku, że te spojrzenia i spekulacje są więcej warte od wszystkich prowizji, jakie mógłby otrzymać od zarobków kapryśnego aktora, który i tak nie pracował już od ośmiu miesięcy.

Georgia Blue nie usprawiedliwiła swojego spóźnienia. Gdy usiadła, Broach zapytał, czego się napije. Poprosiła o lampkę czerwonego wina. Kiedy

podano napoje, spojrzała w kartę i za mówiła *Cossoulet Special*, który, jak Broach przypuszczał, miał

co najmniej trzy tysiące kalorii. On zdecydował się na zupę i sałatkę.

Po odejściu kelnera Georgia skosztowała wina, uśmiechnęła się do Broacha i powiedziała:

- Czyżby zadzwonił do pana ten miły pan Davidson z Security Pacific?

Broach skinął głową.

- Miałam nadzieję, że to zrobi.

Podejrzewając, że powinien zapytać dlaczego, Broach posta nowił nie pytać i przekonać się, czy milczenie spowoduje dalszą wypowiedź. Tak się nie stało. Georgia Blue napiła się wina, rozejrzała po sali i powiedziała:

- Niektórzy wydają się znajomi. A powinni?

- Kilku z nich.

- Nie oglądałam filmów od pięciu lat. Dużo straciłam?

- To zależy, co pani lubi.

- Ironiczne z wieloma dialogami.

- Zatem nie straciła pani niczego.

- Co panu najbardziej podoba się w interesach, panie Broach?

- Pieniądze. Rozgrywki. A od czasu do czasu ludzie i wynik.

- Zakładam, że w dalszym ciągu jest pan najlepszym przyjacielem Iony Gamble?

- Mam nadzieję, że tak.

- Zatem powinien pan wiedzieć, że będę jej pośrednikiem.

- Między czym czy kim?

- Pomędzy nią a kimkolwiek, kto zechce ją szantażować. Broach odchylił się w krześle i uważnie przyjrzał Georgii Blue.

- Gdyby doszło do jakiejś próby szantażu, jestem pewien, że najpierw porozmawiałaby ze mną.

- Ona jeszcze o niczym nie wie.

- Jeśli pani myśli - czy podejrzewa - kto będzie ją szantażował?

- Hughes i Paulina Goodisonowie.

- A co dokładnie będzie pani robiła jako pośrednik Iony?

- Odkupię materiał, który może zrujnować jej reputację i zniszczyć karierę.

- W takim razie ma pani moje błogosławieństwo.

- To dobrze. Teraz możemy porozmawiać o pieniądzach.

- O pieniądzach na zapłacenie szantażyście?

- Tak. O tych pieniądzach.

- Jeżeli to Goodisonowie są szantażystami, rozmawia pani z niewłaściwym facetem. Powinna pani porozmawiać z Enno Glimmern.

- Ponieważ zagwarantował wynagrodzenie wszystkich szkód czy strat, na jakie Goodisonowie narażą Ionę?

- Tak mówi kontrakt.

- Ale my na razie tylko podejrzewamy, że Goodisonowie są szantażystami - powiedziała Georgia Blue. - A jeśli tak nie jest? Jeśli są całkowicie niewinni?

- No to dlaczego zniknęli? Wzruszyła ramionami.

- Może coś albo ktoś zmusił ich do tego. Dopóki nie udowodni się, że Goodisonowie są szantażystami, nie sądzę, by pan Glimm coś zapłacił.

- Co oznacza, że Iona Gamble sama będzie musiała wyłożyć pieniądze.

Georgia Blue pokiwała głową.

Jack Broach po raz pierwszy podniósł drinka do ust, potem odstawił go na bok, jakby już nie miał zamiaru pić.

- O jakich pieniądzach pani mówi?

Patrząc mu w lewe oko, Georgia Blue powiedziała:

- Przypuszczam, że w grę wejdzie milion.

- To dlatego złożyła pani wizytę w moim banku, prawda? Przed udzieleniem odpowiedzi Georgia spojrzała wnikliwie w jego prawe oko.

- Musieliśmy wiedzieć, czy jest tam wystarczająca kwota na opłacenie szantażysty.

- I jest?

- Pan Davidson był bardzo dyskretny.

- A pani myśli, że wystarczy?

- Nie.

- Dlaczego nie?

Georgia skończyła badanie oka, wypła resztę wina, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Daumiery. W pańskim biurze. Mam na myśli fałszywe Daumiery. W chwili, gdy je zauważyłam, zastanowiłam się, dlaczego ktoś taki jak Jack Broach miałby wieszać podrobione Daumiery na ścianie. Odpowiedź: musiał sprzedać oryginały, ponieważ w Hollywood nastały ciężkie czasy. - Oparła łokcie na stole, przysunęła się konfidencjonalnie, znów uśmiechnęła i stwierdziła: - Jesteś zrujnowany, prawda, Jack?

- Słucham?

Wyprostowała się, wzruszyła ramionami i popatrzyła nad je go lewym ramieniem na coś, co mogło się znajdować w połowie sali.

- Mogłabym jeszcze wokół tego powęszyć. Ale by zaoszczędzić czasu, mogę przekonać Howarda Motta, aby powiedział Itonie Gamble, że potrzebuje finansowej deklaracji jej aktywów, długów i gotówki.

Zapadła długa cisza, którą przerwał Jack Broach.

- Po co to ostrzeżenie?

Popatrzyła na niego całkowicie obojętnie.

- We własnym interesie.

- Dalej.

- Przeanalizujmy najgorszy scenariusz. Przypuśćmy, że szan. tażysta - jeden lub kilku - zażąda miliona, Iona Gamble zgodzi się zapłacić i zwróci się do ciebie po pieniądze - czy dokładniej, po pieniądze, które ci powierzyła. Co wtedy?

- To twój scenariusz?

- Mówisz jej, że trzeba sprzedać lub zastawić wszystko, by wyciągnąć milion. Ona powie, że to świetnie, i że masz to zrobić. Jack, czy mógłbyś podjąć milion w gotówce?

Broach milczał.

- A czy mógłbyś podjąć, powiedzmy, trzysta tysięcy? Według mnie, tak. Podejmujesz trzysta tysięcy i mówisz pani Gamble, że masz gotowy milion dla mediatora. Potem dajesz mi te trzysta tysięcy, a ja w zamian doręczam tobie albo jej ten obciążający materiał wraz z gwarancją, że szantażysta czy szantażyści już więcej nie będą jej niepokoić.

- A jeśli zażądamy mniej - powiedzmy pół miliona?

- Cena nadal wynosi trzysta tysięcy. Nie będę się targować.

- Jak dobre są twoje gwarancje? Nie jestem adwokatem od spraw kryminalnych, ale najlepsi z nich mówili mi, że szantażyści nigdy nie przestają.
- Przestają, kiedy są martwi - powiedziała Georgia Blue.

27

Dwupokojowy apartament Howarda Motta za trzysta pięćdziesiąt dolarów na dzień mieścił się na czwartej kondygnacji dziewięciopiętrowego hotelu przy Ocean Avenue w Santa Monica. Z salonu, teraz zamienionego w biuro, rozciągał się widok na ocean i długi wąski pas zielonej trawy z wysokimi palmami, który zwano parkiem Palisades.

Pod palmami często rozbijały swoje obozowiska wszelkiego autoramentu wyrzutki, których określano obecnie eufemistycznym mianem „bezdumni”. Po części w ich skład wchodziłi degeneraci, bezrobotni, świry, wysiedleńcy, narkomani, starcy - oraz szeroki wybór żebraków - od wędrownych domokrażców, sprzedających patelnie, po początkujących włóczęgów.

Santa Monica, miasto znane z miękkiego serca, na początku współczuło bezdomnym i tolerowało ich, nawet dostarczało im schronienia i gorących posiłków. Ale było zmęczone tym ciężarem i teraz miało nadzieję - może nawet modliło się o to - że cała ta zbieranina nędzarzy wyemigruje gdzieś indziej, najlepiej do jakiegoś odległego miejsca takiego jak Wyoming czy Alaska albo nawet Palm Springs.

Gdy Wu i Durant skręcili na rogu Broadwayu i Ocean Avenue, kierując się do hotelu Motta, natknęli się na bandę żebrzących. Po tym, jak skończyły się im pieniądze, Wu skoczył do banku i wrócił z pięćdziesięcioma dolarami w jednodolarowych banknotach. Podzielił je z grubsza na połowę i dał część Durantowi.

Kiedy doszli do stojącego sześć przecznic dalej hotelu, Wu zostały tylko trzy dolary, a Durantowi żaden.

Howard Mott przeprowadził Wu i Duranta obok dwóch sek retarek pracujących przy komputerach do sypialni. Tam, na skraju jedyne go pozostałego łóżka, siedział Booth Stallings.

- Chcecie kawy? - zapytał, podnosząc filiżankę.
- Zanim Wu czy Durant zdolali odpowiedzieć, Mott wtrącił:
 - Chyba woleliby piwo, prawda?
 - Jeśli nie sprawi to kłopotu - odparł Durant.
 - Zajmie mi to najwyżej parę minut - powiedział Mott. - Może trzy. - Wyszedł z sypialni, starannie zamykając drzwi.
 - Myślę, że Howie nie chce usłyszeć tego, czego być może nie powinien - powiedział Stallings.
 - Czego, Booth? - zapytał Wu.
 - Wynajęłam wam nowy wóz - czterodrzwiowego Mercedesa 560. Ma nawet telefon. Poza tym przekazałam Rosie Alidi Chavez potwierdzony czek na dwa tysiące dolarów - wraz z wyrazami współczucia od Stowarzyszenia Niezależnych Właścicieli Limuzyn. Była bardzo wdzięczna i powiedziała mi, że nigdy nie zapomni tych dwóch facetów, którzy zabili jej przyszłego. A zwłaszcza tego wielkiego grubasa, którego nazwała *El Chino Grande*.
 - A jak opisała mnie? - zapytał Durant.
 - Wysoki, ciemny i dość paskudny.

- Co powiedziała o Goodisonach?
- Świętej pamięci narzeczony powiedział jej tylko tyle, że Goodisonowie to świry, i że zabrał ich z zajazdu w kanionie Topanga, i zawiózł do motelu w Oxnard. Nie wiedziała, do jakiego, bo jej nie mówił. Znalazłem Oxnard na mapie - to jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Malibu w górę wybrzeża. Zadzwoiłem do informacji turystycznej i poinformowano mnie, że jest tam parę tuzinów moteli.
- Co z Otherguyem? - zapytał Durant.
- Ostatnio słyszałem, że rozpowszechnia wieści o rodzącym się nowym rynku dla filmów wideo o ludziach, którzy robią rzeczy, jakich nie powinni. Powiedział, że zaczął w salonie pokerowym w Gardenie, i że już się wycofuje.
- Oxnard - rzekł Wu do Stallingsa. - Dlaczego nie mielibyśmy jechać tam dziś po południu i sprawdzić niektórych moteli?
- Stallings skinął i miał zamiar coś dodać, gdy drzwi stanęły otworem i do pokoju wszedł Howard Mott z trzema otwartymi butelkami meksykańskiego piwa. Zatrzymał jedną dla siebie, po zostało podał Wu i Durantowi, po czym zapytał:
- Kto chce zacząć?
- Dlaczego nie ty? - powiedział Durant, gdy wszyscy zajęli miejsca - Mott za biurkiem stojącym na miejscu łóżek, a Wu na łóżku obok Stallingsa. Durant przysiadł na parapecie.
- Mott przechylił butelkę i napił się łączywie, jakby go suszyło, po czym oznajmił:
- Mamy problem. Żądni sensacji reporterzy otoczyli dom lony, a ona musi iść do dentysty.
- Brzmi to jak propozycja dla Jacka Broacha, superagenta - skomentował Durant.
- On ma długi lunch z twoją panną Blue - przynajmniej tak mówi jego sekretarka.
- Domyślam się, że lonie nie chodzi o regularną półroczną wizytę?
- Rozboleła ją żąb mądrości i musi coś z nim zrobić, zanim utworzy się ropień - wyjaśnił Mott. - Pojechałaby sama, ale podadzą jej pentothal sodu jako narkozę. Chirurg dentystyczny nalega, żeby ktoś odwiózł ją do domu po zabiegu, a lona upiera się, by towarzyszył jej ktoś godny zaufania - by kontrolować jej paplaninę pod wpływem tego, co nazywa „serum prawdy”.
- Na którą jest umówiona? - zapytał Durant.
- Na drugą.
- Zawiozę ją, jeśli jej wóz nie został zajęty przez gliny.
- Nie został - powiedział Mott.
- Coś jeszcze, Howie? - zapytał Durant.
- Dowiedzieli się, że broń, z której został zastrzelony Rice - ta *Beretta* - poprzednio należała do studia Paramount. Została skradziona z planu dziewięć lat temu. Na szczęście lona w owym roku nie robiła niczego dla Paramount.
- Co wtedy kręcono? - zapytał Stallings.
- Pilot serialu telewizyjnego, którego nie wykupiła żadna z sieci. Pod tytułem „Opiekunowie”. Mam kopie scenariusza i nazwiska obsady oraz personelu. Mam też kasetę wideo z tym odcinkiem. Powiedziano mi, że wszyscy związani z realizacją zostali przesłuchani przez wywiadowców z biura szeryfa.
- Mógłbym dostać kopie wszystkiego, co masz? - zapytał Stallings.

- Poproś Maryjo.
- Tę blondynkę?
- Brunetkę.

Wu wstał.

- Coś jeszcze? Mott skinął głową.
- Enno Glimm.
- Dzwonił? - zapytał Durant.
- Nie, Jenny Arliss. Ona i Glimm przylatują dziś w nocy. Ale nie musimy wychodzić na spotkanie, ponieważ wynajęła limuzynę, która zawiezie ich do „Malibu Beach Inn”. Jenny uważa, że ten zajazd będzie najbardziej wygodny dla wszystkich zainteresowanych.
- Powiedziała, dlaczego przyjeżdżają? - zainteresował się Durant. Mott skinął głową.
- Powiedziała, że Glimm chce wiedzieć, jak wam idzie wydawanie jego pieniędzy.

Paparazzi zgromadzili się przy północno-zachodnim rogu Siódmej i Adelaide Drive w Santa Monica. Przybyli trzema furgonetkami i pięcioma samochodami osobowymi, i zajęli stanowiska niecałą przecznicę od domu Iony Gamble. Durant, z Iona na fotelu pasażera, wyjechał z podjazdu jej prawie nowym Mercedese 500SL i ruszył w stronę czekających fotoreporterów. Odruchowo policzył ludzi będących według niego w opozycji - o ile nie po stronie wroga - i doliczył się siedemnastu, w czym pięć kobiet. Sześcioro było uzbrojonych w kamery wideo, a reszta w co najmniej jeden trzydziestopięciomilimetrowy aparat fotograficzny. Durant doszedł do wniosku, że wszyscy są jednakowo młodzi, jednakowo niechlujni i podobni do siebie jak mewy.

- Co mam zrobić, schylić się? - zapytała Iona Gamble.
- Zignoruj ich.

Zatrzymał Mercedesa na środku ulicy, wrzucił luz i, wciskając pedał gazu, zwiększył obroty do pięciu tysięcy na minutę. Paparazzi, niewzruszeni, sformowali falisty szereg w poprzek jezdni dziesięć metrów przed Mercedese. Durant wrzucił bieg, jeszcze bardziej zwiększył obroty silnika i zwolnił hamulec.

Mercedes skoczył do przodu, grube tylne opony zabuksowały na asfalcie. Przyśpieszenie wcisnęło Iona i Duranta w fotele. Durant czytał gdzieś, że 500SL może przyśpieszyć od zera do setki w mniej niż siedem sekund. Twierdzenie było jak najbardziej uzasadnione.

Rząd paparazzi zachwiał się, po czym załamał - głównie w prawo, na stronę pasażera. Mieli mniej niż sekundę, by wycelować i strzelić parę zdjęć, gdy kabriolet przemykał obok niczym meteor. Zanim fotoreporterzy upchali się w swoich furgonetkach, Mercedes zniknął za rogiem i pędził na południe Siódmą Ulicą.

Jechali do kliniki mieszczącej się na południowo-zachodnim rogu Wilshire Boulevard i San Vincente. Ale Durant, zamiast obrać najkrótszą trasę i jechać na wschód przez San Vincente, kluczył bocznymi ulicami, skręcając na północ bądź południe prawie na każdym skrzyżowaniu, ale generalnie dążąc na wschód.

- Iona Gamble w końcu nie wytrzymała.
- Wydaje się, że znasz tę okolicę.

- Wu i jego żona mieszkali w Santa Monica.
- A ty?
- W Malibu - Paradise Cove.
- Miejsce rozładunkowe przemysłowców. W czasach prohibicji.
- Spóźniłem się o jakieś pięćdziesiąt lat.
- Zatem mieszkales tam w latach siedemdziesiątych?
- Pod koniec, przez pewien czas.
- A jak długo mieszkasz w Londynie?
- Prawie pięć lat.
- Podoba ci się tam?
- Jeszcze nie zdecydowałem.
- Słuchaj - powiedziała - niezależnie od tego, jak będą psioczyć, chcę, żebyś był ze mną przez cały czas.
- Nic nie powiesz.
- Skąd wiesz?
- Bo dentysta będzie miał obie ręce w twoich ustach.

Doktor Melvin Unger nie chciał żadnej widowni, Iona zagroziła, że jeśli pan Durant nie będzie obecny, jej żąb mądrości pozostanie na swoim miejscu. Doktor Unger, błydy, bardzo szczupły mężczyzna o łagodnych brązowych oczach, które były albo wyjątkowo smutne, albo wyjątkowo miłe, pozostawał nieubłagany przez prawie dziesięć sekund, nim w końcu ustąpił i zgodził się na obecność Duranta.

Doktor Unger kazał asystentce wstrzyknąć Ionie pentothal sodu. W chwili, gdy igła weszła w żyłę na lewym ramieniu, po prozono ją, by liczyła od dziesięciu do zera. Zdołała doliczyć do sześciu.

Ekstrakcja zęba mądrości trwała niecałe dziesięć minut. Durant obliczył, że doktor Unger, o ile pracuje na najwyższych obrotach, może wyciągać siedem tysięcy dwieście na godzinę, Iona Gamble nadal była nieprzytomna, gdy Durant pomógł asystentce na wpół poprowadzić, na wpół zanieść ją do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie położyli ją na wąskiej kanapie.

Asystentka podała Durantowi pudełko z higienicznymi chusteczkami.

- Nie powinna krwawić, ale gdyby tak było, proszę dać jej kilka chusteczek.

- Co z bólem?
- Nie będzie bolało. Najwyżej trochę nieprzyjemne uczucie.
- Kiedy może jeść?
- Za godzinę czy dwie. Ale polecałabym zupę, ciepłą. Wie czorem może jeść wszystko, co chce - w granicach rozsądku.

Po wyjściu asystentki Durant usiadł obok Iony Gamble, pa trzymał na nią przez kilka sekund, po czym powiedział:

- Iona?
- Tak - odpowiedziała, nie otwierając oczu.
- Pożyczałaś komuś swój samochód w Sylwestra?
- Nie.
- Czy byłaś wtedy dwa razy w domu Rice'a - raz późnym popołudniem lub wieczorem, a drugi raz nad ranem następnego dnia?
- Nie.
- Zastrzeliłaś Billy'ego Rice'a?

- Nie.
- Wiesz, kto to zrobił?
- Nie - odpowiedziała w chwili, gdy asystentka wpadła do pokoju i zapytała:
- Odzyskała przytomność?
- Zdaje się, że właśnie się budzi.
- Zobaczmy. - Asystentka pochyliła się nad Iona i głosem, którego mogłaby używać w czasie rozmowy z prawie głuchą osobą, zapytała: - Panno Gamble, słyszy mnie pani?
- Iona otworzyła oczy.
- Już po wszystkim? Asystentka uśmiechnęła się.
- Tak, wszystko w porządku.
- Boże, ten pentothal to cudowny środek. Twarz asystentki pojaśniała.
- Prawda?
- Iona odwróciła głowę i zobaczyła opierającego się o ścianę Duranta.
- Powiedziałam coś?
- Nic, co mógłbym zrozumieć.

28

Po wyjściu z kliniki Durant posłuchał rady Iony Gamble i pojechał San Vincente Boulevard prosto na Ocean Avenue w Santa Monica. Po dwóch ostrych zakrętach w prawo wjechał na krótki, stromy skłon, którym biegła rzadko używana droga do Adelaide Drive.

Mieszkańcy stojących po prawej stronie ogromnych domów przekształcili ten fragment drogi w jednokierunkową jezdnię. Po lewej stronie teren opadał stromo, prawie pionowo w dół, zapewniając doskonały widok na kanion, góry i ocean.

Przy końcu jednokierunkowej drogi stała pomalowana na biało stalowa bariera, która blokowała ruch dwukierunkowy i sprawiała, że stojące za nią domy tworzyły zamkniętą enklawę. Gdy Mercedes precyzyjnie się obok bariery, Durant zwrócił uwagę na grupę sześciu czy siedmiu wysportowanych osób w wieku dwudziestu paru lat. Niektórzy wykonywali ćwiczenia rozluźniające. Inni pili wodę Evian z litrowych plastikowych butelek. Prawie wszyscy byli ubrani w szorty, koszulki bez rękawów i sportowe buty i, choć o wpół do trzeciej temperatura spadła poniżej siedemnastu stopni, byli złani potem.

- Cały czas latają po tych schodach? - zapytał.

- We dnie i w nocy - odrzekła Iona. - Sto osiemdziesiąt dziewięć stopni od dna kanionu i sto osiemdziesiąt dziewięć w dół. Tyle co w trzynastopiętrowym budynku. Niektórzy robią trzy czy cztery rundki na dzień, i to po dwa stopnie na raz.

Ponieważ Durant nie był w stanie wymyślić niczego poza: „Ach, młodość!”, nie powiedział niczego. Jego milczenie sprawkowało Ionę do wygłoszenia komentarza.

- Chyba czuję to samo, choć ty masz nade mną dziesięć lat przewagi - powiedziała z uśmiechem.

- Ponad piętnaście.

Milczeli przez długi czas, a gdy skręcili na jej podjazd i zatrzymali się, Iona zapytała:

- Czy pentothal działa jak opium?
- Czemu pytasz?
- Jeżeli tak, zatem wreszcie wiem, dlaczego Brytyjczycy toczyli z Chinami wojny opiumowe.
- Żeby zyskać kontrolę nad rynkiem środków doprowadza jących do euforii, racja?
- Jasne, ale to, co czułam u dentysty, było dziesięć razy lepsze od euforii. To, co czułam, było... doskonałe.
- Będę o tym pamiętał, gdy następnym razem spróbują dać mi nowokainę.
- Durant wyłączył silnik i podał jej kluczyki. Przytrzymując na wpół otwarte drzwi, odwrócił się i zapytał: -Żadnych przykrych sensacji? Zero bólu? Nawet nieprzyjemnego uczucia?
- Pokręciła głową.
- Od czasu do czasu lekkie klucie - takie, że człowiek zastanawia się, czy warto zażyć aspirynę. - Otworzyła drzwi po swojej stronie i dodała: - Może wstąpisz na drinka i trochę fasoli?
- Durant odparł, że to interesująca propozycja.

Siedział przy kuchennym stole ze szkocką z lodem i obserwował, jak Iona otwiera olbrzymią puszkę brazylijskiej fasoli. Wrzuciła zawartość do rondelka i postawiła go na piecyku. Znalazła kilka ząbków czosnku, potem zlokalizowała wielką cebulę, przecięła ją na pół i obrała. Nie zwracała sobie głowy obieraniem czosnku.

Po stopieniu masła na małej patelni wrzuciła czosnek i cebulę do maszynki, która pocięte je na kawałki. Wsypała posiekane jarzyny do skwierczącego masła, a gdy czosnek i cebula przybrały złocistobrazowy kolor, wygarnęła łyżką zawartość patelni do gotującej się na wolnym ogniu fasoli, przemieszała, dodała szczyptę soli i odrobinę wody, mnóstwo pieprzu i nieco sosu Tabasco. Pra wie zapomniała o liściu laurowym, ale wrzuciła go w ostatniej chwili, zaznaczając, że dodaje bardziej stylu niż smaku.

Wyjęła dwie miseczki do zupy, dwie serwetki, dwie łyżki i bo chenek ciemnego żytniego chleba pociętego w piekarni. Zapytała Duranta, czy napije się czegoś oprócz szkockiej. Odpowiedział, że nie.

Po podaniu fasoli usiadła, podniosła łyżkę i powiedziała:

- Ten przepis dostałam dawno temu od bardzo młodego jednokadencyjnego kongresmena z LA, który, jak ostatnio słyszałam, przebywa na czasowej emigracji pod Lizboną.

- Chubb Dunjee - powiedział Durant i posmakował danie, Iona zatrzymała łyżkę kilka centymetrów od ust. Jej oczy rozszerzyły się.

- Znasz go?

- Artie i ja spotkaliśmy go kiedyś w Meksyku. Chubb znał kilka... układów.

- Co robiliście w...?

Jej pytanie przerwał dzwonek wiszącego na ścianie telefonu, Iona wstała, podeszła do aparatu, przyłożyła słuchawkę do lewego ucha i powiedziała: - Słucham - głosem, który według Duranta musiał być doskonałą imitacją głosu salwadorskiej gospodyni.

Słuchała przez prawie piętnaście sekund, po czym powiedziała:

- *Uno momento, por favor.* - Jej akcent znów był doskonały.

Prawą ręką wskazała telefon, a potem korytarz wiodący do salonu. Durant

skinął, wstał i pośpieszył do wskazanego pokoju, gdzie prawą ręką podniósł słuchawkę drugiego telefonu i spojrział na zegarek. Była 15.13. W chwili, gdy słuchawka dotknęła jego ucha, usłyszał naturalny głos Iony Gamble.

- Słucham.

- Poznajesz ten głos, kochanie? - zabrzmiał tenor z brytyjskim akcentem.

- Hughes, ty gnojku. Do diabła, co się stało?

- Paulina i ja wycofaliśmy się, żeby zastanowić się, jaki ma my wybór - powiedział Hughes Goodison.

- Dlaczego do mnie dzwonisz?

- Ponieważ zdecydowaliśmy, że ty jesteś najlepszym wyborem, chociaż mamy kilka innych.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, kochanie. Ale zrozumiesz, kiedy odtworzę kasetę, na której będąc w głębokim transie rozmawiasz ze mną i Paulina. To tylko bardzo mały kawałek, dużo, dużo dłuższej kasety, ale niemniej pozostaje adekwatną próbką.

Następnie zabrzmiał głos Iony Gamble przefiltrowany przez magnetofon i telefon. Był głębszy niż normalnie i prawie bezdźwięczny.

- Chciałam go zabić.

Potem zabrzmiał głos Goodisona, również odtwarzany z magnetofonu:

- Billy'ego Rice'a?

- Tak.

- Zrobiłaś to?

Po długiej chwili ciszy padła beznamiętna odpowiedź:

- Tak.

- To jest to, Iono - powiedział Goodison, już na żywo. - Chcemy, żebyś wiedziała, że jesteśmy skłonni sprzedać całe czterdzieści dziewięć i pół minuty nagrania, którego właśnie wysłuchałaś.

- To znaczy, że chcecie sprzedać mi jedną z Bóg wie ilu kopii.

- Na Boga, nie. Paulie i ja nie lubimy ryzyka. Ten, kto zgodzi się zapłacić, dostanie oryginał. Nie mamy żadnych kopii.

- Gówno prawda. Goodison zachichotał.

- Wierz w co chcesz. Ale jeszcze raz powtarzam. Jest tylko jedna kopia. Tylko jedna.

- Ile chcesz?

- Milion dolarów, oczywiście. Gotówką.

- Co się stanie, jeśli nie będę mogła czy chciała zapłacić?

- Sprzedamy ją temu, kto da więcej. Nie dalej jak dzisiaj słyszeliśmy o tajemniczym panu X, który jest w mieście i szuka kaset ze spowiedzią ludzi, którzy, no wiesz, zrobili coś brzydkiego, a właśnie to mamy na sprzedaż.

- Mówiłeś, że jest tylko jedna kasetka.

- Jedna audio i jedna wideo. Te kamery to cudowna sprawa. Ale ty dostaniesz obie kasety za niską, bardzo niską cenę.

- Mogę dać dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie bądź nieznośna, Iono.

- Pięćset tysięcy.

- Przykro mi.

- Okay - powiedziała z długim westchnieniem. - Milion, ale potrzebuję czasu na zebranie takiej ilości gotówki.

- Masz cztery dni, nie więcej.

- A jeśli nie będę mogła zebrać tych pieniędzy w cztery dni?
- Przypadkowo wiem, że możesz - powiedział Goodison. -W przeciwnym wypadku skontaktuję się z panem X i ludzie na całym świecie będą mogli, siedząc w wygodnych fotelach, zobaczyć jak Iona Gamble, gwiazda filmowa, przyznaje się do zamordowania biednego Biliyego Rice'a.
- Gdzie mam zadzwonić, jeśli uda mi się zebrać forszę?
- Znowu zaczynasz być nieznośna, Iono.
- Okay. Ty zadzwonisz do mnie. Ale wyjaśnijmy sobie coś, Hughes. Ty jesteś skurwielem, a twoja siostra to patentowana wariatka i nie chcę was więcej widzieć. Więc jeśli zbiorę pieniądze, dam je komuś innemu. Komuś, kto będzie się domagał sprawdzenia towaru przed wymianą.
- Kim on będzie? - zapytał ostro Goodison. Jego głos prawie zaskrzeczał, gdy wymawiał „on”.
- A kto mówił, że to będzie on? - powiedziała Iona Gamble i odwiesiła słuchawkę.

Kiedy Durant wrócił do kuchni, Iona siedziała już przy stole. Miała schyloną głowę, dłonie splecione na blacie. Talerz odsunęła od siebie.

- Byłaś świetna - powiedział Durant, gdy usiadł, podniósł łyżkę i zabrał się za zupę. - Prawdę mówiąc, byłaś doskonała. Podniosła głowę.

- Naprawdę?
- Absolutnie doskonała.

Iona rozejrzała się z ciekawością po kuchni, jak gdyby widziała ją po raz ostatni.

- Muszę go sprzedać.
- Co?
- Dom.
- Dlaczego?
- Słyszałeś. Jeśli nie zapłacę, sprzedam kasety panu X, Y czy Z - komukolwiek A ja nie zdobędę miliona gotówką, jeżeli nie sprzedam domu.

Durant zjadł dwie łyżki fasoli, z aprobatą pokiwał głową i powiedział:

- Goodisonowie nie sprzedadzą tego nikomu, a ty nie zapła cisz im ani centa.

Iona Gamble sceptycznie popatrzyła na Duranta, po czym przysunęła talerz i zaczęła łapczywie jeść. Chwilę później podniosła głowę, zmarszczyła brwi, uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

- I dlaczego, kurwa mać, ci wierzę?

29

Artie Wu pamiętał Oxnard sprzed blisko trzynastu lat jako małe rolnicze miasteczko w meksykańskim stylu i z burmistrzem Ja pończykiem. Ale po odwiedzinach w czterech z dwudziestu czterech miejskich moteli przeczytał prospekt i odkrył, że Oxnard zmieniło się w centrum biznesu szczytujące się przemysłem wy poczynkowym, nowym muzeum samochodów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz prawie nowym dworcem kolejowym, o którym Booth Stallings mówił, że to jedyny dworzec kolejowy zbudowany w Stanach Zjednoczonych od 1940 roku.

Było około czwartej po południu, gdy dotarli do dziewiątego motelu. Wu

ubrany był w błękitny blezer, spodnie w kolorze khaki i rozpiętą do połowy białą koszulę na gołym ciele. Na nogach miał czarne buty i białe skarpetki. Stallings podsunął, że do rozpiętej koszuli pasowałby tandetny złoty łańcuszek, ale Wu stwierdził, że to rozmiękczyłoby jego wizerunek. Stallings ubrany był w szary garnitur, białą koszulę i ciemnoszary krawat w kasztanowe cętki.

Gdy wysiedli z wynajętego Mercedesa przed dziewiątym mo telem, Stallings powiedział:

- Cholera, kończą mi się wizytówki.

- Może tym razem będziemy mieli szczęście - rzekł Wu i ruszył do recepcji.

Motel o napuszonej nazwie „The La Paz Inn” należał do nie zależnego właściciela, był całkiem nowy i oferował małą kawiarnię, równie niewielki basen i, jak domyślał się Wu, jakieś trzy tuziny segmentów mieszkalnych. Za recepcyjną ladą stał przysadzisty mężczyzna po pięćdziesiątce z jedwabistymi szarymi włosami, dwuogniskowymi okularami i nieufnie ściągniętymi ustami - wielu właścicieli moteli zdaje się nabywać tego grymasu po roku czy dwóch w biznesie. Mężczyzna patrzył przez chwilę na Wu, zdyskwalifikował go jako potencjalnego klienta i odwrócił się do Stallingsa, który teraz opierał się o ladę.

- Mogę pomóc? - zapytał z nosowym akcentem, co miało ośmielić Stallingsa do sprzedania mu czegoś.

- Mam nadzieję - odparł Stallings i podał jedną z ostatnich wizytówek oznajmiających, że jest Jerome'em K. Waltersem, wiceprezesem Niezależnego Stowarzyszenia Właścicieli Limuzyn.

Mężczyzna przeczytał wizytówkę, oddał ją i powiedział:

- Stąd niewielu dzwoni po limuzyny. Durant wyprostował się, rozejrzał po recepcji i ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Chyba nie, ale nie dlatego przyszliśmy. - Znów się rozejrzał, po czym pochylił się w stronę szpakowatego mężczyzny i cichym konspiracyjnym szeptem powiedział: - Prowadzimy do-cho-dze-nie.

Stallings wypowiadał każdą sylabę z uczuciem, jak gdyby podobało mu się brzmienie tego słowa.

Mężczyzna ściągnął brwi.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie jednego z naszych członków, właściciela kiego rowcy, wspaniałego młodego Meksykanina, który przywiózł tutaj pewną parę z LA. Na chwilę przed tym, nim ci ludzie zameldowali się w motelu - nie pańskim - dali naszemu członkowi dwadzieścia dolarów, by kupić im butelkę whisky.

- I co?

- I nasz świetny młodzieniec, zadowolony, że może wyświadczyć im przysługę, skierował się do najbliższego sklepu z alkoholem. Ale kiedy wrócił z whisky, para uciekła, oczywiście nie płacąc. I w ten sposób nasz wspaniały młodzieniec został z rachunkiem opiewającym na dwieście trzydzieści pięć dolarów za wożenie ich po całym LA i przywiezienie tutaj.

- To żałosna historia - skomentował mężczyzna.

- Rzecz w tym, panie...?

- Deason.

- Rzecz w tym, panie Deason, że moja organizacja jest zobowiązana do zapobiegania takim wypadkom. Chcemy rozliczyć się z tą parą złodziei - no bo są złodziejami - w pełnym majestacie prawa. Ale gliny nie przejmują się jakimś tam meksykańskim kierowcą, który został nacięty na dwieście dolarów. Dlatego

więc SNWL oferuje pięćset dolarów gotówką nagrody w zamian za każdą informację prowadzącą nie do aresztowania i skazania tej złodziejskiej pary, ale jedynie do jej zlokalizowania.

- Przedstawili się? - zapytał Deason.

- Tak, proszę pana, zrobili to. Ich prawdziwe nazwisko brzmi Hughes i Paulina Goodisonowie.

Deason popatrzył w dół na ladę, potem na Stallingsa, z żalem pokręcił głową i powiedział:

- Nie rejestrowałem ich.

- W wieku około trzydziestu lat - nie ustępował Stallings. - Blondyni, wyglądający raczej na rodzeństwo, ale podający się za męża i żonę. Mówiący z wyraźnym angielskim akcentem.

Coś zmieniło się w twarzy Deasona. Zmrużył oczy, a jego usta ułożyły się w przebiegły uśmiech.

- Brytyjski akcent, mówi pan?

- Angielski. Brytyjski.

- Oboje podobnego wzrostu, chudzi, jasne włosy?

- Dokładnie.

- Co pan z nimi zrobi?

- Ja i mój współpracownik, pan Chang, złożymy im wizytę. Poprosimy o pełny zwrot nie uiszczonych należności. Potem zadamy im, by uregulowali rachunek w motelu. Następnie wsadzimy ich do tego czarnego Mercedesa i zafundujemy im przejażdżkę na posterunek - Stallings przerwał. - Innymi słowy, panie Deason, dokonamy obywatelskiego aresztowania.

- A co z pięcioma setkami nagrody?

- Zostanie wypłacona od ręki. Gotówką. Bez pokwitowania.

Nie otwierając ust Deason przeciągnął językiem po zębach. Artie Wu doszedł do wniosku, że było to częścią procesu podejmowania decyzji.

- Segment cztery-dwa-cztery - rzekł Deason. - Są tu od zeszłego piątku. Zameldowali się jako pan i pani Reginaldowie Carter z Manchesteru. Nie wiem, czym przyjechali, ale nie mają samochodu i to mi się nie spodobało. Mieli jedną wielką walizkę i dwie małe torby. Nic poza tym. Ale słuchajcie, nie chcę żadnych szkód. Zapłacili mi z góry za trzy dni i mnie wystarczy reszta tego, co mi są winni oraz nagroda, jaką pan obiecał. Kiedy odjedziecie, możecie z nimi robić, co wam się podoba.

- Chciałbym, żeby wszystkich cechowała taka troska o dobro bliźnich, panie Deason - powiedział Stallings i zwrócił się do Wu: - Niech pan wypłaci temu człowiekowi, panie Chang.

Wu nachmurzył się.

- Myślę, że powinniśmy najpierw zobaczyć, czy to naprawdę oni są w tym pokoju. Myślę, że on powinien dać nam klucz. Myślę, że powinniśmy ich zaskoczyć, i jeżeli to ci, to myślę, że powinniśmy dać mu pięć setek.

Stallings pokiwał głową.

- Pan Chang ma bogate doświadczenia w takich sprawach. Więc może powinien pan dać mu klucz, jak mówi.

Deason nie odpowiedział. Zamiast tego znów przeciągnął językiem po przednich zębach, odwrócił się, zdjął klucz z półeczki, położył go na ladzie, cofnął się szybko i powiedział:

- Nie chcę żadnej demolki, rozumiano? Wu podniósł klucz, przyjrzał mu

się podejrzliwie, znów się nachmurzył i rzekł:

- To znaczy, że nie chce pan mieć zdemolowanych mebli, prawda?
- Zwłaszcza telewizora - podkreślił Deason.
- Nie ma obawy - zapewnił Artie Wu. Ruchem głowy wskazał drzwi i powiedział do Stallingsa: - Chodź, skończmy z tym gównem.

30

Artie Wu później utrzymywał, że samochód był czarnym czterodrzwiowym Chevroletem Caprice. Booth Stallings twierdził, że choć potrafi zidentyfikować każdy amerykański samochód wyprodukowany pomiędzy rokiem 1932 a 1942, nie odróżnia jednego powojennego wozu od drugiego. Ale zgodził się z Wu, że było to czarne czterodrzwiowe auto, i że o 16.12 wiszące już nisko słońce rzucało błyszczące refleksy na przednią szybę, uniemożliwiając rozpoznanie kierowcy, który próbował ich rozjechać.

Samochód ruszył sprzed jednego z segmentów motelu zbudowanego w kształcie litery U, gdy Wu i Stallings szli w kierunku numeru 424. Nie zwracali na niego uwagi, dopóki nie przyśpieszył i nie skręcił w ich kierunku z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę według Wu, a osiemdziesięciu według Stallingsa.

Skręcili w lewo, ale czarny Caprice zrobił tak samo i wtedy Stallings pierwszy rzucił się między dwa zaparkowane samochody, potknął się i wylądował na rękach i kolanach. Później Wu dał wielkiego susa w lewo, wpadł na Stallingsa, upadł, po derwał się i wyskoczył pomiędzy samochodów, by ujrzeć w przelocie skręcającego i niknącego czarnego Caprice.

Wu wrócił do Stallingsa i pomógł mu wstać.

- Złamałeś coś?
- Posiniaczyłem ego. Masz numery?
- Nie.
- Myślisz, że to byli oni - Goodisonowie? Wu wzruszył ramionami.
- Sprawdźmy.

W drodze do podstawy litery U Stallings owinał sobie chusteczką startą o asfalt lewą rękę. Po zlokalizowaniu segmentu numer 424 nie byli zbytnio zdziwieni, gdy okazało się, że czarny wóz wystartował z miejsca przed drzwiami.

Wu, mimo że miał klucz w ręku, zaproponował:

- Najpierw zapukajmy.
- Dlaczego?
- Nigdy nie zapominaj o dobrym wychowaniu.

Stallings zapukał do cytrynowo-zielonych drzwi zdrową ręką. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, odsunął się do tyłu, by Wu otworzył drzwi kluczem. Wu wszedł pierwszy. Stallings podążył za nim, zamknął drzwi za sobą i wciągnął powietrze.

- Czujesz to? Wu tylko skinął głową.

- Spalony proch strzelniczy - powiedział Stallings. - To znaczy, że ktoś wyciągnął broń i do kogoś strzelił. A jeśli trafił i zabił, to następnym zapachem, jaki wyczuwamy, będzie smród ekstrementów. Od czasów wojny ilekroć poczuję proch, następną rzeczą, jakiej się spodziewam, jest zapach gówna. I coś mi mówi, że jeśli wejdę do łazienki, poczuję jedno i drugie.

- W takim razie zostań tutaj, a ja się rozejrzę.
- Śmierć, spalony proch strzelniczy i gówno nie denerwują cię, Artie?
- Nie tak bardzo jak twoje pieprzenie.
- Kłapię jadaczką, gdy jestem zdenerwowany. Nie spanikowany - po prostu zdenerwowany. Kiedy jestem przerażony, milczę.
- Zostań tutaj. - Wu otworzył drzwi łazienki, zajrzał do środka, odwrócił się i powiedział: - Lepiej popatrz.

Stallings najpierw zobaczył kobietę. Była wciśnięta w południowo-zachodni kąt kabiny z prysznicem; kolana miała podciągnięte do piersi. Ubrana była w białą bluzkę, czarne dżinsy i sandały na bosych stopach. Na środku czoła, tuż nad nosem, widniała mała, schludna dziurka. Oczy miała otwarte.

Mężczyzna kucał pod ścianą między umywalką a sedesem. Ręce miał złożone na kolanach, twarz zwróconą w stronę sufitu, jego lewą skroń szpeciła kolejna schludna dziurka. On również miał otwarte oczy. Tak samo jak usta.

- Podobni, prawda? - powiedział Stallings.

- Bardzo.

Stallings, który wstrzymywał oddech, sapnął dwukrotnie przez nos, a potem zaczął oddychać przez usta.

- Boże, nienawidzę tego zapachu.

- Nie zostaw gdzieś odcisków - ostrzegł Wu.

- Nie zamierzam - powiedział Stallings, a chwilę później za pytał: - Znaleźliśmy ich, i co dalej?

- Zobaczymy, co innego można znaleźć.

Dwie minuty później Stallings w koszu, pod czterema puszkami po dietetycznej Coli, znalazł zmięty kwit komputerowy. Wyjął puste puszki przez chusteczkę, sięgnął po kwit palcami, rozprostował go, przeczytał i podał Wu. Kwit został wystawiony przez agencję z Oxnard nazywającą się Twój Schowek Wu stwierdził, że Goodisonowie najwyraźniej wynajęli skrytkę za miesięczną opłatą 106,50 dolarów. Zapłacili gotówką. Numer ich schowka to 3472.

- Myślisz, że tam schowali kasety? - zapytał Stallings.

- Prawdopodobnie.

- Myślisz, że nadal tam są?

- Prawdopodobnie nie.

- Jak do tego doszedłeś?

- W taki sam sposób jak ty, Booth. Morderca zastrzelił jedno z nich, a później obiecał, że nie zabije drugiego, o ile powie mu, gdzie ukryli kasety. Dowiedział się i skończył robotę.

- W takim razie ostatnimi słowami były liczby.

- Niekoniecznie - powiedział Wu. - Może ostatnie słowa brzmiały: „Proszę, nie” albo „Proszę, nie zabijaj mnie” lub po prostu „Proszę”. - Odwrócił się w stronę drzwi i zarządził: - Idziemy.

- Co z Goodisonami?

- Wstąpimy do biura, damy Deasonowi jego pięćset dolarów i powiemy, że Goodisonowie - jak oni się nazwali?

- Pan i pani Reginaldowie Carter. Wu skinął głową.

- Że Carterowie wyszli przed naszym przyjściem. Powiemy mu również, żeby po ich powrocie zadzwonił do nas pod ten zmyślony numer z wizytówki.

- Morderca zabił również tego młodego kierowcę limuzyny, prawda? - rzekł Stallings. - Wyciągnął z niego, dokąd zawiózł Goodisonów, a potem poderżnął

mu gardło.

- Dlaczego jesteś taki pewien, że zabójca jest mężczyzną?

Jechali przez wschodnie Oxnard w kierunku agencji Twój Schowek, kierując się wskazówkami, jakie Stallings wycisnął z ponurego pracownika na stacji benzynowej, gdy jednocześnie nasunęła im się ta sama myśl.

- Kierowca tego czarnego wozu... - zaczął Stallings.

- Znał nas - dopowiedział Wu. - A przynajmniej jednego.

- Chyba że pomyślał, że jesteśmy glinami.

- Nie wyglądamy na gliny. Ty jesteś za stary, a ja, no cóż, zbyt egzotyczny - zwłaszcza z koszulą rozpiętą do pasa.

- Może tajniacy z obyczajówki? - powiedział Stallings.

- Okay. Jesteśmy glinami. Ty udajesz podstarzałego klienta, a ja tłustego chińskiego stręczyciela, który napuszcza cię na popołudnie zmysłowej rozkoszy z parą trzydziestoletnich ni-by-dziewic. Gdyby ten, kto siedział w tym czarnym Chevy, tak pomyślał, to przejechałby obok nas. Ale tak nie zrobił, więc co to oznacza?

- Że nie tylko nas zna, ale my jego również. Albo jeden z nas.

- Albo ją.

- Zawsze zapominam o kobietach - powiedział Stallings. - Chociaż rozmiar ran sugeruje, że pocisk mógł zostać wystrzelony z damskiego pistoletu.

- Prawdopodobnie był to rewolwer kalibru dwadzieścia dwa lub dwadzieścia pięć - będący również ulubionym narzędziem profesjonalnych morderców.

- Dlaczego nie mały pistolet?

- Nie było łusek, patrzyłem.

- Może on czy ona pozbierali je. Były tylko dwie. Wu skinął głową.

- Może.

Stallings zerknął przez okno po stronie pasażera, dostrzegł numer domu na sklepie i powiedział:

- To będzie dwie przecznice dalej po prawej stronie.

- Dobrze.

- Jak to rozegramy?

- Po prostu trzymaj się mnie - powiedział Wu.

Zanim wysiedli z Mercedesa, Wu pożyczył od Stallingsa muszkę i założył ją. Stallings, zgodnie z sugestią Wu, do połowy rozpiął koszulę, a ponadto rozporek - również na polecenie Wu.

Biuro agencji Twój Schowek mieściło się w małej przyczepie mieszkalnej. Same skrytki okazały się metalowymi kontenerami wielkości wagonów, pomalowanymi w krzykliwe odcienie czerwieni, błękitu, zieleni i żółci. Wu przypuszczał, że kontenery zajmują przynajmniej hektar powierzchni.

Wu złapał Stallingsa pod lewe ramię i wprowadził go po trzech stopniach do biura w przyczepie. Zza szarego metalowego biurka popatrzyła na nich młoda rudowłosa kobieta. Wu uśmiechnął się do niej uspokajająco, puścił rękę Stallingsa, obrzucił go baczny spojrzeniem i mruknął, na tyle donośnie, by kobieta usłyszała:

- Frank, zapomniałeś się zapiąć.

Stallings zachichotał, zerknął w dół, zasunął rozporek i, kiedy Wu odwrócił

się w kierunku kobiety z przepaszającym uśmiechem, rozsunął go z powrotem. Kobieta udała, że niczego nie zauważyła.

- Dzień dobry - rzekł z uśmiechem Wu.

- Czym mogę służyć? - zapytała poważnie kobieta.

- Jestem wielebny Dudley Chang z kościoła metodystów i chciałbym wynająć schowek dla jednego z członków mojej kongregacji, który zamierza wyjechać... hmm... na wypoczynek. To obecny tutaj pan Jeffers. Pan Frank Jeffers w czasie, gdy będzie... to znaczy, gdy go nie będzie, chciałby przechować u was swój dobytek

- Wodoszczelne - wtrącił Stallings. - Musi być wodoszczelne. I szczuroszczelne. Nie chciałbym po powrocie znaleźć w rzeczach szurzych gówien.

- Macie wolne miejsca? - zapytał Wu z lekko zakłopotanym uśmiechem.

- Zależy, ile wam potrzeba - powiedziała kobieta. - Wynajmujemy tylko całe kontenery. Każdy ma dwa czterdzieści na dwa czterdzieści na dwanaście, co daje nieco ponad siedem dziesiąt metrów sześciennych. Jeśli macie dużo rzeczy, są świetne.

- Mam cały dorobek sześćdziesięciu pięciu pieprzonych lat życia, panienko - burknął zrzędlawie Stallings.

- On może zapełnić cały kontener - powiedział Wu. - Ale jest mały problem.

- Jak mały?

- Pan Jeffers wierzy w liczby.

- Przepraszam, chyba nie kapuję.

- Liczby, panienko - zaczął Stallings - liczby rządzą naszym życiem, kierują naszym przeznaczeniem, decydują o naszej przyszłości. Używaj właściwych liczb, a wszystko zrobi się samo. Ja kierowałem się liczbami przez całe swoje życie i one nigdy mnie nie zawiodły.

Teraz uśmiech Wu wyrażał szczere przeprosiny.

- Jak rozumiemy, wasze kontenery są ponumerowane?

- Tak. Są. I co z tego?

- On chce mieć taki sam numer, jaki miała kombinacja do jego szafki w szkole średniej niższego stopnia.

- Trzy w prawo, czterdzieści siedem w lewo, dwa w prawo - wyrecytował Stallings. - Trzy w prawo, czterdzieści siedem w lewo, dwa...

- Frank, proszę - zmiłogował go Wu. Stallings pogrążył się w milczeniu, zwiesił głowę i wbił oczy w czubki butów.

- O ile to możliwe, pan Jeffers chciałby schowek o numerze trzydzieści, cztery - siedemdziesiąt dwa. Mam nadzieję, że będziecie mogli spełnić jego życzenie.

- Na jak długo chcecie wynająć schowek? - zapytała.

- Do dwutysięcznego dwudziestego szóstego - powiedział Stallings. - Wtedy skończę sto lat.

- Na sześć miesięcy - poprawił niewzruszenie Wu.

Kobieta odwróciła się do komputera, wystukała kilka cyfr, przyjrzała się im przelotnie, odwróciła się do Wu i z zimnym uśmiechem oznajmiła:

- Ma pan szczęście. Kontener trzy-cztery-siedem-dwa zwolnił się dziś po południu. Wu wyszczerzył zęby do Stallingsa.

- Słyszysz, Frank? Jest wolny. Stare dobre trzy w prawo, czterdzieści siedem w lewo, dwa w prawo. Stallings zerknął nań chytrze.

- Chcę najpierw zobaczyć. Chcę się upewnić, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

- Zapnij rozporek, Frank. - Wu odwrócił się do kobiety i zapytał szeptem: - Ile za sześć miesięcy?

Przyłożył palec do ust. Dziewczyna skinęła głową, wypisała liczbę na kartce i podniosła ją tak, by Wu mógł przeczytać. Cena wynosiła sto dolarów za miesiąc plus podatek.

Wu spojrzął na Stallingsa, który był teraz pochłonięty rozsuwaniem i zasuwaniami rozporka. Wu sięgnął do kieszeni, wyjął kilka zmiętych banknotów, podał rudowłosej kobiecie siedemset dolarów i wyszeptał:

- Wstąpię po resztę później. Kobieta również szeptem zapytała:

- Co mu jest?

Wu uśmiechnął się smutno i szepnął:

- Po prostu wiek.

Kobieta podała klucz z kserokopią mapy rozmieszczenia kontenerów i, nie przejmując się, że Stallings może ją usłyszeć, powiedziała:

- Mój dziadek jest taki sam.

Ich kontener miał kolor zielony i był pusty. Stallings i Wu przebywali w środku przez kilka minut, lecz niczego nie znaleźli. Po wyjściu Stallings powiedział:

- I co myślisz, wolebnym?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze: Iona Gamble wkrótce dostanie wiadomość od kierowcy czarnego Caprice. I po drugie: może lepiej zapnij rozporek.

31

Otherguy Overby, który siedział w wielkim fotelu należącym niegdyś do Billy'ego Rice'a, podniósł słuchawkę i zanim rozległ się trzeci sygnał, powiedział: - Słucham - i usłyszał elektronicznie zniekształcony męski głos.

- Z panem X proszę.

- Daj mi dojść do innego telefonu - powiedział Overby i skinął na Georgię Blue, która wstała z długiej kanapy w salonie i pośpieszyła do kuchni. Overby zerknął na zegarek. Była dokładnie 15.03, gdy usłyszał, jak Georgia podnosi słuchawkę ku chennemu aparatowi. Wtedy powiedział: - Ten jest lepszy - i w od powiedzi został poczęstowany basowym chichotem, który brzmiał jak grzmot.

- Masz kogoś na linii, prawda? - powiedział mężczyzna o zniekształconym głosie. - Cóż, to świetnie. Znaczy, że jesteś ostrożny.

Overby nie skomentował i pozwolił, by milczenie się prze dłużyło. W trakcie doszedł do wniosku, że zniekształcony głos rozmówcy brzmi tak, jakby dochodził z dna metalowej beczki po ropie. Rozmówcy też nie zależało, by położyć kres milczeniu, lecz w końcu powiedział:

- Słyszałem, że interesują cię filmy wideo.

- Zależy.

- Od czego?

- Od jakości.

- Jaka jest cena za dobry towar?

- Za pierwszorzędny - do stu tysięcy funtów, czyli około stu siedemdziesięciu pięciu czy stu osiemdziesięciu tysięcy dolarów.

- Słuchaj - rozkazał zniekształcony głos.

Najpierw rozległ się bardzo cichy trzask - wielce podobny do dźwięku, jaki wytwarza starter jarzeniówki. Potem męski głos z wyraźnym brytyjskim akcentem powiedział:

- Powiedz, jak się nazywasz.

Kobięcy głos, który dla Overby'ego brzmiał jak głos osoby śpiącej lub zmęczonej, odparł:

- Iona Gamble.

Po zbyt długiej przerwie, którą Overby przypisał nieudolne mu zmontowaniu fragmentów kasety, głos z brytyjskim akcentem zapytał:

- Jak zareagowałaś na wieść, że Billy Rice nie ma zamiaru ożenić się z tobą ani pozwolić ci na grę czy reżyserowanie swe go „Złego Martwego Indianina”?

Tym razem nastąpiła króciutka przerwa, po której kobieta powiedziała:

- Chciałam go zabić.

- Zrobiłaś to?

- Tak - odparła kobieta, która oznajmiła, że jest Iona Gamble. Po ostatnim cichym trzasku znów rozległ się zniekształcony głos.

- Jaka jakość?

- Trudno powiedzieć - za mało.

- To tylko mała próba całości - rzekł Blaszana Puszką, jak go ochrzcił Overby. - Pozostałe czterdzieści dziewięć i pół minuty są równie dobre. Może nawet lepsze. Zainteresowany?

- Może być - powiedział Overby - jeśli to naprawdę jest na wideokasie, a nie tylko na kasie magnetofonowej i pod warunkiem, że najpierw to obejrzę.

- Skontaktuję się z tobą - powiedział Blaszana Puszką.

- Kiedy?

- Jutro o ósmej rano. Wtedy coś wymyślę, żebyś mógł to zobaczyć.

- A jeżeli będę chciał skontaktować się z tobą wcześniej - gdyby coś wyskoczyło? Blaszana Puszką zachichotał.

- Fajna sztuczka - powiedział i przerwał połączenie.

Georgia Blue poczekała, aż Overby odłoży słuchawkę, po czym zrobiła to samo i wróciła do salonu. Ubrana była w dżinsy i białą bluzkę kupioną po południu podczas siedmiominutowego szaleństwa w GAP-ie na Wilshire w Santa Monica. Na bosych stopach miała ciemnoniebieskie sportowe buty, również nowe.

Overby trwał z ponurą miną przy telefonicznej konsoli, Blue zaś usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, popatrzyła na niego i powiedziała:

- Jak zamierzasz to załatwić?

- Co?

- Zrobienie go w konia?

- To nie będzie łatwe. Nie ze starym Blaszaną Puszką.

- Blaszana Puszką - powiedziała. - Podoba mi się to. Jak myślisz, dlaczego zmienił głos? Bo myślał, że go nagramy?

- Albo że mogę go rozpoznać.

- I poznałeś?

- Nie, a ty?

- Nie. Ale głos tego, kto zadawał Ionie Gamble pytania, musiał należeć do Hughesa Goodisona. A to może oznaczać, że kasety zostały sprzedane lub

ukradzione albo że Goodisonowie mają nowego partnera.

Overby zmarszczył brwi.

- Ten Blaszana Puszka nawet nie wspomniał o szantażu, prawda?

- Nie. Overby znowu ściągnął brwi, najwyraźniej zbierając myśli. Po chwili jego twarz rozjaśnił zimny blady uśmiech.

- Gdybym był na miejscu Goodisonów, wiedziałbym, co zrobie. Wyciągnąłbym od Iony Gamble ile by się dało, a potem użyłbym kogoś innego, kogoś takiego jak Blaszana Puszka, do sprzedania kasety wideo temu, kto da więcej. - Skinieniem wyraził zadowolenie ze swej koncepcji i dodał: - Oplacalne i łatwe. W tym jest, rozumiesz, pewna symetria.

- Czy Blaszana Puszka mógłby kierować obiema sprawami, szantażem i sprzedażą kaset?

- Oczywiście.

- Wobec tego Goodisonowie mogą nie zobaczyć ani centa, prawda?

- Oczywiście - powiedział Overby. - Są amatorami, a w grę wchodzi duża forsa. Powinni ubić szybko interes za dwieście pięćdziesiąt patoli i wycofać się. Gdyby tak zrobili, już mogliby gdzieś je spokojnie wydawać.

- Co myślisz o kasecie?

Overby pokręcił głową z dezaprobatą.

- Została spreparowana przez kogoś, kto za cholerę nie wiedział, co robi. Weź, na przykład, to pytanie, co czuła Iona po tym, jak Rice ją rzucił. Ona odpowiada, że chciała go zabić. Potem Goodison pyta: „Zrobiłaś to?“, a ona mówi: „Tak“. To zostało zmontowane przez kogoś, kto się śpieszył.

- Ale przecież musieli opierać się na czymś.

- Jasne. Mają film wideo. I zwykłą kasetę magnetofonową. Jeśli człowiek wie, co robi, może zrobić prawie wszystko. Ale spreparowanie kasety wideo jest bardzo trudne, ponieważ głos musi być zsynchronizowany z ruchem ust, poza tym dochodzi mimika, ruchy oczu, ust, gestykulacja i to wszystko musi z sobą współgrać. Ale jeśli znajdzie się naprawdę dobrego montażystę, najlepszego, to wtedy z kasetą wideo też można zrobić cuda.

Georgia Blue wytrzeszczyła oczy.

- Miałaś to wszystko zaplanowane, prawda?

- Co?

- Rozwiązanie Otherguya?

Overby przypatrywał się jej uważnie przez dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie tym razem, Georgia.

- Pieprzysz.

Overby poprawił się w fotelu i jeszcze raz spojrzał na nią bacznie.

- Jak długo się znamy?

- Przez połowę mojego życia.

Overby przeliczył w myślach lata, dodał je i skinął na znak, że się zgadza.

- Dam ci jedną radę, a to jest coś, co robię bardzo rzadko, ponieważ nie lubię, jak ktoś inny mi ich udziela. Okay? Georgia wzruszyła ramionami.

- Jeśli zamierzasz zrobić coś na boku, Georgia, to świetnie - tak długo, dopóki nie wejdiesz mi w paradę. I upewnij się, że nie nadepniesz na odcisk Durantowi. Wszystko to, co wyciągnęłaś w Manili i Hongkongu, nadal nie daje mu spokoju i tylko czeka na pretekst. Jeżeli go wkurzysz, nawet Artie nie zdoła go powstrzymać. Więc jeśli myślisz o solówce, pomyśl też o Durancie.

- Miałam pięć lat, by myśleć o...

Przerwała, ponieważ do salonu wszedł Booth Stallings, a za nim Artie Wu. Wu rzucił okiem po pokoju i zapytał:

- Durant jeszcze nie wrócił?
- Jeszcze nie - powiedział Overby.
- Nadal jest u Iony Gamble?
- O ile wiem, tak.

Wu podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę, popatrzył na Overby'ego i zapytał:

- Jaki numer?

Overby wyjął z kieszeni koszuli kartkę o wymiarach siedem na dwanaście centymetrów i przebiegł palcem w dół listy z ja kimś tuzinem starannie wydrukowanych nazwisk. Kiedy dotarł do nazwiska Iony Gamble, przeczytał numer. Wu wystukał podane liczby.

Iona Gamble przewróciła się na bok i podniosła słuchawkę przed czwartym sygnałem.

- Tak?

- Tu Artie Wu. Jest u ciebie Quincy Durant?

- Zobaczę. - Iona zakryła mikrofon dłonią, spojrzała w lewo i szepnęła: - Artie Wu.

- Dobra - powiedział Durant. Podniósł się z łóżka, obszedł je dookoła, wziął słuchawkę od Iony i przysiadł tyłem do niej. Iona przeciągnęła delikatnie palcami po trzydziestu sześciu krzyżujących się bliznach na jego plecach, zastanowiła się, jak i kiedy je zdobył, i postanowiła, że zapyta o to pewnego dnia.

Zamiast przywitać się, Durant powiedział:

- Właśnie wychodziłem.
- To dobrze - mruknął Wu. - Mamy nowiny.
- Ja też.
- Więc może mógłbyś się nimi podzielić.

- Będę za dwadzieścia minut. - Durant odłożył słuchawkę, odwrócił się do Iony Gamble i pocałował ją. Po zakończeniu długiego pocałunku Iona powiedziała:

- Dziękuję za pociechę.
- Tak nazywa się to, co robiliśmy?
- Tym jest seks między przyjaciółmi.

- W każdym razie między dobrymi przyjaciółmi, Iona uśmiechnęła się szeroko.

- Powiedziałabym, że od teraz jesteśmy całkiem dobrymi przyjaciółmi.

32

Przy długim na pięć metrów i liczącym sobie czterysta pięć dziesiąt dziewięć lat refektarzowym stole, przy którym niegdyś biesiadowali goście Billy'ego Rice'a, siedziało pięciu obecnych mieszkańców plażowego domu. Skupili się wokół wartego osiemdziesiąt jeden dolarów pięćdziesiąt sześć centów chińskie go jedzenia. Booth Stallings zamówił je w „China Den”, restauracji serwującej dania na wynos, która przed laty według Overby'ego

zwała się „China Diner”.

Artie Wu, który nigdy nie lubił chińskiego jedzenia, skończył pierwszy. Odsunął talerz, zapalił cygaro i zaczął opowiadać, jak wraz z Boothem Stallingsem odwiedzili Oxnard. Kiedy opisał, jak czarny Chevrolet Caprice próbował ich rozjechać, Georgia Blue i Durant przestali jeść. Ale dopiero wtedy, jak powiedział: „Znaleźliśmy martwych Goodisonów w łazience w motelu”, Overby, który przepadał za chińskim jedzeniem, odłożył pałeczki. Tylko Booth Stallings nie przestawał jeść - wygarniał łyżką resztki krewetek w sosie z homara.

Wu udzielił wyczerpujących odpowiedzi na grad pytań, po czym opowiedział, jak on i Stallings udali się do agencji Twój Schowek, gdzie niczego nie znaleźli. Padły kolejne pytania, na które cierpliwie odpowiedział, a później spojrzął po twarzach obecnych i zapytał:

- Okay. Kto następny?

- Chyba ja - zgłosił się Overby i zdał sprawozdanie z tele fonicznej rozmowy z Blaszaną Puską, który zmienionym głosem zaproponował mu sprzedaż kasety wideo z zarejestrowaną Iona Gamble przyznającą się do zamordowania Billy'ego Rice'a. Wu zapytał:

- Twój przyjaciel Blaszana Puska powiedział, że zadzwoni jutro rano?

- Punktualnie o ósmej.

- O której znaleźliście Goodisonów? - zapytał Artie'ego Durant.

- Około czwartej piętnaście, prawda, Booth?

- Prawdopodobnie minutę czy dwie wcześniej.

- Może dokładnie o czwartej trzynaście?

- Może - zgodził się Stallings. - A co?

- Szukam czegoś nadzwyczajnego czy szczególnego i nicze go nie znajduję. Dokładnie godzinę wcześniej, o trzeciej trzy naście, Iona Gamble otrzymała telefon od Hughesa Goodisona, który proponował jej kupno prawie tego samego materiału, co nowy telefoniczny kumpel Otherguya, Blaszana Puska.

- Zatem słyszałeś rozmowę między Iona a Goodisonem? - zapytał Wu.

- Z drugiego aparatu.

- Mam nadzieję, że zgodziła się zapłacić?

- Powiedziała Goodisonowi, że potrzebuje czasu na zebranie takiej sumy, a on dał jej cztery dni.

- Ustalmy dokładny czas - zaproponował Wu Durantowi. - Kiedy zabrałeś Ione?

- Opuściliśmy jej dom gdzieś za dwadzieścia druga i przy byliśmy do dentysty dokładnie o drugiej. O drugiej dwadzieścia było po zabiegu. Później przez jakieś dziesięć czy dwadzieścia minut dochodziła do siebie po pentothalu. Ale nim środek przestał działać, postanowiłem dowiedzieć się, na ile jest skuteczny jako serum prawdy i zapytałem ją, czy pożyczła komuś samochód w ostatni dzień roku. I czy jechała dwa razy do Billy'ego Rice'a. I czy go zastrzeliła. Na wszystkie pytania odpowiedziała przecząco.

- Dlaczego jesteś tak pewny, że Goodisonowie zadzwonili do Iony Gamble dokładnie o trzeciej trzynaście? - zapytał Wu.

- Ponieważ kiedy podnosiłem słuchawkę drugiego telefonu, spojrziałem na zegarek. Wu postanowił obejrzeć sufit.

- Goodisonowie zadzwonili dolonyo trzeciej trzynaście i umarli o czwartej

trzynaście. - Oderwał wzrok od sufitu. - Czy to wam coś mówi?

Kiedy nikt nie zabrał głosu, Wu spojrział w lewo i powiedział:

- Ty jesteś następna, Georgia.

Wyraz jej twarzy i ton głosu były obojętne, gdy oznajmiła:

- Firma Jacka Broacha jest bliska bankructwa.

Artie Wu pochylił się w swoim fotelu u szczytu stołu, splótł ręce na brzuchu, uśmiechnął się i, nie wyjmując cygara z ust, rzekł:

- Zdaje się, że to nie wszystko.

- Zgadza się. Najpierw odwiedziłam bank Broacha i dowiedziałam się, że nie są zadowoleni z jego interesantów. Później zjadłam lunch z Broachem w Beverly Hills. W czasie lunchu powiedziałam mu, dlaczego myślę, że jest na progu bankructwa, i po kawie złożyłam mu propozycję.

- Założyłam się, że to zrobiłaś - rzucił Durant.

- Daj jej mówić - upomniał go Overby. Durant wzruszył ramionami, zaś Georgia Blue przeszła go wzrokiem i podjęła relację.

- Kiedy skończyłam wyjaśniać, dlaczego uważam, że jest bankrutem, zapytałam, co by się stało, gdyby Iona Gamble kazała mu podjąć, powiedzmy, milion w gotówce dla szantażysty. Mógłby to zrobić czy nie mógłby, tak czy nie? Nic nie powie dział, ani słowa, co wcale mnie nie zdziwiło. Więc powiedziałam, że w porządku, skoro nie może podjąć miliona, może da radę trzysta tysięcy? Jeśli tak, mógłby powiedzieć Ionie Gamble, że ma milion w gotówce dla pośrednika, czyli mnie. Zaproponowałam, że w zamian za trzysta tysięcy przekażę obciążający materiał oraz osobiście zagwarantuję, by szantażysta - bądź szantażyści - nigdy jej nie niepokoiłi. Broach powiedział, że nie pokłada wielkiej wiary w takich gwarancjach, ponieważ zawsze mu powtarzano, że szantażyści nigdy nie przestają. Odpowiedziałam, że przestają, kiedy są martwi.

Zapadła długa cisza. W jej trakcie lekki uśmiech Otherguya Overby'ego rozszerzył się w szeroki. Durant patrzył na Georgię bez wyrazu - jedynie jego usta ściągnęły się w wąską linię. Artie Wu skinął kilka razy głową, jak gdyby do siebie. Booth Stallings nalał sobie filiżankę letniej herbaty, posłodził ją i wypił do dna, patrząc na Georgię znad krawędzi naczynia.

Ignorując ich wszystkich, Georgia Blue podniosła pałeczki i za ich pomocą włożyła ostatni kawałek jedzenia do ust. Żuła po woli, nieledwie z namysłem, przełknęła, odłożyła pałeczki i serwetką wytarła kąciki ust. Odchyliła się w fotelu, uśmiechnęła uprzejmie, jak gdyby nastąpiła chwilowa przerwa w pogawędce i jakby czekała, aż ktoś powie coś interesującego.

Artie Wu zakończył długą ciszę pytaniem.

- Jaka była reakcja pana Broacha?

- Miałam nadzieję, że zadzwoni do Iony Gamble. Albo do jej prawnika, pana Motta. Czy może nawet do ciebie. Najwidoczniej tego nie zrobił.

- Dalej, Georgia - wtrącił Durant. - Czy powiedział: „To głupi pomysł, pani Blue” - albo „Nie wiem, o czym, kurwa mać, mówisz i nie chcę wiedzieć” - czy nawet „Lepiej pilnuj kłapaczki, paniusiu”?

- Ale podpisał rachunek za lunch - odparła, ignorując Duranta i zwracając się do Wu: - Dodał dwudziestoprocentowy napiwek, uśmiechnął się i powiedział: „Wkrótce to powtórzymy”.

- O której zaczął i skończył lunch? - zapytał Wu.

- Spóźniłam się, więc zaczął się o pierwszej piętnaście, a za kończył o

drugiej.

- Dokąd poszłaś później? - zapytał Durant.

- Na zakupy. Kupiłam parę drobiazgów u Saksa oraz dzinsy i bluzę w GAP-ie. Wstąpiłam też do sklepu w Santa Monica i kupiłam parę błękitnych sportowych butów. Potem ruszyłam do domu i przybyłam tutaj za dziesięć czy za dwadzieścia piąta. Był tu już Otherguy.

- Powiedziałaś mu o Jacku Broachu? - zapytał Durant.

- Ani słowa - powiedział Overby.

Stallings, nadal patrząc chmurnie na Georgię Blue, powiedział:

- Jeśli dobrze zrozumiałem, zaproponowałaś, że zabijesz szantażystę lub szantażystów, odzyskasz materiał będący przedmiotem szantażu i pobierzesz za obie usługi trzysta tysięcy dolarów wolnych od podatku, prawda?

- Pudło - powiedziała.

- Pozwól, Georgia - powiedział Artie Wu. - Booth, ona robiła dokładnie to, o co ją prosiłem: sprawdzała Jacka Broacha. Odkryła, że on i jego agencja są w kiepskim stanie finansowym. Jak kiepskim, możemy osądzić z jego reakcji czy też jej braku, na intrygującą sugestię Georgii. Nie odrzucił jej od ręki. Nie okazał oburzenia. Nawet nie przypomniał jej, że jako prawnik jest urzędnikiem sądowym - ani też nie zagroził jej glinami. Według mnie jego milczenie aż się prosi albo nawet wrzeszczy o zainteresowanie - oczywiście ostrożne zainteresowanie, ponieważ Broach może podejrzewać podstęp lub pułapkę czy nawet to, że Georgia miała podsłuch.

- Jest w tym coś więcej, Artie - rzekł Overby. - Ty albo Quincy mówiliście mi, że Broach rozporządza wszystkimi pieniędzmi Lony Gamble, prawda? Chodzi mi o to, że jest jej agentem, menadżerem i osobistym prawnikiem. On dogląda jej in westycji, płaci jej rachunki - karty kredytowe, kredyty, raty ubezpieczeniowe, hipotekę, opłaty za prąd, gaz itd. - wszystko - i może nawet zajmuje się jej osobistymi wydatkami przekraczającymi pięć czy dziesięć tysięcy dolarów. Prawdę mówiąc, ona nie musi nawet myśleć o pieniądzu. To znaczy o zwyczajnych pieniądzu. Może przejmować się tylko tym, czy za rolę w kolejnym filmie dostanie pięćdziesiąt, sto czy dwieście tysięcy. Mam rację?

Wu skinął głową.

- Przypuśćmy, że Broach w jej imieniu, a może nawet we własnym, źle zainwestował. Za dużo wydał na słabe akcje i teraz musi pokryć niedobór. Albo może nawet naruszył aktywa Lony, by wykaraskać się z jakiegoś innego zobowiązania. Ale nie przejmował się tym, bo jego klientka numer jeden miała grać i reżyserować dochodowy film, a w dodatku wyjść za miliardera producenta i już nigdy nie martwić się o pieniądze - co nie znaczy, że martwiła się o nie dotychczas. Potem nagle Billy Rice zostaje zabity, Lona aresztowana i Jack Broach staje przed koniecznością podjęcia pieniędzy na kaucję oraz dla prawników i hipnotyzerów. I na dodatek do gry wchodzi szantażysta żądający miliona czy coś koło tego. Jedyną osobą nie naciskającą go o forszę jest sama Lona. Więc kiedy Georgia proponuje cholernie elegancki, nie niosący ze sobą żadnego ryzyka plan, który daje mu szansę odpisania siedmiuset tysięcy od tego, co pożyczył od Lony - okay, ukradł jej - nie mówi „tak”, nie mówi „może”, ale pewne jak cholera, że nie mówi również „nie”.

Booth Stallings, ciągle ze zmarszczonymi brwiami, spojrzął na Georgię Blue i powiedział:

- Naprawdę jestem ciekaw, jaka była reakcja Broacha na twoją propozycję.

Jak on to przyjął? Jakby to była po prostu kolejna oferta od jakiegoś szacownego członka prężnej organizacji charytatywnej?

- Co mu powiedziałaś, Georgia? Musisz to powtórzyć - rzekł z uśmiechem Artie Wu.

- On powiedział, że nie jest żadnym obrońcą od spraw kryminalnych, ale najlepsi z nich powtarzali mu, że szantażyści nigdy nie przestają. Ja na to: „Przestają, gdy są martwi”. I wtedy nasz lunch dobiegł nagle końca.

- Doskonale. Absolutnie doskonale. - Artie Wu zerknął na zegarek. - Booth i ja możemy przedyskutować etyczne niuanse jutro. Ale robi się późno, a Quincy i ja musimy jeszcze spotkać się z Enno Glimmern i panną Arliss. Blaszana Puszka, nasz domniemany szantażysta, ma zadzwonić o ósmej rano. Zatem może powinniśmy zebrać się przy śniadaniu, powiedzmy, o siódmej. - Popatrzył na Stallingsa. - Czego możemy spodziewać się do jedzenia?

- Będzie kawa, sok i jaja sadzone.

- Wyśmienicie - rzekł Wu, podnosząc się od stołu.

- Zanim wyjdziemy - wtrącił Durant - chciałbym zadać Georgii dwa pytania.

Georgia zawahała się, potem wzruszyła ramionami, Durant zaś powiedział:

- Dlaczego zaczęłaś podejrzewać, że Jack Broach zbankru tował czy bankrutuje?

- Zwróciłam uwagę na trzy fałszywe Daumiery w jego biurze. Durant z zadumą pokiwał głową.

- To dobra odpowiedź. Moje drugie pytanie brzmi: dlaczego powiedziałaś nam o propozycji, jaką mu złożyłaś? Gdybyś tego nie zrobiła, mogłabyś odejść z trzystoma tysiącami wolnymi od podatku.

- Bez względu na to, co bym ci powiedziała, Qtiincy, i tak byś mi nie uwierzył.

- To również dobra odpowiedź.

33

Postanowili przejść spacerkiem jakiś kilometr od domu Rice'a do miejsca spotkania z Enno Glimmern w „Malibu Beach Inn”, ponieważ Wu stwierdził, że chce spalić kalorie nabyte podczas chińskiej kolacji. Wyznał, że po spotkaniu z Glimmern, ma za miar uzupełnić ubytek dwoma wielkimi hamburgerami, niewielkim czekoladowym mlecznym koktajlem i być może frytkami.

Durant tylko jednym uchem przysłuchiwał się dietetycznym wynurzeniom Wu, ponieważ dostrzegł czarny czterodrzwiowy wóz, zaparkowany jakieś trzydzieści metrów przed domem Rice'a. Przyglądał mu się nie z powodu marki, modelu czy koloru, ale dlatego, że już dawno temu doszedł do wniosku, iż widok czterech wielkich facetów siedzących późnym wieczorem w samochodzie może oznaczać aresztowanie albo napad, albo ciężkie lanie.

Wszystkie drzwi wozu otworzyły się, gdy Wu i Durant znaleźli się dziesięć kroków przed lewym przednim błotnikiem. Wysiadło czterech białych ubranych na czarno. Żaden nie miał więcej niż trzydzieści lat i wszyscy mieli na sobie jednakowe czarne spodnie, sportowe buty i bluzy. Nawet ich baseballowe czapeczki były czarne.

Kiedy Wu i Durant dotarli do samochodu, dwaj, którzy wysiedli od strony krawężnika, zajęli miejsca po lewej stronie Duranta. Druga para obeszała samochód z przodu, kierując się w stronę Wu. Kiedy zbliżyli się, Artie Wu

uśmiechnął się i powiedział: - *Buenas tardes, señores* - co sprawiło, że stojący najbliżej mężczyzna zawahał się dostatecznie długo, by Wu zdążył kopnąć go w krocze. Mężczyzna syknął i złożył się we dwoje.

Durant, nie spuszczać oczu z drugiej pary, umknął z drogi pędzącego ku niemu noża, chwycił uzbrojoną rękę za nadgarstek, znalazł splot nerwowy i nacisnął nań kciukiem. Mężczyzna wrzasnął, upuścił nóż i upadł na kolana. Durant zwolnił nadgarstek, kopnął mężczyznę w głowę, podniósł nóż i rzucił nim w drugiego, który próbował wyciągnąć coś z prawej kieszeni na biodrze.

Rękojeść trafiła w pierś, po czym nóż zagrzechotał na beton. Mężczyzna spojrzał w dół, jak gdyby nie był pewien, czy ostrze nie wbiło się w jego serce. Zanim zdążył podnieść głowę, Durant uderzył go otwartymi dłońmi w uszy. Napastnik otworzył usta w bezgłośnym krzyku, osunął się na kolana, skulił przy krawężniku i zaczął cicho jęczeć, przyciskając ręce do skroni.

Durant zawirował i zobaczył, że ten, który pierwszy zaatakował Wu, nadal hołubi swoje jądra i zawodzi. Drugi walczył o oddech, ponieważ od tyłu wokół jego szyi zaciskało się masywne ramię.

- Jeżeli będziesz mówił, pozwolę ci oddychać - obiecał Wu, rozluźniając lekko uchwyt.

Mężczyzna najpierw sapnął trzy razy, potem wycharczał, że jakiś facet wynajął ich za pięć setek na głowę i kazał czekać przed plażowym domem w samochodzie na opalonego wysokiego faceta i wielkiego grubego Chińczyka.

Wu zwiększył nacisk na gardło, zapytał: - Co dalej? - i rozluźnił rękę.

Mężczyzna łąpczywie wciągnął powietrze i wykorzystał je, by wycharczeć:

- Gdybyście odjechali samochodem, mieliśmy was śledzić, zmusić do zatrzymania i rozumiesz, przylać wam trochę.

- Troszeczkę czy bardzo?

- Może trochę więcej niż trochę.

- Kim on był - ten facet, który was wynajął? Mężczyzna, klnąc się na Boga, powiedział, że nie wie, Wu zacisnął rękę, rozluźnił nieco i zapytał:

- Jak wam miał zapłacić?

- Powiedział, że pieniądze będą w schowku w samochodzie stojącym na parkingu Carl's Junior - tym przy La Brea i Santa Monica, gdzie włączą się wszystkie pedały.

- Jak wam to powiedział?

- Przez telefon, a jakby inaczej? Powiedział, że samochód jest trefny, i że możemy go zatrzymać, pozbyć się go albo zrobić z nim, co nam się podoba.

- Kiedy do was zadzwonił?

- Późnym popołudniem - około szóstej.

- Jak długo mieliście czekać przed tym domem?

- Do drugiej nad ranem. Potem mieliśmy rozdzielić się i spróbować jeszcze raz jutro w nocy za kolejne pięć setek w następnym gwizdniętym wózku.

Wu opuścił rękę, wskazał mężczyźnie czarnego Caprice i warknął:

- Zjeżdżajcie. Wszyscy. Ale kiedy zadzwoni jeszcze raz, powiedzcie mu, że Chińczyk wie, kim on jest.

- No to kim on jest? - zapytał Durant, gdy razem przyglądali się, jak czarny samochód powoli odjeżdża od krawężnika.

- Tym samym facetem, który zabił Goodisonów i próbował rozjechać

Bootha i mnie - odparł Wu, zawracając i podejmując przechadzkę w kierunku „ Malibu Beach Inn”.

- Przecież nie widziałeś kierowcy.
- Nie, ale to był ten sam wóz - ta sama marka, model, kolor, wszystko - i doszedłem do logicznego wniosku.
- To raczej skok myślowy. Jak myślisz, ile czarnych Chevroletów Caprice wypuścili z General Motors w zeszłym roku?
- Prawdopodobnie więcej, niż sprzedali.
- Co jednak nadal daje dużo, ponieważ wozy te są bardzo anonimowe, bardzo wygodne i wielce ulubione przez gliny, tak siarzy i starszych gości, którzy lubią się ślimaczyć po drogach. Szkoda, że w Oxnard nie dostrzegłeś numeru rejestracyjnego.
- Dlaczego szkoda?
- Wtedy bylibyśmy pewni, czy to ten sam wóz.
- A co by to dało, skoro jest kradziony?
- Udowodniłoby przynajmniej twoją umiejętność dokonywania obserwacji.
- Nie widzę potrzeby, aby cokolwiek udowadniać - powie dział Wu i wydłużył krok.

Jedyną zauważalną zmianą, jaka zaszła w Enno Glimmie było to, że teraz miał na sobie krzykliwą zielono-czerwoną hawajską koszulę wypuszczoną na spodnie, które, jak się zdaje, były częścią błękitnego garnituru w prążki. Glimm rozpiął się w fotelu w salonie na drugim piętrze zajazdu. Po jego lewej stronie na kanapie siedziała Jenny Arliss, ubrana w białe płócienne spodnie i granatową bawełnianą koszulkę. Wu i Durant po niedbałym przywitaniu z Glimmern usadowili się w fotelach.

- Tutaj nie ma restauracji - zauważył Glimm.
 - Możesz postać po pizzę - podsunął Durant. Glimm zignorował propozycję.
 - Okay. Posłuchajmy. Co zrobiliście dotychczas?
 - Jak na razie - rzekł Wu - znaleźliśmy ciała zamordowanych Hughesa i Pauliny Goodisonów - tym samym wypełniliśmy za danie, jakie przed nami postawiłeś, a które dosłownie brzmiało: „Znajdźcie Goodisonów”.
 - Mój Boże - mruknęła Jenny Arliss.
- Glimm podniósł się, podszedł do okna i rozchylił lekko kotary. Zerknął przez szparę na oddalone o półtora kilometra światła Santa Monica. Patrząc na nie, powiedział:
- Mówi się, że stąd roztacza się kapitalny widok. Szkoda, że nie mogę go zobaczyć. - Puścił zasłony, odwrócił się do Arliss i polecił: - Zorganizuj wylot następnym samolotem do Nowego Jorku.
 - Chyba najpierw powinniśmy wysłuchać reszty - powiedziała Jenny.
 - Załatw te pieprzone rezerwacje - warknął Glimm, wrócił na swoje miejsce, usiadł i skierował blade oczy najpierw na Wu, po czym na Duranta. - Okay. Miejmy to za sobą.

Opowiedzenie wszystkiego zajęło trzydzieści sześć minut. W ciągu pierwszych siedmiu Jenny Arliss mówiła cicho do telefonu, potem przerwała Wu, by poinformować Glimma, że zarezerwowała lot pierwszą klasą na pierwszą w nocy, dzięki czemu o dziewiątej trzydzieści znajdą się na lotnisku Kennedy'ego, a tam zaczekają do dwunastej na połączenie na Heathrow. Glimm

tylko skinął głową i powiedział, by Wu kontynuował.

Wu zaczął opisywać, jak zahipnotyzował Ione Gamble. Glimm słuchał w milczeniu, nie zadając pytań, nawet wtedy, gdy Durant opowiadał o znalezieniu zamordowanego kierowcy limu zyny, Carlosa Santillana. Ani gdy mówił o prawdopodobnym bankructwie Jacka Broacha i spółki. Ani nawet o nieudanym ataku czterech mężczyzn, mającym miejsce niecałe dziesięć minut przed ich przybyciem do apartamentu Glimma. Podczas naprzemiennych recytacji, prócz pierwszych siedmiu minut, Jenny Arliss stenografowała w kołonoatniku. Durant przypuszczał, że nie pomijała ani słowa.

W końcu Wu i Durant umilkli, a wtedy zapadła długa chwila ciszy, którą przerwał Enno Glimm.

- Ile?

- Co ile? - zapytał Durant.

- Ile zażąda szantażysta za kasety, jakie nagrali Goodisonowie, a on ukradł?

- Prawdopodobnie milion. To prawie standardowa cena. Ludzie potrafią ją zrozumieć. I bez problemu dostarczyć. I taka suma wystarczy, by wierzyli, że jej przekazanie rozwiąże ich problemy - chociaż w siedemdziesiątym trzecim wynosiła nie więcej, niż trzysta tysięcy.

Glimm wymruczał coś z ironią po niemiecku, po czym przeszedł na angielski.

- Mówicie, że Iona Gamble nie zabiła tego, jak mu tam... Billy'ego Rice'a?

- Nie sądzimy, żeby to zrobiła - powiedział Durant.

- Ale nagrania Goodisonów wskazują na coś innego.

- Myślimy, że zostały spreparowane.

- Myślicie?

- Podejrzewamy.

- Cóż, Chryste, jeżeli tak, czy wy i Howie Mott nie możecie tego udowodnić?

- Nie, dopóki nie dostaniemy ich w swoje ręce - powiedział Wu. - A jeśli Iona Gamble ich nie kupi, szantażysta prawdopodobnie sprzeda je mediom, które żerują na wszelkiego rodzaju świństwach. Jeżeli nagrania zostaną wydrukowane czy nadane - szantażysta twierdzi, że ma kasety audio i wideo - przed jej procesem, taki rozgłos może wpłynąć negatywnie na jego wynik, niezależnie od ich wiarygodności czy faktu, że nie mogą być dowodem.

- Czy Iona jest skłonna zapłacić milion? - zapytał Glimm.

- O ile zdoła go zebrać - odparł Durant. Glimm popatrzył na prawą rękę, skinął raz jeszcze bardziej do siebie niż do innych, potem, patrząc na lewą rękę, zapytał:

- Ale mówicie też, że ten facet, Jack Broach, mógł wydać jej wszystkie pieniądze?

- Tak myślimy.

Glimm przestał badać wzrokiem ręce, wstał, wrócił do okna i znów wyjrzał na światła Santa Monica. Patrzył na nie prawie minutę, nim w końcu odwrócił się, spojrzał najpierw na Wu, potem na Duranta, i zapytał:

- Chcecie zarobić więcej pieniędzy?

- Ile? - zaciekawiał się Durant.

- Jakies pięćset tysięcy dolarów.

- Jesteśmy zainteresowani.

- Okay. Dostaniecie dodatkowo pięć setek, jeżeli zrobicie dwie rzeczy. Po pierwsze: wyłączcie mnie z tego, i nie mówię jedynie o szarganiu opinii. Chodzi mi o to, że nie zostanę już w nic włączony. I po drugie: zdejmiecie lonę Gamble z haka. Udowodnicie, że nie zabiła tego, jak mu tam... Rice'a. - Spojrzał na Jenny Arliss i dodał: - Podrzyj wszystkie notatki i spal je.

Arliss skinęła, zamknęła notatnik, odłożyła długopis, popa trzymała na Duranta i powiedziała:

- Chyba powinniśmy usłyszeć coś więcej o tej waszej Georgii Blue. Z twoich słów wynika, że może okazać się słabym ogniwem.

- Odpowiadam za nią - oznajmił Durant.

Artie Wu uśmiechnął się i kilka razy pokiwał głową - jak zawsze, gdy coś nim wstrząsnęło albo go zaskoczyło. Wyglądało na to, że z wyjątkiem Duranta nikt tego nie zauważył.

Glimm poparł Jenny.

- Przedstawiliście to w sposób, który sugeruje, że wasza panna Blue mogłaby sfuszerować robotę.

- Ona jest najlepsza - powiedział Durant. - I przez to warto zaryzykować.

- Mówisz, że jest najlepsza z kobiet? - zapytała Jenny Arliss.

- Jest po prostu najlepsza.

- Jak długo ją znasz?

- Siedemnaście czy osiemnaście lat.

- A w jakim jest wieku?

- Ma trzydzieści sześć bądź siedem. Arliss wzniosła lewą brew.

- Młodzieńcza miłość? Artie Wu wtrącił się w rozmowę, nim Durant zdołał odpowiedzieć.

- Zgadzam się z Quincym, że Georgia jest najlepsza. Muszę również podkreślić, że to ja zdecydowałem, iż ma przyłączyć się do nas. I przez to jestem również odpowiedzialny za jej poczynania.

- Tylko że żaden z was nie ufa jej, gdy nie ma jej na oku?

- zachichotał Glimm. W czasie pierwszej wizyty w Wudu Ltd w Londynie też prawie to zrobił i Durant wówczas zastanawiał się, jak może brzmieć jego śmiech. Wyobrażał sobie, że będzie to suchy, zgrzytliwy dźwięk - jakby coś małego i złośliwego próbowało wydrapać i wygryźć sobie drogę z kartonowego pudła. Teraz doszedł do wniosku, że miał rację. Chichot ucichł i Glimm powiedział:

- Nie przejmujcie się. Sam wynajmuję facetów, bo są najlepsi

- chociaż nie zawsze jestem pewien, czy mogę im ufać. Prawdopodobnie dlatego wynająłem was dwóch.

- Jak mi miło - skomentował Artie Wu.

- Więc jak, ubijamy interes? - zapytał Glimm takim tonem, jakby już znał odpowiedź.

Durant skinął głową. W chwilę później to samo zrobił Wu. Glimm, z nieledwie zadowolonym wyrazem twarzy, zwrócił się do Arliss:

- Zadzwoń do recepcji i powiedz, że wymeldowujemy się i potrzebujemy limuzynę.

Odwrócił się do Wu i Duranta, przyglądał się im uważnie przez prawie trzydzieści sekund, po czym wstał, skinął na pożegnanie i wydał ostatni rozkaz.

- Zróbcie to porządnie.

Powiedziawszy to, zniknął w przylegającej do salonu sypialni.

Durant podniósł się i podszedł do Jenny Arliss w chwili, gdy odkładała słuchawkę. Przytrzymał jej rękę.

- Zabiorę ten notatnik. Podała mu go i powiedziała:
- Ty naprawdę nikomu nie ufasz, prawda?
- Nieczęsto.
- To dobrze.

34

Krótko po północy Booth Stallings czytał w łóżku kopie do kumentów dostarczonych mu po południu przez Mary Jo, bru netkę będącą sekretarką Howarda Motta.

Pierwszym dokumentem był raport Wydziału Policji Los Angeles dotyczący *Beretty* kalibru dziewięć milimetrów, która została skradziona 2 lutego 1982 roku z planu telewizyjnego pilota serialu „Opiekunowie” podczas kręcenia w studiach Paramount.

Raport został napisany stylem, który Stallings ocenił jako standardowy gliniarski, mówił, że człowiek odpowiedzialny za rekwizyty wykorzystywane podczas kręcenia pilota zostawił pistolet gdzieś na planie, gdy został wezwany przez reżysera po zakończeniu zdjęć ze strzelaniną. Kiedy wrócił, pistoletu już nie było, tak samo jak obsady i załogi. Kradzież została zgłoszona natychmiast, przeprowadzono dochodzenie, a w końcu zapomniano o całej sprawie - dopóki *Beretta* nie wypłynęła na powierzchnię jako broń, z której zabito Williama A.C. Rice'a Czwartego.

Następną przeczytaną przez Stallingsa pozycją była lista nazwisk obsady i załogi. Żadne z nazwisk załogi nic mu nie mówiło, ale trzy nazwiska z listy obsady od razu przyciągnęły jego uwagę. Pierwsze dwa brzmiały: Rick Cleveland i Phil Quill. Cleveland był tym starszym aktorem, który miał epizod w „Prze minęło z wiatrem”, i który w pilocie „Opiekunów” grał „ojca Tima Murraya, podstarzałego kapłana”. Phil Quill, pośrednik od nieruchomości z Malibu i były futbolista z Arkansas, grał Joe

Lamberta, nałogowego hazardzistę”. Obaj mieszkali w Malibu w 1982 roku i jako swego agenta podali Jacka Broacha, a to nazwisko było trzecim, na które Stallings zwrócił uwagę.

Detektywi z biura szeryfa okręgu LA po śmierci Rice'a prześluchali wszystkich trzech, a ktoś wysmażył trzy streszczenia z przesłuchań. Pierwsze dotyczyło Broacha - albo ze względu na porządek alfabetyczny, albo na jego pozycję w hierarchii ważności.

Broach mówi, że jego agencja już nie reprezentuje ani Clevelanda, ani Quilla. Broach mówi też, że ma jedynie „nikłe wspomnienie” telewizyjnego pilota „Opiekunów”, i że nigdy nie był na planie. Broach mówi, że nie wie, czy jego byli klienci, Quill i Cleveland, są przyjaciółmi, ale wątpi w to ze względu na różnicę wieku. Broach również mówi, że nie wie, jak jego obecna klientka Iona Gamble weszła w posiadanie broni, za pomocą której popełniono morderstwo.

Richard Cleveland - czy też Rick, jak przedstawił się Stallingsowi - był

następny.

Cleveland podaje, że ma siedemdziesiąt pięć lat. Był aresztowany za jazdę po pijanemu 05. 03. 72 i 02. 08. 84. Wcześniej nie notowany. W czasie przesłuchań wywiadów przeprowadzonych 03. 01. 91 i 09. 02. 91 w jego oddechu wyczuł zapach alkoholu. Cleveland mówi, że w pilocie „Opiekunów” grał durnego starego kapłana i nosił krzyż, a nie pistolet. Przyznaje, że zna Phila Quilla i charakteryzuje go jako lepszego piłkarza, niż aktora oraz lepszego handlarza nieruchomości niż jedno i drugie. Cleveland zadzwonił na posterunek w Malibu 03. 01. 91 i zameldował, że widział należącego do Lony Gamble czarnego Mercedesa 500SL około dwudziestej trzeciej 31. 12. 90 i powtórnie, około piątej trzynastej 01.01.91. Cleveland przyznaje, że skarżył Rice'a za zatarasowanie jego (Clevelanda) widoku na ocean. Mówi, że spotkał Rice'a tylko raz, nie lubił go i wcale nie jest mu przykro z powodu jego śmierci. Zapytany o nadużywanie alkoholu mówi, że jest statutowym członkiem klubu AA w Malibu i z własnej woli wygłasza opinię, że Gamble zamordowała Rice'a „bo ją rzucił”. Również z własnej woli przyznaje, że Gamble jest świetną aktorką, ale miernym reżyserem.

Philowi Quillowi poświęcono mniej miejsca.

Quill mówi, że w telewizyjnym pilocie „Opiekunowie” grał nałogowego hazardzistę. Mówi, że *Beretta* była używana jedynie przez Jerry'ego Tindera, który grał rolę główną (Tinder zmarł 5. 03. 88 w Nowym Jorku, na AIDS, według Nowojorskiego Departamentu Policji). Quill mówi, że nie jest bliskim przyjacielem Richarda Clevelanda, ale czasami widuje go w supermarkecie Hughes w Malibu. Quill jest licencjonowanym pośrednikiem handlu nieruchomościami i mówi, że nigdy nie spotkał William A.C. Rice'a Czwartego, chociaż prawnicy Rice'a zaangażowali jego firmę w celu wynajęcia posiadłości Rice'a do czasu zakończenia procedury legalizacji testamentu.

Stallings upchnął raporty w szarej kopercie i wsunął ją do szuflady nocnego stolika, a wtedy usłyszał delikatne pukanie do drzwi sypialni. Spojrzał na zegarek. Było czterdzieści trzy minuty po północy. Podniósł się, podszedł do drzwi i otworzył je. Do sypialni weszła Georgia Blue, ubrana w nowy płaszcz przeciwdeszczowy. W rękach miała dwie szklaneczki oraz bu telkę szkockiej J&B.

- Pomyślałam, że moglibyśmy wypić coś na sen - powiedziała, stawiając szklanki i butelkę na komodzie. - Woda?

- W łazience.

Nalała dwie szczodre miarki whisky, zabrała szklanki do łazienki, dodała nieco zimnej wody, potem wróciła do sypialni i podała Stallingsowi drinka.

Stallings usiadł na łóżku. Ona przysiadła obok i powiedziała:

- Zaczęło się.
- Co?
- Wojna lądowa w Zatoce.
- Ha.
- Nie wyglądasz na zaskoczonego.
- No cóż, dojrzewali do tego od jakichś sześciu miesięcy i w końcu zbombardowali ten pieprzony Irak, używając tylu żołnierzy, czołgów, samolotów, artylerii i okrętów, ile mogli. Prawdopodobnie wkrótce będzie po wszystkim - jak powiedziałem.
- Nie wydajesz się bardzo zainteresowany.
- Gdybyśmy mieli coś do stracenia, mógłbym się zainteresować. Dla mnie to tylko kolejna głupia wojna ze znanym z góry wynikiem, toczona przez kilku młodych najemników czy zawodowców, których nazywamy ochotnikami. Ten kraj nigdy nie przegra żadnej konwencjonalnej wojny. Gdyby się na to zanośli, nie walczylibyśmy.
- Zwłaszcza z białymi. Stallings wyszczerzył zęby.
- Nie walczyliśmy z takimi od czterdziestego piątego.
- Co się dalej stanie?
- Nadal mówisz o wojnie w Zatoce?
- Nie.
- O *l'Affaire Gamble*? Przytaknęła.
- Kiedy się zakończy - dopowiedziała.
- Spodziewam się, że znów wszyscy ruszymy na włóczęgę.
- Wu z Durantem, ty z Otherguyem? Stallings lekko pokręcił głową, uśmiechając się do czegoś, co mogło być ulubionymi wspomnieniami.
- Myślę, że po pięciu latach Otherguy jest gotowy do rozwiązania starej firmy. Ja tak
- On cię lubi.
- Otherguy był... jest... - Stallings przerwał, by znaleźć właściwe słowo - ... trochę przemądrzały.
- Co zrobisz?
- Spojrzał na nią. W jego oczach widniała zimna ciekawość.
- A co proponujesz?
- Możemy założyć jedną drużynę.
- I co robić? Założyć bank w Palm Springs?
- Nie mówię na zawsze. Mówię o sześciu miesiącach - najwyżej roku.
- Życ w bajeranckich hotelach, pić doskonałe wina?
- Dlaczego nie?
- Stallings wstał, podszedł do komody, dolał w swoją szklanekę szkockiej, napił się, odwrócił i zapytał:
- Co miałbym robić?
- Jeszcze nie jestem pewna. Może nic.
- Ale prawdopodobnie coś.
- Prawdopodobnie.
- Georgia, szaleję za tobą, ale to wcale nie musi znaczyć, że jestem głupi.
- Wiem.
- A jeśli Durant się dowie?
- Nie dowie się.

- Ale jeżeli tak?

Nieznaczenie wzruszyła ramionami, postawiła drinka na stoliku obok łóżka i zaczęła rozwiązywać pasek płaszcza.

- Duranta to nie obchodzi - powiedziała.

- Nie chcę go wkurzyć. Ani Artie'ego.

- Nie wkurzymy ich - powiedziała, rozpinając guziki płaszcza.

- A Otherguya?

- Ani Otherguya.

- Zatem kogo możemy rozgniewać?

- Jacka Broacha i spółkę.

- Jezu, chyba nie wracasz znów do tego, że „martwy szantażysta nie może szantażować”, prawda?

Georgia Blue rozpięła ostatnie guziki i wstała, pozwalając, by płaszcz zsunął się na podłogę.

- Nadal nie do końca to kapujesz, prawda? Stallings nie zwrócił żadnej uwagi na pytanie. Wpatrywał się w doskonale ciało, rozpamiętywał je i odkrywał na nowo, nie

chcąc poddawać analizie swego prawie młodzieńczego napływu podniecenia. Przed pocałunkiem spojrzeli sobie w oczy, ni to w próbie oszacowania, ni to zrozumienia. Pocałunek był bardzo długi i nieomal dziki, towarzyszył mu szcęk zębów o zęby oraz coś, co Stallings nazwał w myślach pojedynkiem języków. Kiedy pocałunek dobiegł końca, oboje dyszeli, ale Georgia Blue zdołała zadać pytanie.

- No i jak?

- Co i jak?

- Jak prawdziwa randka?

- Dokładnie - odparł Booth Stallings.

35

O 7.59 następnego dnia rano cała piątka znów zgromadziła się wokół długiego refektarzowego stołu, czekając na dzwonek telefonu. Otherguy Overby zebrał w schludny stosik opakowania kawy i resztki śniadania. Georgia Blue wstała, zabrała dzbanek kawy z bocznego stolika i napełniła filiżanki Overby'ego, Duranta i swoją - Wu i Stallings odmówili, kręcąc głowami.

Telefon na długim stole zadzwonił w chwili, gdy Georgia usiadła. Wu pozwolił zadzwonić mu cztery razy, nim podniósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham.

Zabrzmiął elektronicznie zniekształcony głos człowieka nazwanego przez Overby'ego Blaszaną Puską:

- Nie wydajesz się być panem X.

- Jestem panem Z.

- Myślę, że możesz być gliną.

- Bzdury.

- No to co, do diabła, robisz przy telefonie w domu Billy Rice'a?

Odpowiedz.

- Pan X i ja jesteśmy pośrednikami.

- Między mną a kim?

- Między tobą a kimś, kto kupuje to, co masz na sprzedaż.

- Taak, no cóż, już powiedziałem twojemu panu X, co mam do sprzedania.

- A teraz możesz powiedzieć mnie.

- Mam kasety magnetofonowe i wideo, na których zahipnotyzowana Iona Gamble przyznaje się do zamordowania Billy'ego Rice'a.

- Wspomniałeś o prezentacji dla pana X.

- Zmieniłem zdanie. Bez prezentacji.

- Dlaczego?

- Bo mam tylko jedną kasetę wideo i mógłbyś obejrzeć materiał tylko w jeden sposób: musiałbym zrobić kopię i przysłać ci ją. Ale gdybym tak zrobił, miałbyś to samo, co ja, i mógłbyś to rozpowszechnić za kupę forsy.

Wu westchnął.

- Ile chcesz za tego kota w worku - sto tysięcy?

- Teraz ty tracisz czas - powiedział Blaszana Puszka. - Mogę wykonać jeden telefon na Florydę i dziś o drugiej będzie u mnie facet z trzystoma tysiącami w gotówce.

- Od kogo?

- Od jednego z tamtejszych szmatławców.

- Zatem dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Zależy mi na czasie, więc doszedłem do wniosku, że rów nie dobrze mogę sprzedać towar samej Ionie Gamble.

- Za ile?

- Za milion.

- To niemożliwe.

- Okay. Właśnie powiedziałeś „nie”, więc ja mówię do widzenia.

- Ile mamy czasu? - zapytał pośpiesznie Wu.

- To jednodniowa oferta.

- Chyba nie spodziewasz się, że ona podejmie tyle gotówki w jeden dzień.

- Dlaczego nie? Banki są otwierane o dziewiątej, a zamykane o szesnastej - niektóre o siedemnastej lub osiemnastej. Ma czas do szóstej wieczorem. Albo godzimy się na tę godzinę, albo nie ma sprawy.

- Zadzwoń do mnie o piątej.

- Pod ten sam numer?

- Tak.

- Okay - powiedział Blaszana Puszka. - Ale o piątej wóz albo przewóz. Nie chcę żadnych „być może”.

- W porządku - zdążył odpowiedzieć Wu, nim Blaszana Puszka rozłączył się. Wu odłożył słuchawkę, odepchnął aparat, oparł łokcie na stole i spojrzał na Overby'ego.

- To był Blaszana Puszka, Otherguy - powiedział. - Iona ma do wieczora podjąć milion dolarów.

Kącki ust Overby'ego wygięły się w uśmiechu mającym wyrażać wstrzemięźliwy szacunek.

- Więc on idzie na całość?

- Najwidoczniej.

- A szmatławce?

- Są jego odwodem i pogrózką.

Overby skinieniem wyraził zawodową aprobatę i powiedział:

- To ma sens.

Wu zwrócił się do Georgii Blue.

- Będziesz naszym pośrednikiem, Georgia. Quincy będzie cię wspierał. Ja zadzwonię do Howarda Motta i powiem mu, że mieliśmy wiadomość od szantażysty, który żąda jednego miliona za kasety.

- To znaczy, że testujemy Jacka Broacha - powiedziała Georgia Blue.

- Tak - zgodził się Wu.

- Który może podjąć najwyżej trzysta tysięcy.

- Tak nam powiedziałaś.

- I da mi je ze znaczącym mrugnięciem.

- Dokładnie.

- A ja przekażę je Blaszaney Puszce, który będzie chciał przeliczyć forszę.

- Nie wierzę, żebyście ty i Quincy pozwolili zająć sprawom tak daleko - powiedział Wu. Zapadła chwila ciszy, którą przerwał Durant.

- W takim razie będę potrzebował spluwy.

- Masz. - Overby sięgnął do kieszeni, wyjął kupiony od Colleen Cullen rewolwer *Police Special .38* i posunął go po stole. Durant podniósł broń, sprawdził, wsunął do prawej kieszeni marynarki.

- A co z Georgią?

- Ona już ma jeden - poinformował go Overby.

Nim Durant zdobył się na komentarz, Georgia powiedziała:

- Cała twoja robota będzie polegała na pilnowaniu moich pleców, Quincy.

- I moich.

Artie Wu uciął dalsze przekomarzanie, oznajmiając:

- Mam pewne dobre nowiny odnośnie pieniędzy. Wszyscy, z wyjątkiem Duranta, który nadal wpatrywał się w Georgię Blue, spojrzeli na Artie'ego.

- Wczoraj w nocy - kontynuował Wu - Enno Glimm wysunął raczej interesującą propozycję. Jeżeli uda nam się po cichu rozwiązać tę sprawę oraz utrzymać jego i jego firmę z daleka - co oczywiście jest równoznaczne z oczyszczeniem Iony Gamble z zarzutów - zapłaci nam dodatkowe pięćset tysięcy. Jeżeli nam się powiedzie, Quincy i ja uważamy, że te pieniądze powinny zostać podzielone po równo - po sto tysięcy dla każdego. Możecie uważać to za premię po tytułem „daj z siebie wszystko”.

- Albo „obyś nie zbłądził” - wtrącił Durant, nadal uważnie przyglądający się Georgii Blue. Tym razem to Overby uniemożliwił ripostę Blue pytaniem:

- Czy Glimm nie zgodził się na wynagrodzenie Ionie Gamble wszystkich szkód spowodowanych przez Goodisonów?

- Zgodził - powiedział Wu.

- Wobec tego jego propozycja ma charakter oszczędnościowy - Glimm woli wydać pół miliona na nas, niż zapłacić milion Blaszaney Puszce. Mam rację?

Wu uśmiechnął się.

- Może faktycznie coś takiego mu zaświtało.

- Więc jeżeli nawet uda nam się oczyścić Ione z zarzutów, ona nadal może zaskarżyć Glimma o kupę szmalu.

- Na jakiej podstawie? - zapytał Durant.

- A skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? - zdumiał się Otherguy. - To będzie zależało od Howie'ego Motta. Utrata dochodów. Straty moralne. Po to wynajmuje się prawników.

- Interesująca sugestia, Otherguy - mruknął Wu. - Będziesz mógł sprzedać ją pani Gamble osobiście, dziś przed południem. Overby, natychmiast czujny,

zapytał:

- O co ci chodzi?
- O to, że zostaniesz jej osobistym ochroniarzem.
- Nie ja.
- Dlaczego?
- Nie jestem gliną do wynajęcia.
- Teraz tak - powiedział Durant. Overby znów zaczął protestować, ale zmienił zdanie, zgarbił się w fotelu i patrzył wściekle na każdego, kto na niego spojrzał. Milczenie przerwał radosny śmiech Georgii Blue.
- Co cię tak bawi? - zapytał Overby.
- Artie jest zabawny. Wszyscy mają niańki. Artie pilnuje Bootha. Quincy mnie. A Iona Gamble ciebie. Wu spojrzał na nią z czułym uśmiechem i zapytał:
 - Czy powinniśmy przeprowadzić głosowanie, co kto ma robić, Georgia?
 - Tajne?
 - Oczywiście.
 - A kto będzie liczył głosy, Artie?
 - Ja - odparł z uśmiechem. - A któżby inny?

Artie Wu wystukał numer telefonu Howarda Motta i słuchał sygnału, patrząc na Bootha Stallingsa, jedyne, który pozostał przy starym refektarzowym stole.

- Nie brałeś udziału w dyskusji, Booth. Nim zdołał coś dodać, usłyszał w słuchawce gderliwy głos Howarda Motta:
 - Co jest?
 - Artie Wu.
 - Obudziłeś mnie. Jeżeli odnosisz wrażenie, że jestem rozdrażniony, to wiedz, że jestem.
 - Siedziałeś do późna?
 - Dyktowałem do trzeciej. Może do wpół do czwartej.
 - Mam pewne nowiny.
 - Dobrze czy złe?
 - Sam zdecyduj. Dzwonił szantażysta.
 - Aha.
 - Zmienił głos za pomocą jakiegoś elektronicznego urządzenia. Otherguy nazywa go Blaszana Puszka.
 - Ponieważ słyhać go tak, jakby mówił z jej dna - dopowiedział Mott.
 - Właśnie. - Wu był szczęśliwy, jak zawsze wtedy, gdy rozmawiał z osobą obdarzoną bystrym umysłem i nie musiał wiele wyjaśniać. - Chce sprzedać łonie kasety, na których ona jakoby wyznaje w transie, że zamordowała Billy'ego Rice'a. Za milion. Chce - powinienem powiedzieć: żąda - odpowiedzi „tak” lub „nie” do piątej po południu.
 - Doskonale wiesz, że ona nie może podjąć miliona tak szybko, Artie. Po co naprawdę dzwonisz?
 - Mam propozycję.
 - Może nawet nie udzielę ci odpowiedzi.
 - Może, ale proponuję, żebyś zadzwonił do Jacka Broacha i powiedział mu, że Iona Gamble potrzebuje miliona w gotówce do czwartej po południu - i dlaczego. Potem tylko wysłuchaj co on ci powie.

Nastąpiła bardzo długa pauza. Wreszcie Mott zapytał:

- Myślisz, że Jack zamiast powiedzieć: „To niemożliwe”, oświadczy: „Okay, świetnie”, prawda?

- Jeżeli powie „Tak” albo „Okay, świetnie”, powiedz mu, że pieniądze odbierze Georgia Blue.

- Sama? - zapytał Mott, po czym szybko dodał: - Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

Wu nie odezwał się i zapadła kolejna długa chwila ciszy, która kres położyło pytanie Motta.

- Co się dzieje, Artie? Ale proszę bez szczegółów.

- Coś, co może oczyścić lonę.

- Może?

- A co? Chcesz znać szczegóły? Powtarzam: może oczyścić lonę, ale musisz zrobić jedną rzecz - sprawić, żeby miała wrażenie, że sprawa posuwa się naprzód. Powiedz jej, że Durant i Georgia wpadną, by dać znać, co się dzieje, i że przedstawia jej nowego ochroniarza.

- Kogo?

- Jeszcze nie jestem całkiem pewien.

- Akurat!

- Cierpliwości, Howie!

Kolejną długą ciszę przerwało chrząknięcie Howarda Motta, który zmienił temat i zapytał:

- Jaki był Enno Glimm?

- Nerwowy. Zaproponował nam dodatkowe pięćset tysięcy za trzymanie go z daleka i zdjęcie lony z haka. Potem poleciał do Londynu.

- Artie... - zaczął Mott.

- Tak?

- Ja naprawdę nie muszę słuchać wszystkiego - rzekł Mott i rozłączył się.

Wu odłożył słuchawkę, patrzył na nią przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, potem odwrócił się do Stallingsa.

- I co myślisz, Booth?

- Myślę, że twój telefoniczny kumpel Blaszana Puszka nie tylko ukradł kasety, ale również zabił kierowcę limuzyny, pana Santillana, potem załatwił Goodisonów i próbował nas rozjechać przy motelu w Oxnard.

- Ślicznie.

- Byłoby jeszcze ładniej, gdyby zabił również Billy'ego Rice'a - dodał Stallings.

- Tylko że tego nie zrobił.

- Nie.

- Ale ty chyba wiesz, kto to zrobił.

- Może.

- Chcesz podzielić się domysłami?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co zrobi Georgia - powiedział Stallings.

- Myślisz, że wysłałem Georgię na ścieżkę nie tyle pokuty, co pokusy, prawda?

- Jasne jak cholera, że wskazałeś jej drogę.

- Zatem dlaczego wysłałem z nią Quincy'ego?

- I właśnie to zbija mnie z tropu.

- Jak ci się widzi Quincy - w porównaniu z tym, jaki był pięć lat temu? Stallings zastanowił się nad odpowiedzią.

- Stał się zgorzkniały i tak odległy jak księżyc - chociaż nigdy nie był tym, kogo nazwałbym fontanną radości.

- A Georgia?

- Jest chyba jeszcze gorsza.

- Mam nadzieję, że zadanie, jakie przed nimi postawiłem, okaże się dla nich kuracją - rzekł z wolna Wu.

- Kuracją, która może ich zabić - i ile nie pozabijają się sami.

- Ale interesujące jest to, Booth, że oboje wiedzą, co robię, i żadne nie ma nic przeciwko.

- Może kuracja się powiedzie, a może nie - powiedział Stallings. - Ale dopóki wiem, że nie wystawiasz Georgii, jestem za tym.

- Bardzo lubię Georgię. Wiesz o tym.

- Czy kiedyś byłeś w niej zakochany?

- Nie. A potem była już Agnes.

- Durant kiedyś za nią szalał - powiedział Stallings. Wu skinął głową.

- Tak samo Otherguy.

Wu drgnął nieznacznie, co miało sugerować lekkie wzruszenie ramion.

- A teraz ja - dokończył Stallings.

- Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Booth. - Wu przerwał na chwilę, po czym zapytał: - Co ty mówiłeś wcześniej?

- O tym, kto zabił Rice'a? Wu skinął głową.

- To podejrzenie?

- Bardziej domysł.

- Domysły też są dobre - rzekł Wu, mądrze kiwając głową. - Potrzebujesz czegoś?

- Pieniędzy, ale zrealizuję czek na pięć tysięcy.

- Mam z tobą pójść? Stallings pokręcił głową i wstał.

- Mogę zapytać, z czym zamierzasz wystąpić?

- Co myślisz o podpisanym przyznaniu się do winy?

- To będzie bomba - powiedział Artie Wu.

36

Wchodzili po schodach do biura Iony Gamble, za gospodynią z Salvadoru i kłapołuchym królikiem, gdy zaszarżował na nich siedmioletni labrador.

Idący w tylnej straży Otherguy Overby odwrócił się, i w tej samej chwili ważący trzydzieści siedem kilogramów pies sko czył i uderzył go w piersi. Sekundę później Overby znalazł się w pozycji siedzącej na piątym stopniu schodów, a labrador lizał mu twarz, poszczekując i skomlać z radości.

Overby w końcu wyszczerzył zęby, obdarzył psa porządnym kuksańcem, odepchnął go i powiedział:

- Do licha, za kogo ty się masz, Moose?

Pies w odpowiedzi liznął go raz jeszcze, położył łeb na kolanie Otherguya i spojrzał mu w twarz z wyrazem całkowitego oddania.

Wtedy u szczytu schodów pojawiła się Iona Gamble i zapytała Duranta:

- Co się stało?

- Twój pies załatwił twego nowego ochroniarza - odparł Durant i szybko

przedstawił Ionie Georgię Blue.

Po prezentacji Iona spojrzała na tył głowy siedzącego Overby'ego i zawołała:

- Nic panu nie jest?

Overby wstał powoli, odwrócił jeszcze wolniej, spojrzał na Ione i powiedział:

- Absolutnie.

- Boże wszechmogący! Otherguy Overby we własnej osobie! Overby uśmiechnął się, Durant pomyślał, że trochę blado, i powiedział:

- Jak się masz, Iona?

- Jak widzę, już się spotkaliście - stwierdziła Georgia Blue, Iona skinęła, ciągle patrząc w dół na Overby'ego, którego lekki uśmiech już prawie zniknął.

- Pierwszy raz w siedemdziesiątym czwartym - powiedziała. - Ja miałam osiemnaście, a Otherguy - ile? Trzydzieści trzy?

- Trzydzieści - poprawił Otherguy.

- Jak mówiłam, trzydzieści trzy, i zamierzał zrobić ze mnie gwiazdę. No cóż, załatwił mi pierwszą pracę - prowadzenie igu any na sznurku dla Cala Worthingtona w jednej z tych reklam używanych samochodów.

- Od czegoś musiałaś zacząć.

- A następnym razem? - dopytywała się Georgia Blue.

- Dziesięć lat później.

- Jedenaście - sprostował Overby. - W osiemdziesiątym piątym.

- Okay. W osiemdziesiątym piątym. Właśnie kupiłam ten dom i musiałam robić film w Londynie. Potrzebowałam kogoś, kto by tu siedział, i przyjaciółka poleciła mi faceta, którego nazwała „niewiarygodnie cudownym opiekunem”. Zgodziłam się i kazałam go przysłać. I któż się pojawił? Maurice Overby, Opiekun Domów Gwiazd.

- Powiedz im, kto uratował ten dom, Iono - powiedział Overby.

- Ty. Strażacy kazali mu się wynosić, bo ogień szedł w górę kanionu. Ale Otherguy stał na dachu przez całą noc z ogrodowym węzłem i nikt nie został ranny ani nic się spłonęło. Ale kiedy odszedł sześć tygodni później, okazało się, że moje zwierzaki przywiązały się do niego tak bardzo, szczególnie Moose, że nie chciały jeść. Dosłownie oszalały na punkcie tego sukinsyna i musiałam płacić mu po pięćdziesiąt dolarów przez dwa miesiące, tylko za to, że przychodził w niedzielę i bawił się z nimi przez godzinę.

Otherguy wzruszył ramionami.

- Zwierzęta mnie lubią.

- Jeśli nie chcesz, by był twoim ochroniarzem, po prostu powiedz - zaproponował Durant.

- Jak długo będę go potrzebowała?

- Dwa czy trzy dni.

- Jeżeli zostanie na dłużej niż trzy dni, moje zwierzaki znów się w nim zakochają. Z drugiej strony, Otherguy jest podły i chytry, i jako taki nadaje się na ochroniarza. No, ale chodźmy do gabinetu; może najpijecie się piwa lub czegoś innego. - Spojrzała w dół schodów na Overby'ego i dodała: - Ty też.

Iona Gamble wskazała drogę do biura, którą Durant już znał. On prowadził, za nim szła Georgia Blue. Kiedy odprowadzany przez Moose'a Overby dotarł na szczyt schodów, Iona zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy Blue i Durant zniknęli w biurze, i powiedziała:

- Uściskasz mnie czy nie? Otherguy wziął ją na chwilę w ramiona i pocałował w policzek.
- Dlaczego nie powiedziałaś im, że mnie znasz? - zapytała.
- To było dawno temu, Iono.
- Coś mi mówi, że zasłużyłeś na kopa. Mam rację? Skinął głową.
- Jak zawsze.
- Jak się masz - tak naprawdę?
- Nie mogłoby być lepiej - powiedział, a intuicja podpowia dała Ionie, że Otherguy Overby po raz pierwszy prawdopodobnie powiedział prawdę.

Nikt nie chciał piwa o godzinie 10.45 przed południem, więc gospodyni podała kawę wszystkim prócz Iony, która, siedząc za swym biurkiem z kłapołuchym królikiem na kolanach, pozostała wierna dietetycznej wodzie Dr Pepper.

Wypiła łyk i spojrzała na Duranta.

- Rozmawiałam z Howie'em Mottem. Telefonował czterdzieści pięć minut temu i poinformował mnie, że szantażysta

chce milion dolarów za kasety Goodisonów. Zapytałam, co po winnam zrobić, i Howie powiedział, że jest przeciwny zabawie w szantaż w każdej formie. Ale stawką jest moja reputacja i muszę zdecydować się na wzięcie w niej udziału.

- To żadna odpowiedź - powiedział Overby, który siedział w wygodnym fotelu z Moose'em zwiniętym u stóp.

- Zgadza się. Howie powiedział, że zanim zdecyduję cokolwiek, powinnam dowiedzieć się od Jacka Broacha, czy mogę podjąć milion dolarów w gotówce do piątej dziś po południu. Jeżeli nie, powiedział, że kwestia zapłaty stanie się sporna. -Urwała. - Czy akademicka?

- Albo nieaktualna - podsunęła Georgia Blue. Durant, siedzący obok niej na krytej kretonek kanapie, pokiwał głową.

- Zadzwońłam więc do Jacka i zapytałam, czy to możliwe, a on powiedział, że z ledwością, że musiałabym zastawić nie które akcje i obligacje oraz wszystkie renty. Powiedziałam mu, żeby zrobił to, co uzna za właściwe. Oczywiście, chciał wiedzieć, co zrobię z milionem w gotówce. Powiedziałam mu, że Howie powiedział, że pieniądze odbierze niejaka panna Georgia Blue.

- Co na to pan Broach? - zapytała Georgia.

- Zdawało się, że odetchnął z ulgą i powiedział, że panna Blue jest bardzo kompetentna.

- Podpisywałaś coś? - zapytał Durant. Pokręciła głową.

- Jack ma moje pełnomocnictwa.

- Nigdy nikomu bym ich nie dał - mruknął Overby. Iona Gamble w odpowiedzi na jego komentarz szyderczo przewróciła oczami i zwróciła się z pytaniem do Georgii Blue.

- Ma pani duże doświadczenie w tego typu rzeczach?

- Tak.

- Georgia była agentką Tajnej Służby - poinformował Overby.

- Poważnie?

Blue potwierdziła skinieniem głowy.

- Co według pani powinnam zrobić?

- Odebrać kasety. Nie ma pani wyboru.

- Ale powiedziano mi, że nie mogą zostać wykorzystane jako dowód, ponieważ byłam zahipnotyzowana.

- Tu już nie chodzi o dowody. Chodzi o Ione Gamble, gwiazdę filmową. Jeżeli nie odzyska pani kaset, zostaną sprzedane szmatławcom i stacjom telewizyjnym żerującym na skandalach. Nadadzą je w telewizji z Bóg wie jakim komentarem - może opiszą szczegóły pani intymnego życia z Billym Rice'em. A wszystko, co zostanie puszczane w telewizji, zostanie streszczone przez różne brukowce i opatrzone nagłówkami, które za pomocą trzech czy czterech słów rozwrzeszczą tę historię na cały świat. - Georgia Blue przerwała na chwilę, po czym dodała: - Okay. Jest pani twarda i może pani to znieść. Ale to wszystko przed rozprawą przysporzy pani raczej wątpliwej sławy.

- Może nigdy nie dojdzie do rozprawy - wtrącił Overby.

- Może nie - powiedziała Georgia Blue.

- Więc tak naprawdę pani mi mówi, że te kasety mogą pomóc wysłać mnie do komory gazowej - stwierdziła Iona.

- To zbyt melodramatyczne - powiedziała Blue. - Ja tylko mówię, że prawdopodobnie nie przyniosą pani nic dobrego i mogą wyrządzić wiele szkód. Gamble spojrzała na Duranta.

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że Georgia ma rację.

Iona znów zwróciła się do Georgii, jakby przyciągnięta jakąś siłą.

- W Tajnej Służbie na pewno nie raz ochraniała pani różnych ludzi.

Georgia Blue skinęła głową.

- Jakichś sławnych?

- Imeldę Marcos. Panią Bush - kiedy on został wiceprezydentem. Paru innych.

- Zatem jest pani ekspertem.

- Byłam.

- No cóż, skoro potrzebuję ochroniarza, dlaczego ma nim być Otherguy, nie pani?

- Musi pani zapytać pana Duranta.

Iona spojrzała na Duranta, który powiedział:

- Nie wiemy, czy twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Ale myślimy, że to możliwe. Otherguy jest środkiem ostrożności, jakiego potrzebujemy. Kompetentnym.

- Tak kompetentnym jak panna Blue?

- Jej nikt nie dorówna.

Georgia Blue spojrzała na Duranta, po czym szybko odwróciła wzrok.

- Zatem ty i panna Blue... - zaczęła Iona.

- Mów mi Georgia.

- Zatem ty i Georgia kupicie kasety od szantażysty za mój milion dolarów?

- Ty jej powiedz, Georgia - powiedział Durant.

- Kiedy będzie po wszystkim - zaczęła powoli Georgia Blue - mamy zamiar dostarczyć ci kasety, twój milion dolarów i możliwe, że nawet szantażystę.

Iona Gamble jakby skurczyła się w swym drewnianym obrotowym krześle.

- Możliwe? - powtórzyła, prawie szeptem.

- Możliwe, że szantażysta będzie martwy.

Iona Gamble skurczyła się jeszcze bardziej, jak gdyby chciała odsunąć się jak najdalej od Georgii Blue i Duranta. Wbiła oczy w blat biurka, pogłaskała

królika, jakby szukała pociechy, potem spojrzała na Overby'ego i powiedziała:
- Naprawdę nie chcę nic więcej słyszeć, Otherguy.

37

O 14.42 Georgia Blue zaczęła liczyć trzysta tysięcy dolarów w biurze Jacka Broacha w Beverly Hills. Na osiemnastowiecznym biurku leżało trzydzieści paczek, każda zawierała dziesięć tysięcy w studolarowych banknotach. Blue stała, licząc w milczeniu. Kiedy skończyła, starannie zapakowała pieniądze do ciemnoniebieskiej nylonowej torby, którą kupiła w drogerii Save-On za osiem dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów plus podatek

Broach siedział za biurkiem i nie odzywał się, dopóki nie zapięła torby. Wtedy uśmiechnął się i powiedział:

- Dokładnie jeden milion, prawda? Georgia Blue usiadła przed biurkiem, popatrzyła na niego, po czym powiedziała:

- Dokładnie.

- To potwierdzenie pewnego dnia może okazać się bardzo przydatne.

- Dla ciebie, dla mnie nie.

- Pomyślałem, że warto spróbować. Wzruszyła ramionami.

- Coś jeszcze?

Pochylił się ku niej, opierając splecione, zadbane dłonie na zdobionym blacie biurka. Na jego twarzy widniał wyraz, który mógł uchodzić za szczere zainteresowanie, a nawet ciekawość.

- Chciałbym wiedzieć, jak to zadziała, poznać mechanizm.

- Szczegóły? Skinął głową.

- To normalne - stwierdziła Georgia. - Ludzie w większości stają się ciekawi, gdy po raz pierwszy wpadają w takie szambo. Zadają pytania kto-co-robi-i-dlaczego - prawdopodobnie dlatego, że w grę wchodzi taka forsa.

- Fakt, to rozpała iskrę zaciekawienia.

- W porządku. Oto jak to zadziała. Kiedy Blaszana Puszka zadzwoni przed wieczorem...

- Blaszana Puszka?

- Tak nazwaliśmy sprzedawcę ze względu na jego elektro nicznie zniekształcony głos.

- Rozumiem.

- Kiedy zadzwoni... Broach znów przerwał.

- Kto odbierze telefon?

- Artie Wu. Ja prawdopodobnie będę podsłuchiwała przy drugim aparacie. Może Quincy Durant również, a może nie. Broach skinął głową, usatysfakcjonowany.

- W każdym razie - kontynuowała - jak Blaszana Puszka zadzwoni, dowie się, że pieniądze są gotowe.

- Milion?

- Milion. Wtedy uzgodnimy, gdzie zostanie dokonana wymiana. To będzie ciche, odludne miejsce.

- Jakże?

- Takie, gdzie będzie mógł przeliczyć pieniądze, a ja obejrzeć nagrania wideo.

- Macie już coś na oku?

- Tak.
- Gdzie.
- Przykro mi.
- Oczywiście - powiedział Broach. - Względy bezpieczeństwa.
- Zdrowy rozsądek - poprawiła Georgia Blue. - Artie i Blaszana Puszka będą wyklócać się o miejsce. Blaszana Puszka od rzuci naszą pierwszą sugestią, a my z kolei odrzucimy jego propozycję. Wtedy Artie zaproponuje miejsce, na którym zależy nam od początku i postawi sprawę jasno, że jeśli Blaszana Puszka nie wyrazi zgody, z interesu nici.

Broach zmarszczył brwi.

- To dość ryzykowne. Jak każde ultimatum.
- Blaszana Puszka sprzedaje, my kupujemy, a klient nasz pan. Jak się zgodzi, zaczniemy targować się o porę. Zaproponujemy ósmą, a on dziewiątą lub dziesiątą. Pozwolimy mu wygrać, ponieważ jeżeli nie będzie miał czasu na obejrzenie miejsca spotkania, nie pokaże się i trudno będzie go za to winić.

- Interesujące. Będziesz sama?
- Dlaczego pytasz?
- Bo przyszło mi na myśl, że jeśli nie, wtedy będziesz musiała podzielić się tym... - dotknął torbę - ...z kimś innym.

- Nie będę sama - powiedziała Georgia Blue, wstała i podniosła torbę.

Broach również wstał.

- Kogo z tobą wysyłają?

- Durata. Ale nie podzielimy się niczym.

Odwróciła się, podeszła do drzwi trzymając torbę w prawej ręce, otworzyła je, zerknęła przez ramię, uśmiechnęła się i wyszła. Jak Broach osądził, że było to kolejne doskonałe wyjście.

Georgia Blue szybkim krokiem ruszyła na południe po zachodniej stronie Robertson Boulevard do wynajętego Forda. Szła z błękitną torbą w lewej ręce; prawa tkwiła głęboko w nowej, wiszącej na ramieniu torebce Coach. Miała w niej rewolwer kalibru 0,38 cala, który wraz z Overbym kupili od Colleen Cullen.

Otworzyła frontowe drzwi od strony chodnika, wrzuciła torbę, wsiadła szybko do samochodu, zamknęła drzwi i zablokowała je. Durant zapuścił silnik, zerknął przez lewe ramię, odjechał od parkomatu i zapytał:

- Jak poszło?
- Świetnie. Był bardzo zainteresowany tym, co nazwał mechanizmem akcji.
- Co znaczy: będziesz sama czy z kimś, prawda?
- Powiedział również, że jeżeli ktoś będzie ze mną, będę musiała się podzielić. - Poklepała torbę z pieniędzmi.

- A co ty na to?

- Odparłam, że będzie ze mną Durant, aie nie podzielimy się niczym.

Durant wyszczerzył zęby, potem zachichotał. Ona lekko zmarszczyła brwi i stwierdziła:

- To chyba twój pierwszy śmiech od miesiąca.
- Do teraz nie było niczego wesołego.
- Nawet wtedy, gdy pieprzyłeś tę gwiazdę filmową? Obrzucił ją szybkim spojrzaniem, lecz w jego oczach prawie nie było zaskoczenia.

- Tak?

- Po niej było to widać, choć może po tobie nie. Ale ty masz swoje lata i

doświadczenie. Nie sądzę, by poza Otherguyem ktoś coś zauważył. W każdym razie, ona jest raczej milutka. Chyba ją lubię, chociaż nadal nie mogę uwierzyć, że jest taka sławna.

- Osiągnęła wiele w czasie ostatnich czterech czy pięciu lat.
- Wobec tego może powinnam wybrać się do kina i obejrzeć jakiś jej film.
- Nie musisz już chodzić. Możesz wypożyczyć kasety za dwa czy trzy dolce. I odtworzyć je w domu na magnetowidzie. A na mikrofalówce uprażyć sobie kukurydzę. I przyspieszyć nudne kawałki.

- Czy to najważniejsze zdobycze cywilizacji, jakie mnie ominęły?

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - powiedział Durant.

Potem jechali w milczeniu. Durant skręcił z Roberston Boulevard na Santa Monica Freeway i skierował się na zachód ku Pacific Coast Highway. Trzy minuty później Georgia Blue przerwała milczenie.

- Lepiej... Nieważne.

- Co lepiej?

- Miałam zamiar zaproponować, żebyśmy zatrzymali się przy Banku Amerykańskim w Malibu i wypłacili trochę forsy. Ale potem zdałam sobie sprawę, że przecież mamy trzysta tysięcy. - Georgia wskazała na torbę.

- Po co ci pieniądze?

- Pamiętasz, jak Otherguy mówił o Colleen Cullen i jej zajeździe-melinie?

- W kanionie Topanga.

- Myślę, że moglibyśmy wynająć go na noc. Cały.

- Za ile?

- Prawdopodobnie zażąda dziesięć tysięcy. Zaproponujemy jej pięć i stanie na siedmiu i pół.

- Gdzie ona będzie, gdy się zacznie?

- Nie znasz jej, prawda?

- Nie.

- Kiedy ją poznasz - powiedziała Georgia Blue - powiedz mi, gdzie według ciebie powinna być.

Booth Stallings wysiadł z autobusu w Santa Monica i pojechał taksówką do wypożyczalni samochodów Beverly Hills Budget. Dyżur pełniła ta sama urzędniczka, która wynajęła mu Merce desa 560SL. Dziewczyna podniosła głowę, uśmiechnęła się na jego widok i powiedziała:

- Witam, panie Stallings. Niech mi pan nie mówi, że ktoś rąbnął Mercedesa.

Stallings, przypominając sobie imię dziewczyny, doszedł do wniosku, że chyba jeszcze nie spotkało jej nic ponurego w życiu. Odpowiedział uśmiechem.

- Jeszcze nie, Glorio. - Ściągnął brwi i zapytał: - Mówiła pani, że jak się nazywa?

- Nie mówiłam. Ale Ransome, z „e” na końcu - do pańskich usług.

- Cóż, panno Ransome z „e”, potrzebny mi następny wóz.

- Interesy muszą iść dobrze - cokolwiek robicie w Malibu.

- Film. Duża forsa.

- Poważnie? To cudownie. Zatem co pan sobie życzy? Proszę pamiętać, że rozmawiamy o samochodzie.

- Gdyby była pani o kilka lat starsza, moglibyśmy porozmawiać o weekendzie nad jeziorem Tahoe.

- Czasami wychodzę ze starszymi facetami.

- Nad Tahoe?
- Nie, ale zawsze jest ten pierwszy raz.
- Coś ci powiem, Gloria - rzekł Stallings, opierając się na biurku. - Po dograniu tego filmowego interesu zamierzam zafundować sobie weekend w Tahoa oraz nowy samochód i prawdopodobnie nie miałbym nic przeciwko towarzystwu.
- Jaki samochód?
- Myślałem o Mercedesie 500SL
- Dobry Boże! Wie pan, ile coś takiego kosztuje?
- Jakies sto tysięcy. Ale teraz bardziej interesuje mnie to, za ile można taki wynająć. Pomyślałem, że przed podjęciem ostatecznej decyzji pojeżdżę sobie na próbę przez parę dni.
- Faktycznie musi siedzieć pan w filmie.
- Jak mówiłem, chodzi o dużą forszę. Naprawdę dużą.
- Tak więc wynajęcie 500SL kosztuje cztery stowy na dzień, ale musi pan wpłacić zastaw gotówką.
- Ile?
- Pięć tysięcy.
- Doskonale. Masz coś pod ręką?
- Niech sprawdzę. - Dziewczyna odwróciła się do komputera, stuknęła przez chwilę, spojrzała na ekran i powiedziała: - Ma pan szczęście. Mamy tylko jeden i jest wolny.
- Macie tylko jeden?
- To naprawdę drogie wozy i nie ma na nie wielkiego zapotrzebowania.
- Jest czarny? Potwierdziła ruchem głowy.
- Ma pan coś przeciwko czerni?
- Nie, po prostu zastanowiłem się, czy przypadkiem mój przyjaciel nie wypożyczał tego samego wozu w Sylwestra zeszłego roku.
- Chce pan, żebym sprawdziła to dla pana? Stallings obdarzył ją swym najcieplejszym uśmiechem.
- Tylko wtedy, gdy nie sprawi to najmniejszych kłopotów.

38

Quincy'emu Durantowi nie spodobał się wygląd należącego do Kuzynki Colleen zajazdu i nie omieszkał powiedzieć tego na głos. Georgia Blue odparła, że gdyby po raz pierwszy zobaczył go w nocy, nie spodobałby mu się jeszcze bardziej.

Durant zatrzymał wynajętego Forda w pobliżu ogromnego szyldu, na którym mrukał czerwony neon układający się w słowa: BRAK WOLNYCH MIEJSC. Przyjrzał się stojącemu w dali olbrzymiemu staremu domowi i doszedł do wniosku, że wygląda on na przechowalnię staruszków, którzy wydają ostatnie tchnienie oglądając czarno-białe powtórki „Kocham Lucy” i „Perry Masona”.

Georgia Blue, jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

- To tylko takie miejsce, w którym można się ukryć, póki zrabowane fundusze powiernicze nie dotrą na Bahamy.

Durant chrząknął, potem ruszył długim podjazdem, przyglądając się drzewom i odpornym na suszę kwiatom, którym we dług niego nie

zaszkodziłoby nieco wilgoci. Blue zauważyła, że na parkingu w kształcie wachlarza nie ma już podstarzałego kabrioleta MG, ale Toyota pozostała.

Durant zaparkował obok półciężarówki i zapytał:

- Co chcesz zrobić z pieniędzmi?
- Zamknąć w bagażniku?
- Bagażnik można otworzyć w ciągu trzech sekund.
- No to ty je weź.

Kiedy wysiedli z Forda, Durant wszedł za Georgią Blue po dziewięciu stopniach na werandę. Gdy zbliżali się do dzwonka,

Georgia zauważyła, że tafła barwionego szkła z czarną wiśnią, którą Otherguy Overby wybił łokciem, została zastąpiona szybą z paterą winogron.

Blue wcisnęła dzwonek i odczekała pięć sekund. Dziesięć sekund później ciężkie drzwi stanęły otworem i pojawiła się Colleen Cullen, mierząca w nich z obrzyna-dwururki. Durant odruchowo zarejestrował, że kurki są odwiedzone, a palce spoczywają na obu spustach.

- Czego byś nie chciała, Chuda, odpowiedź brzmi nie. N-I-E. Nie.
- Chcemy wynająć cały ten lokal na noc - powiedziała Georgia Blue.
- Nie ma miejsc. Wszystko wynajęte. Pokoi brak.
- Powiedz jej o pieniądzech - ponaglił Georgię Durant.
- Cholera, nich sobie gada - powiedziała Colleen. - Kłapanie jadaczką gówno da. Kto to jest pan Opalony, Chuda?

- Mój partner.
- Co się stało z Mouriisem?
- Wszyscy jesteśmy partnerami.
- Powiedz jej o pieniądzech - powtórzył Durant.
- Co masz w torbie, panie Opalony? - zapytała Colleen Cullen.
- Pieniądze - odparł Durant.
- Otwórz i daj mi zobaczyć.
- Nie tutaj.
- Mam obrzyna, który mówi, żebyś otworzył torbę.

- A ręka pani Blue jest w torebce - poinformował Durant. - I zamyka się na kolbie trzydziestkiósemki, którą, jak zrozumiałem, jej sprzedałaś. A broń jest wycelowana w twoje prawe oko. Jeżeli choć pomyślisz o pociągnięciu za spust, będziesz martwa.

Colleen Cullen i Durant zmierzyl się wzrokiem. Nikt nie poruszył się ani nie odezwał, dopóki Georgia Blue nie powiedziała:

- Wejźmy do środka, Colleen, napijmy się i porozmawiajmy o pieniądzech. Cullen, nadal nie spuszczać oczu z Duranta, zapytała:

- O jakiej sumie?
- Wystarczającej. Ale wewnątrz. :
- Okay. - Cullen cofnęła się szybko o dwa kroki, przez cały czas mierząc w Duranta. - Ale pan Opalony pierwszy. Potem ty, Chuda.

Wchodząc za Durantem, Georgia powiedziała:

- Na prawo.

Gdy doszli do zamkniętych rozsuwanych drzwi, Blue rozkazała:

- Otwórz je.

Durant rozsunął drzwi, wszedł do olbrzymiego salonu, rozejrzał się szybko, potem odwrócił do Colleen Cullen. : - Hughes i Paulina Goodisonowie zostali wczoraj zastrzeleni w łazience motelu w Oxnard.

Cullen drgnęła zauważalnie. Ale strzelba nie.

- To aż prosi się o drinka. Whisky jest na wielkim okrągłym stole z tyłu. Nalej, panie Opalony. Trzy burbony. I wody. Bez lodu.

Durant odwrócił się, podszedł do stołu, nalał szczodre miarki Virginia Gentleman z opróżnionej do połowy butelki w trzy szklaneczki, potem dodał wody ze szklanego dzbana. Wszystko to robił prawą ręką, lewą zaciskając na rączce błękitnej torby.

Przyrządziwszy drinki odwrócił się, by spojrzeć na Colleen Cullen, która teraz celowała w Georgię Blue.

- Mam zamiar otworzyć torbę i położyć ją na stole - uprzedził. - Jeżeli ci się nie spodoba, możesz ją zastrzelić.

Nie czekając na zgodę, rozpiął suwak błękitnej torby, wyjął paczkę studolarówek i położył ją na stole. Potem podniósł drinka i pociągnął długi łyk.

Cullen za pomocą dwururki zagnała Georgię do stołu, podniosła paczkę i przekartkowała ją jedną ręką - był to obojętny, a nawet pogardliwy ruch. Jej oczy przeskakiwały z pieniędzy na Duranta i Blue, i z powrotem na pieniądze. Potem podniosła szklaneczkę i posmakowała drinka, wpatrując się bacznie w swoich gości znad krawędzi szklaneczki.

Odstawiła szklankę, znów złapała strzelbę w obie ręce, cofnęła się o dwa kroki i zapytała:

- Jeżeli pociągnę za obydwie spusty, o ile będę bogatsza?

- O trzysta tysięcy dolarów - przez sekundę, zanim cię nie zabijemy - zapewniła ją Georgia Blue.

- A jeżeli ja załatwię cię pierwszą, Chuda?

- Pan Durant strzeli ci w lewe oko.

- Ty strzelasz ludziom w prawe oko. On strzela w lewe. Umówiliście się czy co?

- Podnieś pieniądze i przelicz - zaproponował Durant.

- Cholera, nie muszę liczyć. Wiem, ile tam jest. Dziesięć tysięcy dolarów. Myślisz, że nie wiem, jaka wysoka jest kupka w studolarowych banknotach?

- Mamy interes. Zapłacimy ci siedem i pół tysiąca za prawo do wyłącznego korzystania z twojego domu od siódmej do dwunastej w nocy.

Cullen zmarszczyła brwi.

- A co z pozostałymi dwoma i pół tysiącami?

- Bezpieczeństwo.

Cullen zwróciła się do Georgii Blue.

- Kurwa mać, o czym on mówi?

- Jeżeli rzeczy pójdą w rozsypkę - rzekła powoli Georgia Blue - chce, żebyś je znów poskładała.

Colleen Cullen odwróciła się, położyła strzelbę na wielkim okrągłym stole i usiadła. Podniosła szklankę, napiła się, potem dała znak, by Durant i Blue przyłączyli się do niej. Zrobili to - Georgia Blue zajęła miejsce po prawej, Durant po lewej stronie Colleen.

- Nie chodzi o narkotyki, co? - zapytała Cullen. Georgia Blue przecząco pokręciła głową.

- Szantaż?

Blue skinęła głową.

- Coś związanego z tymi czubkami Goodisonami?

- Trochę - powiedziała Georgia.

Cullen powoli pokiwała głową, potem spojrzała na Duranta.

- I chcesz mnie za wsparcie.
- Zgadza się.
- Gdzie?
- Na zewnątrz.
- Założmy, że zabiją was, złapią pieniądze i zwieją. Czego się po mnie spodziewacie?
- Żebyś ich zabiła - powiedziała Georgia.
- A pieniądze?
- Zatrzymaj je - powiedział Durant.
- Wszystkie?
- Wszystkie.

39

Booth Stallings wyszedł z "Johnnie's New York Pizza" przy Pacific Coast Highway w Malibu z dwiema pizzami o średnicy czterdziestu centymetrów z serem i kiełbasą, trzema litrami mieszanej zielonej sałatki i sześcioma butelkami meksykańskiego piwa. Załadował wszystko na siedzenie niedawno wynajętego czarnego Mercedesa 500SL, obszedł wóz, wsunął się za kierownicę, uruchomił silnik i ostrożnie włączył się w sznur pojazdów. Kilka przecznic dalej zawrócił, zaparkował przy krawężniku i, niosąc wczesną kolację dla czterech osób, cofnął się o półtora kwartału do domu Rice'a. Przybył o 16.52, osiem minut przed spodziewanym telefonem od Blaszaney Puszki.

Do 16.59 Stallings rozstawił talerze, sztuczce, serwetki i szklanki; Georgia Blue podała pizzę i sałatkę, a Durant otworzył cztery butelki piwa. Artie Wu siedział u szczytu starego refektarzowego stołu z telefonem przy łokciu. O 17.01 wsunął do ust potężny kawałek pizzy. Kilka sekund później zadzwonił telefon. Wu przeżuwał spokojnie, tymczasem Georgia Blue pośpiesznie zerwała się od stołu i popędziła do aparatu w salonie. Pod koniec piątego sygnału ona i Wu, który nadal miał pełne usta, jednocześnie podnieśli słuchawki.

- Tak? - powiedział Wu.
- To ja - usłyszał w odpowiedzi zmieniony głos Blaszaney Puszki.
- Słucham.
- Co z moimi pieniędzmi?
- Są pod ręką.
- Zatem gdzie chcesz to załatwić?
- Czekam na propozycje - powiedział Wu i wsunął kolejny kęs pizzy do ust.
- Jest pewne miejsce w dolinie...
- Chodzi ci o dolinę Fernando?
- Tak.
- Blisko Ventura Freeway?
- Niedaleko - rzekł Wu i przerwał, by napić się piwa. - Możemy spotkać się w odległości co najmniej dziesięciu minut drogi od autostrady. W innym przypadku pokusa rozwalenia, złapania towaru i odjechania sto pierwszą czy czterysta piątą mogłaby okazać się, no cóż, nieodparta.
- Kurwa mać, jak sobie wyobrażasz, z kim masz do czynienia? - zapytał z oburzeniem Blaszana Puszka.
- Z szantażystą - odparł niewzruszenie Wu. - Ale jak się zastanowisz,

zrozumiesz, że ta pokusa może być równie nieodparta dla nas.

Nastąpiła przerwa, po której Blaszana Puszka powiedział:

- Okay. Zaproponuj inne miejsce.

- Kanion Topanga. Gdzieś w połowie drogi między Ventura Freeway a Fernando. Jest tam zajazd oferujący noclegi i śniadania, obecnie bez gości. Prywatność gwarantowana. I doskonałe miejsce nie tylko do tego, byś ty mógł przeliczyć swój milion, ale również dla nas, żebyśmy mogli odtworzyć kasetę wideo.

- I w dodatku wiedzie do niego kręta droga doskonała na urządzenie zasadzki - dopowiedział Blaszana Puszka.

- Ty sprzedajesz, my kupujemy. Nasze ryzyko jest znacznie większe niż twoje.

- To brzmi jak: wchodzisz albo pasujesz.

- Rozsądna interpretacja - powiedział Wu, kończąc ostatni kawałek pizzy.

- Okay - rzekł po dłuższej chwili Blaszana Puszka. - Jak mam się tam dostać?

Wu z kieszeni koszuli wyjął kartkę siedem centymetrów na dwanaście i, nie dając poznać, że czyta, powoli przekazał wskazówki, jak dotrzeć do „Zajazdu Kuzynki Colleen”. Blaszana Puszka powtórzył je bezbłędnie i zapytał:

- O której?

- Może o ósmej?

- Za wcześnie.

- O dziesiątej.

- Wolałbym o dziewiątej.

- Zgoda. O dziewiątej.

- Kogo przyślesz?

- Dlaczego pytasz?

- Co to znaczy: dlaczego? Bo chcę wiedzieć, to wszystko.

- Chcesz wiedzieć kogo - czy ilu?

- Ilu. Mało mnie obchodzi, kogo.

- Dwóch. Jeden do pilnowania drugiego.

- Dwóch, co? Okay, no to ja też kogoś przyprowadzę.

- Chyba możesz. Zatem o dziewiątej?

- Punktualnie - powiedział Blaszana Puszka i przerwał połączenie.

O 18.55 Georgia Blue wstała od refektarzowego stołu i powiedziała, że idzie się położyć. Dziesięć minut później Durant też się podniósł i oznajmił, że ma zamiar zrobić to samo. Po zostali Wu i Stallings; ich nietknięte trzecie filiżanki kawy stygły na stole.

Wu zapalił cygaro, wydmuchnął dym w stronę sufitu, potem spojrzał na Stallingsa.

- Chcę, żebyś zrobił coś, co może wydać ci się nieco podstępne. Stallings skinął w odpowiedzi.

- Podejrzewam, że Blaszana Puszka może sprowadzić więcej osób.

- Nie można go obwiniać - zwłaszcza że Georgia i Durant będą mieli tę, jak ona się nazywa, Colleen Cullen z obrzynem.

Wu wydmuchnął dym, przyjrzał się popiołowi i powiedział:

- Możliwe, że Blaszana Puszka przed dziewiątą złoży Colleen Cullen lepszą propozycję - albo pozbędzie się jej.

Stallings rozważył jego słowa.

- Możliwe czy prawdopodobne?
- Możliwe - powiedział Wu. - Masz jakieś plany na wieczór?
- Nie do późna.
- Czynisz jakieś... postępy?
- Może.
- Ale nic, o czym warto byłoby mówić?
- Jeszcze nie.
- Potrzebna mi godzina twego czasu - powiedział Wu i wyprodukował z dymu zgrabne kółko.
- Po co?

Artie Wu sięgnął do prawej tylnej kieszeni spodni i wyjął mały pistolet. Był to *Sig Sauer*, ten na dziewięć naboji kalibru 7,65 mm, o całkowitej długości szesnastu i pół centymetra i masie po załadowaniu nieco ponad sześćdziesięciu dekagramów. Wu przesunął go po stole w stronę Stallingsa, który podniósł broń, obejrzał uważnie, wsunął do kieszeni na biodrze i zapytał:

- Kogo miałbym zastrzelić?
- Chcę, żebyś dał go Otherguyowi.
- Kiedy?
- Od razu.
- Co jeszcze?
- Powiedz mu, żeby jak najszybciej pojechał do Cullen.
- Przed Durantem i Georgią?
- Tak.
- Dlaczego?

Wu tym razem wydmuchnął dym w lewo.

- Byłeś w piechocie w czasie wojny? Stallings skinął głową.
 - Dowódcą plutonu?
 - Zgadza się.
 - Wysyłałeś zwiadowców?
 - Wysyłałem, czasami nie wracali.
 - Co ci mówiło, że coś jest nie w porządku.
 - Dlatego nikt nigdy nie chciał wychodzić na zwiad. Otherguy też nie będzie chciał.
 - Ale zrobi to - zapewnił Wu.
 - A co z Ioną Gamble, której miał strzec?
 - Chciałbym, żebyś zawiózł ją do Howie'ego Motta i zostawił ją u niego, póki nie będzie po wszystkim.
 - Howie o tym wie?
 - Powiem mu.
 - A powiesz Georgii i Durantowi o Otherguyu?
 - Nie. - Wu sięgnął do kieszeni spodni, wyjął kluczyki do samochodu i podał je Stallingsowi. - Weź Mercedesa. Stallings pokręcił głową i wstał.
 - Sam wynająłem wóz dziś po południu.
 - To dobrze.
- Stallings przez dłuższą chwilę spoglądał z góry na Wu.
- Dlaczego ty nie pojedziesz, Artie - zamiast Otherguya?
 - Bo nie będę potrzebny.
 - Masz nadzieję.

- Mam nadzieję - zgodził się Wu.
- Okay, więc co jeszcze poza tym całym pieprzeniem o zwiadzie mam przekazać Otherguyowi?
- Powiedz mu, żeby doprowadził do porządku.
- Co?
- Wszystko, co nawali - powiedział Artie Wu.

40

Iona Gamble, za którą podążał Moose, dotarła do stóp schodów, skręciła w prawo i weszła do salonu w chwili, gdy siedzący Booth Stallings wyciągnął z prawej kieszeni na biodrze pistolet *Sig Sauer* i wymierzył w stojącego Otherguya Overby.

- Proszę, nie strzelaj! - zawołała, a raczej wrzasnęła.

Stallings wstał i odwrócił się z pistoletem w ręce. Nie był to szybki obrót, ale wystarczająco szybki, by ją przestraszyć. Jej oczy powiększyły się prawie dwukrotnie, szczęka opadła, a ręce frunęły w górę, dłońmi na zewnątrz, jakby w obronie przed kulą podstarzałego bandziora.

- Iona, na miłość boską - zmitygował ją zniecierpliwiony Overby. - To Booth Stallings, teść Howie'ego.

Ręce powoli opadły, wargi zamknęły się jak pułapka, a oczy wróciły do normalnych rozmiarów. Rumieniec wypełził na jej policzki, gdy rozchyliła ponure i złe usta, by wysyczeć:

- Nie lubię, gdy ludzie wymachują pistoletami w moim salonie.

- Nie wymachiwałem - bronił się Stallings. - Przekazywałem go.

Odwrócił się i podał *Sig Sauera* Overbyemu, chwytem do przodu. Overby wziął broń, obejrzał ją i wrzucił do kieszeni marynarki tak niedbale, jak gdyby robił to codziennie rano tuż po założeniu zegarka.

Nowa fala gniewu wykrzywiła twarz Iony, a w jej głosie zabrzmiała gorycz i oskarżenie.

- Nawet nie miałeś pistoletu? Co z ciebie za ochroniarz, kurwa mać, skoro nie masz własnej broni?

- Czy ktoś według ciebie chce mnie zastrzelić? - zapytał Overby. Nim Iona zdobyła się na odpowiedź, przysunął się do niej i powiedział: - Musisz coś zrobić. Musisz...

Opadła z wolna na fotel, chyląc się do przodu i kryjąc twarz w dłoniach. Ramiona jej drżały, gdy powiedziała szeptem - szeptem, według Overby'ego:

- Kiedy on odwrócił się... z tym pistoletem... nigdy w życiu tak się nie bałam...

Overby, wcale nie poruszony, przerwał jej brutalnie.

- Musisz, Iono, iść na górę i spakować się na noc. I to w pięć minut. Potem obecny tu Booth zawiezie cię do hotelu Howie'ego, gdzie spędzisz noc.

Iona spiorunowała go wzrokiem.

- Próbujesz mnie wyrzucić?

- Pakuj się, Iona.

Wstała natychmiast i podeszła do Stallingsa. Patrzyła na niego przez chwilę, potem obdarzyła uśmiechem, który według niego był pełen fałszywej obietnicy. Wyciągnęła rękę, by strzepnąć wymyślony pyłek z jego lewego

ramienia i zapytała:

- Co właściwie robi pan dla Wudu?

- Jestem mądrym starym szefem. Bankiem pamięci. Również zaopatrzeniowcem, skarbnikiem i generalnie totumfackim.

- A kim był pan przedtem? - zapytała, nadal wyglądając na głęboko zainteresowaną.

- Żołnierzem. Zawodowym promotorem, konsultantem rządowym. Objazdowym profesorem bez nadziei na stanowisko. Często beneficjentem licznych trustów mózgow i fundacji. I, ostatnio, podstarzałym, ale młodszym partnerem w spółce Overby-Stallings.

Udawane czy szczere zainteresowanie Iony znikło. Zastąpiła je wściekłość.

- Pan i Otherguy jesteście partnerami? - Stallings zaopiniował, że wyrzuciła to z siebie takim tonem, jakby miała na myśli nie wykroczenie, ale wręcz przestępstwo.

- Iona - powiedział Overby. - Idź i pakuj tę pieprzoną torbę.

Iona odwróciła się ku niemu, najwyraźniej chcąc odmówić, klócić się czy nawet wygłosić coś z patosem, lecz Overby skinął w stronę drzwi. Stallings pomyślał, że, prawdę mówiąc, nie było to skinienie. Była to bezgłośna apodyktyczna komenda, która nie przewidywała żadnej odmowy, Iona zawahała się, po czym odwróciła, ruszyła do holu, zatrzymała, znów zmieniła zdanie i wybiegła z salonu z Moose'em deptającym jej po piętach. Overby upewnił się, że na pewno poszła na górę, wrócił do salonu i zapytał:

- O kogo najbardziej niepokoi się Artie - o Duranta czy Georgię?

- Wspomniał jedynie o jakichś lekkich obawach odnośnie Colleen Cullen.

Overby przez chwilę myślał o właścicielce zajazdu w Topanga. Kiedy wyciągnął wnioski, podzielił się nimi ze Stallingsem.

- Tak, za określoną cenę można owinąć sobie Colleen wokół palca. - Ściągnął brwi i wpatrywał się w Stallingsa w taki sposób, w jaki mógłby oglądać jakiś nie całkiem czytelny rękopis. - Powtórz mi jeszcze raz, co powiedział Artie - dokładnie.

- Powiedział, że masz doprowadzić do porządku wszystko, co nawali.

- Jesteś pewien, że chodziło mu o coś, a nie o kogoś?

- Oczywiście.

Overby błysnął przelotnie białymi zębami w twardym uśmiechu, który szybko ustąpił wyrazowi oczekiwania.

- Wiesz co, Booth? Ta cała sprawa ostatecznie może okazać się interesująca.

Stallings, wiozący Ionę Gamble, prowadził wynajętego dwuosobowego Mercedesa na południe po Siódmej Ulicy do Montana Avenue. W pewnej chwili skręcił w kierunku oceanu, później znów na południe na Czwartą Ulicę, ponieważ Iona powiedziała, że Czwarta jest najszybszą i najbezpieczniejszą trasą. Nie odzywała się, póki nie dotarli do Wilshire Boulevard.

- Mam taki sam samochód.

- Nie całkiem. Ten jest wynajęty. Twój nie.

- Jak jej na imię - twojej córce, która jest żoną Howie'ego?

- Lydia.

- Jest twoim jedynym dzieckiem?

- Mam drugą córkę, Joannę. Ale to wiedźma, Iona Gamble znów popadła w zadumę. Przecznicę przed wychodzącym na ocean hotelem Howarda Motta powiedziała:

- Myślisz, że są szansę na to, że wszystko pójdzie dobrze?
- Jak w filmie? Żadnych.
- Też tak sędzę.

Kiedy o 20.14 nadszedł czas wyjazdu, Durant i Georgia Blue zaprezentowali się Artiemu Wu, który nadal siedział u szczytu starego refektarzowego stołu, rozkoszując się cygarem i szklą neczką doskonałego armaniaka. Wu odkrył butelkę schowaną przez kogoś w pustym pojemniku po mące. Pomyślał, że praw dopodobnie ukrył ją sam Billy Rice, ponieważ armaniak był zbyt dobry, by się z kimkolwiek dzielić.

Georgia Blue miała na sobie dżinsy z GAP-a, czarną bawełnianą bluzę z tego samego sklepu i ciemnoniebieskie tenisówki Kids bez skarpetek. Rudobrazowe włosy schowała pod turbanem z ciemnoniebieskiej jedwabnej szarfki. Podniosła bluzę i pokazała wsunięty za pasek dżinsów i przylegający do płaskiego brzucha rewolwer *Smith&Wesson*.

Wu skinął z aprobatą i odwrócił się, by obejrzeć Duranta, ubranego w szarozielone tweedowe spodnie z mankietami, najwyraźniej należące do starego, ale drogiego garnituru. Na nogach miał parę podniszczonych sportowych butów New Balance, a na grzbiecie ciemną kasztanową bluzę z greckimi literami studenckiej korporacji Phi Delta Theta.

- Nie widziałam, że należałeś do Phi Delta - powiedziała Georgia Blue, nie próbując ukryć szyderstwa.

- Znalazłem bluzę na najwyższej półce w szafie - odburknął Durant i wyjął rewolwer S&W kalibru 0,38 cala, który Overby i Georgia Blue kupili od Colleen Cullen. Sprawdził go uważnie,

potem wsunął do kieszeni na biodrze. - A spodnie pochodzą z worka ze starymi ubraniami w garażu.

- Zastanawiałem się - zaczął Wu. - Zaraz, zaraz... Jedna czy dwie uwagi. Jeżeli stanie się coś złego, próbujcie dzwonić. Najpierw tu. Jeżeli nikt nie odpowie, do Howie'ego Motta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zróbcie dokładnie to samo - dzwońcie najpierw tu, a gdy nikt nie odbierze, do Howie'ego.

- Rozumiem, że może cię tu nie być - powiedział Durant.

- To możliwe.

- Jeżeli nie masz nic innego do roboty, Artie, zawsze możesz przyczepić się do nas i pomóc - podsunęła Georgia Blue.

- Nie potrzebujecie mnie. Razem jesteście lepsi w te klocki niż ktokolwiek inny. Zauważcie, że powiedziałem: razem. Oddzielnie jesteście bardzo, bardzo dobrzy, ale nie całkiem - nie nawidzę tego mówić - doskonali. Dlatego usilnie polecam działanie zespołowe, choć wiem, jak wstrętne musi się wam wydawać.

- Nie jesteś przypadkiem chory? - zapytał Durant.

- A co?

- Bo zawsze, gdy jesteś, zaczynasz wygłaszać kazania.

- Może cierpię na lekki atak złych przeczuć.

- I to jest prawdziwym powodem, dla którego nie idziesz z nami - dodała Blue.

- Właśnie.
- Jakie to przeczucia, Artie? - zapytała Durant. - Niebo zaczyna się walić?
- Gdybym ci powiedział, to nie byłoby już przeczucie, ale prorocstwo, a jeszcze nie mam zamiaru zostawać prorokiem. - Wu przeniósł spojrzenie z Georgii na Duranta, potem znów na kobietę. - Jeszcze coś?
- Możesz życzyć nam szczęścia - powiedziała Georgia.
- Szczerze wam życzę, żebyście go nie potrzebowali.

41

Booth Stallings zostawił Howarda Motta i Ionę Gamble pogrążonych w dyskusji nad tym, kto gdzie i czy w ogóle ma spać. Zatrzymał się przy pierwszym sklepie z alkoholem, na jaki natknął się przy Pacific Coast Highway, i kupił butelkę bardzo drogiej szkockiej.

Musiał zmniejszyć prędkość, podobnie jak inni kierowcy, gdy był ponad pół kilometra od domu Rice'a. Po pewnym czasie zwolnił jeszcze bardziej, a w końcu posuwał się naprzód sko kami - chwila jazdy i stop. Kiedy wreszcie dopelzył za ostatni zakręt, zobaczył błyskające światła na czarnych i białych policyjnych wozach. Podjechawszy bliżej naliczył trzy czarno-białe z wydziału szeryfa okręgu Los Angeles i dwa czarne, które, jak przypuszczał, należały do nieumundurowanych wywiadowców. Samochody stały tuż przed domem Billy'ego Rice'a.

Na środku jezdni dwaj mundurowi wymachiwali latarkami i próbowali zlikwidować korek Stallings jechał samochodem wartym sto tysięcy dolarów, zatrzymał się więc i używając głosu, który jak miał nadzieję pasował do wozu, zapytał stojącego najbliżej gliniarza, co tu się, u diabła, dzieje.

Gliniarz miał mniej więcej trzydzieści lat i zapuszczał obowiązkowy wąs rewolwerowca.

- To tylko małe domowe zamieszanie. Nikt nie został ranny. Nie ma nic do oglądania. Proszę jechać dalej.

- To dom Billy'ego Rice'a, prawda?

- Nie wiem, czyj to dom.

- Tego wielkiego producenta, który został zastrzelony w ostatni dzień roku.

- Proszę zabrać swój pieprzony wóz, proszę pana. Natychmiast.

Stallings przejechał kolejne trzydzieści metrów, znalazł wolne miejsce i zaparkował. Wysiadł z Mercedesa, wepchnął papierową torbę z butelką szkockiej do kieszeni marynarki, po czym śmignął przez jezdnię, nieomal wpadając pod koła wozu, którego kierowca w rewanżu nazwał go durnym skurwielem.

Stallings wrócił w kierunku domu Rice'a od strony plaży i dotarł tam na czas, by zobaczyć jak Artie Wu, ubrany dokładnie w to samo, co miał na sobie podczas wczesnej kolacji, idzie w asyście dwóch tajniaków w kierunku jednego z nieoznakowanych pojazdów. Nadgarstki miał skute na plecach. Twarz niewzruszoną. Jeden z wywiadowców otworzył przed nim tylne drzwi wozu, a drugi położył mu rękę na czubku głowy, by w nic nie uderzył, i wepchnął go na tylne siedzenie. Gdy Wu odwrócił się i pochylił, jego oczy spotkały się z oczami Stallingsa. W żadnych nie pojawił się ślad rozpoznania.

Tuż przed stalową bramą, która strzegła podjazdu do domu Rice'a, kłębili

się tłumek złożony z mniej więcej tuzina osób. Stallings rozpoznał kilku sąsiadów, którym składał - czy próbował składać - kurtuazyjne wizyty. Ominął ich i zamiast tego dorwał nieznanego faceta o cwany wyglądzie, przysunął się doń bokiem i zagadnął:

- Widziałem tego Chińca w markecie Hughes. Co on zrobił?

- Zabił jakiegoś meksykańskiego szofera.

- Ho ho. Tylko jego aresztowali?

- Jak na razie.

- Pechowy dom, jak widać. Najpierw Billy Rice, a teraz ten Chińczyk.

- Nie mówiąc o tym, z kim tu się mieszka - powiedział sąsiad. - Pozwalają każdemu dupkowi z kilkoma dokami wynajmować wszystko, za co płaci. Założę się, że ten Chińczyk handluje narkotykami.

- Pewnie, skoro stać go na taką chatę - skonkludował Stallings i odszedł. Kiedy pełną samochody znów zatrzymały się, przebiegł przez jezdnię do żółtego piętrowego domu i zapukał do drzwi. Kilka sekund później otworzył mu Rick Cleveland, wychowanek „Przeminęło z wiatrem”. Teraz też miał na sobie szlafrok, ale ten był kanarkowożółty i sięgał mu do łydek. Nosił również te same sandały, a w lewym kąciku szerokich, zgorzkniałych ust jak zawsze tkwił zapalony papieros.

- Miałeś trochę emocji po drodze - powiedział na powitanie, nie wyjmując papierosa.

- Paskudnie, gdybyśmy ich nie mieli - rzucił Stallings. - Mogę skorzystać z telefonu?

- Proszę. - Cleveland otworzył szerzej drzwi, cofnął się i po prowadził Stallingsa do salonu.

- Tutaj - powiedział, wyciągając rękę. Stallings wyjął z kieszeni butelkę szkockiej i podał ją Clevelandowi.

- Nalej, gdy będę dzwonił.

Stary aktor wyjął butelkę z torby i rozpromienił się na widok etykiety.

- O Jezuu. Od lat jej nie piłem.

Stallings podszedł do telefonu i wystukał numer Howie'ego Motta. Zwrócił uwagę, że Cleveland, zajęty odkorkowywaniem butelki, krąży w zasięgu słuchu.

Kiedy Mott odebrał, Stallings powiedział:

- Ludzie szeryfa właśnie zabrali Artie'ego. W kajdankach. Wieść niesie, że zamordował meksykańskiego szofera.

- Domyślam się, że nie jesteś sam - powiedział Mott.

- Nie.

- Dokąd go zabrali - do aresztu w Malibu?

- Prawdopodobnie.

- No to trzeba się tym zająć, tylko że mamy problem. Nie wystarczy nam nianiek.

- Coś ci powiem. - Stallings lekko podniósł głowę. - Jest tu pewien aktor, mój przyjaciel, który może zechce pomóc, pod czas gdy ty zajmiesz się Artie'em.

- Do czegoś zmierzasz, Booth.

- Wiedziałem, że spodoba ci się mój pomysł. Zobaczymy, co powie mój przyjaciel.

Odwrócił się do Ricka Clevelanda, który przyrządził dwa mocne drinki i teraz stał w odległości metra, popijając z jednej szklanki.

- Chcesz zarobić dziś wieczorem pięć tysięcy dolarów?

- Jak?

- Pomożesz mi pilnować Ione Gamble.

- Nie rób ze mnie balona.

- Tak czy nie?

- Cholera, tak.

Do telefonu Stallings powiedział:

- Będziemy za dwadzieścia lub dwadzieścia pięć minut.

- Jak się zjawisz, zajrzyj do lewej dolnej szuflady biurka mojej sekretarki - powiedział Mott.

- Tej blondynki?

- Brunetki.

- Jeszcze jedno, Howie.

- Co?

- Weź Artie'emu kilka cygar.

Rick Cleveland, ubrany w tweedową marynarkę, błękitną ko szulę i spłowiałe dżinsy, podszedł u boku Stallingsa do niepra widłowo zaparkowanego Mercedesa 500SL. Zatrzymał się i wlepił oczy w samochód.

- Chryste, wygląda jak ten, którym wtedy przyjechała Iona Gamble.

- Bo to ten sam.

Dotarli do hotelu Motta w dwadzieścia jeden minut. Mott otworzył drzwi, został przedstawiony Clevelandowi i z kolei sam przedstawił aktora Ionie Gamble, która siedziała w fotelu w biurze sekretarek.

Iona rzekła z uśmiechem:

- Chyba setki razy widziałam pana na jednym czy drugim ekranie. Zabawne, że nigdy się nie spotkaliśmy.

- Ostatnio nie pracuję zbyt wiele - oznajmił Cleveland i spoj rzał z zaciekawieniem na dwa biurka i dwa komputery.

- Muszę iść - powiedział Mott. - Dobrze, że zgodził się pan nam pomóc, panie Cleveland.

- Cieszę się, że mogę się przydać. A przynajmniej mam nadzieję, że okażę się pomocny.

Mott uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł. Gdy drzwi się zamknęły, Iona spojrzała na Stallingsa i powiedziała:

- Zatem ty i twój nowy przyjaciel jesteście moimi nowymi strażnikami.

Ponieważ nie było to pytanie, Stallings nie odezwał się. Pod szedł do biurka brunetki i otworzył głęboką szufladę. Znajdował się w niej jedynie mały pistolet.

Była to bardzo mała, mieszcząca się w kieszonce kamizelki broń produkcji włoskiej z pięcioma nabojami. Stallings mógłby ukryć ją w jednej ręce, ale nie zrobił tego. Pokazał ją Ionie Gamble.

- To pistolet, Iona. Nie mam zamiaru cię zastrzelić. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że twój nowy ochroniarz jest uzbrojony - powiedział i wrzucił mały pistolet do kieszeni marynarki.

- I to w jaki fajny pistolecik - dodała Iona. - Co teraz?

- Czekamy.

Rick Cleveland usiadł za biurkiem brunetki.

- Na co? - zapytał.

- Na to, co się stanie.
- No cóż, a co według was ma się stać?
- Coś okropnego - powiedziała Iona Gamble.

42

O 20.49 Otherguy Overby leżał rozciągnięty płasko na podłodze domku na drzewie i zerkał na Colleen Cullen, która kończyła ostatni obchód po dwuhektarowej posiadłości. W lewym ręku trzymała długą na przeszło pół metra latarkę, a w prawej obrzyna - wycelowanego wprost przed siebie i opartego spiłowaną kolbą o prawe biodro.

O 20.51 Cullen wróciła do zajazdu, wspięła się po dziewięciu stopniach na werandę i zniknęła we wnętrzu budynku. Minutę później zgasły wszystkie światła. Paliły się jedynie dwie stuwatowe żarówki na werandzie.

Overby odkrył nadrzewny domek tuż po ósmej, gdy powoli brnął przez coś, co uznał za pierwotny las, ale co w rzeczywistości było zadbanym zagajnikiem składającym się z sosen, sykamorów, eukaliptusów i kilku starych dębów. Wcześniej minął wjazd na drogę do zajazdu z wiecznie zapalonym czerwonym neonem oznajmującym, że wolnych miejsc brak. Zwolnił pół kilometra dalej na wąskiej drodze asfaltowej, zatrzymał wynajętego Forda na poboczu, wysiadł, zamknął wóz i zniknął w czymś, co według niego było dziką puszcza.

Osiem minut później potknął się o korzeń, mimo starań klapnął na tyłek i wtedy w świetle księżyca zobaczył domek na starej sykamorze. Drzewo rośnie ledwie metr od długiego podjazdu i mniej niż dwadzieścia metrów od samego zajazdu. Overby skonstatował, że domek jest całkiem nowy i wisi przynajmniej cztery metry nad ziemią. Do grubego pnia drzewa co sześćdziesiąt centymetrów przybitych było sześć kawałków drewna, które tworzyły prowizoryczną drabinę. Sam domek nie był w rzeczy samej wcale domkiem, lecz zaledwie platformą w kształcie trapezu, wklonowaną w pierwsze rozwidlenie konarów sykamory. Pod łoga z sosnowych desek miała metr osiemdziesiąt długości i sto dwadzieścia do stu pięćdziesięciu centymetrów szerokości i opierała się na konstrukcji nośnej z grubszych bali. Oczywiście miejsce to było zbyt niebezpieczne dla dzieci i Overby, który nigdy nie miał domku na drzewie, zastanowił się, czy Colleen Cullen zbudowała go - bądź kazała zbudować - ponieważ ona też nigdy czegoś takiego nie miała w dzieciństwie.

Tuż przed dziewiątą na podjazd wpadł czarny Ford, zatrzymał się, potem cofnął na parking w kształcie wachlarza, jak gdyby przygotowując się do wyjazdu. Overby widział go doskonale w świetle księżyca i latarni. Przyglądał się, jak z miejsca pasażera wysiada Georgia Blue. Ujęła rewolwer w obie ręce i szybko omiotła nim wszystko, co znajdowało się przed nią. Quincy Durant wysiadł z drugiej strony wozu, z pistoletem w prawej ręce, a kosztującą osiem dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów plus podatek torbą w lewej. Durant ruszył ku schodom wiodącym na werandę zajazdu.

Georgia Blue tyłem podążyła za nim - jej oczy i broń omiały teren za jego plecami. Kiedy Durant dotarł do najniższego stopnia, zatrzymał się i powiedział przez ramię coś, czego Overby nie dosłyszał. Zaczekał, aż plecy Blue dotkną jego pleców. Overby z aprobatą pokiwał głową.

Durant powoli wszedł na schody. Georgia, nadal tyłem, weszła jeszcze wolniej, zatrzymując się na ułamek sekundy na każdym stopniu. Gdy dotarli do drzwi frontowych, Durant zadzwonił. Chwilę później wszystkie żarówki w każdym pomieszczeniu dworu zapłonęły oślepiającym blaskiem. Overby'emu, który ze swej nadrzecznej grzędy obserwował to widowisko, spodobał się pomysł zapalenia wszystkich świateł w całym domu na raz za pomocą głównego przełącznika. Zastanowił się tylko, jak Colleen udało się oświetlić werandę, podczas gdy wszędzie indziej było ciemno. Obiecał sobie, że zapyta ją o to.

Durant nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się; wszedł do środka. Georgia Blue cofała się powoli, lufa jej rewolweru, nadal trzymanego oburącz, kreśliła sześćdziesięciostopniowe łuki. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Overby spojrzął na cyfrowy zegarek. Była 20.59.33.

Z góry schodów dobiegł znajomy głos.

- Przynajmniej jedni na czas.

Durant i Blue podnieśli głowy i zobaczyli Colleen Cullen na podeście. Kobieta ruszyła w dół, trzymając obrzyna w zgięciu prawej ręki. Jej lewa dłoń sunęła po poręczy. Durant pomyślał, że pomimo strzelby, czarnych dżinsów, czarnego bawełnianego swetra i czarnych sportowych butów to efektowne i pełne wdzięku wejście.

- Jesteśmy pierwsi? - zapytała Georgia Blue.

- Właśnie wróciłam z obchodu wokół domu - powiedziała Cullen. - Nie było tam nikogo poza królikami i szopami.

- Gdzie będziemy?

- Tam, gdzie wcześniej, w salonie. - Colleen odwróciła się i poprowadziła ich w kierunku zamkniętych rozsuwanych drzwi.

Kiedy do nich doszli, Durant powiedział:

- Ty pierwsza, Colleen.

Kobieta wzruszyła ramionami, przesunęła nieco lewą część drzwi i weszła do salonu, a za nią Durant i Georgia. Kiedy wszyscy znaleźli się w pokoju i skierowali do wielkiego okrągłego stołu, na którym stały jakieś drinki, za ich plecami męski głos szczechnął:

- Stać!

Durant i Blue zatrzymali się natychmiast, lecz Colleen Cullen zawirowała i złożyła się do strzału. Mierzyła nie w intruza, ale w nich.

- Zróbcie coś z rękoma - rozkazała.

Durant rzucił błękitną torbę z pieniędzmi na dębową podłogę i podniósł ręce na wysokość ramion. Georgia Blue jedynie odsunęła dłoń z dala od ciała.

- Człowiek za wami ma *Uzi* - poinformowała Colleen Cullen. - Musicie wiedzieć, co to jest. - Jej oczy skoczyły ku Georgii Blue. - Oto, co masz zrobić, Chuda. Po pierwsze, dwoma palcami lewej ręki podciągnij przód koszuli. Potem palcami prawej wyciągnij gnata zza paska i połóż go na mojej lewej dłoni.

Blue zrobiła, co jej kazano. Gdy trzydziestkaósemka spoczęła w lewej ręce Cullen, w oczach kobiety pojawił się błysk rozpoznania.

- Wygląda na to, że sprzedam ci go jeszcze raz, maleńka.

Wepchnęła rewolwer do lewej tylnej kieszeni spodni, potem odwróciła się

lekko i przesunęła wyloty luf obrzyna na Duranta.

- To samo, panie Opalony. Dwoma palcami.

- Będziesz miała coś przeciwko, jeśli użyję kciuka? - zakpił Durant, ostrożnie wyjmując rewolwer z kieszeni na biodrze. Wsunął go w dłoń Cullen, uśmiechnął się i dodał: - Dostałaś lepszą ofertę, Colleen?

- Jasne.

- O ile?

- Zbyt wiele, byś zdołał ją przebić.

- Za późno, żeby spróbować?

- Cholernie za późno. Teraz odwrócę się, by położyć te gnaty na stole, i spodziewam się, że oboje zachowacie się rozsądnie. Kiedy odłożę broń, wtedy zajmiemy się poważnymi sprawami.

Cullen odwróciła się i zrobiła sześć kroków w stronę dębowego stołu. Gdy zaczęła siódmy krok, rozległa się krótka se ria z broni maszynowej. Durant pomyślał o czterech pociskach, ale zmienił zdanie, gdyż na czarnym swetrze Colleen tuż nad talią, tam gdzie jest kręgosłup, pojawiły się tylko trzy otwory.

Siła uderzenia rzuciła kobietę do przodu i nogi się pod nią ugięły. Nim upadła, obie lufy strzelby plunęły ogniem i śrut wyrwał dwie złączone dziury w dębowych deskach. Durant po myślał, że wyglądają jak przewrócona na bok ósemka.

Durant nie poruszył się. Ale Georgia Blue tak. Westchnęła, odwróciła się, podeszła do najbliższego krzesła, usiadła, założyła prawą kostkę na lewe kolano, oparta brodę na splecionych dłoniach, spojrzała wściekle na kogoś innego niż Durant i powiedziała: :

- To było cholernie głupie.

- Jeden świadek mniej - powiedział mężczyzna, który wydał rozkaz „Stać”.

- Nie możesz wszystkich pozabijać. Najpierw kierowca limuzyny. Potem Goodisonowie. A teraz Colleen. To głupota.

- Został jeszcze jeden. Tylko jeden. I możesz go załatwić.

- Dlaczego ja?

- By zarobić pieniądze i podzielić się odpowiedzialnością, po cóż by innego?

- Nie sądzę, by to zrobiła - powiedział Durant.

- Dlaczego nie? - zapytał mężczyzna.

- Nie ma w tym żadnego interesu.

- A trzysta tysięcy dolarów to co? ;

- Widzisz tę błękitną torbę u moich stóp?

- Torbę na forszę?

- Na forszę - powtórzył Durant. - Ale jest jeden problem: nie ma w niej forsy. Tylko gazety. Głównie stare numery "Architectural Digest".

- Oczywiście kłamiesz.

- Sam zobacz.

- Kłamiesz czy nie, obawiam się, że Georgia i tak musi cię zabić - jak możemy to nazwać - w ramach pokuty?

- Pokuta to dobre słowo - przyznał Durant. - Ona chyba ma za co pokutować. Lecz nie byłoby to zbyt mądre.

- Czy my wszyscy nie jesteśmy trochę za mądrzy?

- Możliwe. Ale skoro chcesz, żeby mnie zabiła, musisz poz wolić jej sięgnąć po broń. A jeśli tak zrobisz, ona najpierw załatwi cię, a potem

spróbuje mnie przekabacić, by uratować własny tyłek. Taka jest Georgia: zawsze wie, jak ograniczyć straty własne.

- Odsuń torbę z drogi - rozkazał mężczyzna. Durant cofnął się o krok i kopnął torbę.

- Cofnij się o jeszcze jeden krok.

Durant cofnął się, a w tej samej chwili mężczyzna wszedł w jego pole widzenia. Durant wyszczerzył zęby i powiedział:

- Mój Boże, toż to Jack Broach, hollywoodzki superagent i niedobitek z drugiej wojny światowej jakieś pięćdziesiąt lat później. Czy dziś w nocy ruszamy na Calais, Jack?

Broach uśmiechnął się czarująco.

- Chciałbym, żeby tak było, panie Durant. Naprawdę.

Broach miał naciągniętą na uszy zrobioną na drutach marynarską czapkę, a poza tym ubrany był w granatowy wełniany golf i czarne spodnie wpuszczone w wysokie buty, które wyglądały tak, jakby były wyczyszczone do połysku. Durant po myślał, że buty są trochę za duże, a jednocześnie zauważył, że Broach niepokojąco fachowo trzyma *Uzi*.

Broach nagle przestał się uśmiechać, przykląkł na prawym kolanie obok torby, ale nie spuszczał ani oczu, ani *Uzi* z Duranta. Lewą ręką wymacał suwak, szarpnął go i zerknął w dół. Otwarta torba była wypchana studolarowymi banknotami.

Kiedy Broach spojrział w dół, Georgia Blue wyrwała z kabury na kostce prawej nogi mały pistolet kalibru 0,25 cala.

Strzeliła w ramię klęczącego Jacka Broacha. Broach stęknął albo ze zdziwienia, albo z bólu - albo z jednego i drugiego powodu razem. Rzucił *Uzi*, zacisnął prawą dłoń na ranie i wlepił zdumione oczy w Georgię.

- Strzeliłaś do mnie. - Zawarł w tym pytaniu jednocześnie pytanie i oskarżenie.

Georgia Blue, która już stała i, trzymając broń w obu rękach, celowała w Broacha, powiedziała:

- Odsuń się, Jack. Ale prawa ręka Broacha już skoczyła do leżącego na podłodze *Uzi*.

- Może ostatecznie sam zastrzelę pana Duranta.

- Możesz spróbować.

Broach zmarszczył brwi, jak gdyby zarazem zaskoczony i za smucony rozwojem wypadków.

- Mieliśmy ubić interes, ty i ja.

- Gdzie są kasety, Jack?

- Jakie kasety? Nigdy nie było żadnych kaset - w każdym razie nie takich, jakie możnaby wykorzystać, ponieważ Iona nie zabiła Billy'ego Rice'a, i nie pytaj mnie, kto to zrobił, bo nie wiem.

- A Goodisonowie?

- Zrobili się nerwowi. Chcieli wycofać się z szantażu i sprze dać swoją historyjkę jakiemuś szmatławcowi, więc trzeba było temu zapobiec, prawda?

- Spraw, żeby rzucił *Uzi*, Georgia - powiedział Durant.

- Myślisz o strzale w głowę?

- To byłoby kapitalne.

- Oczywiście - powiedział Broach - z tobą i ze mną było całkiem inaczej niż ze mną i Goodisonami. Ty i ja jesteśmy równi. I jako tacy dobijemy targu.

- Nie ma kaset, nie ma targu, Jack - powiedziała Georgia Blue. - Przykro mi.

Jack Broach pokręcił głową jakby z rozczarowaniem. Wstał z *Uzi* w prawej dłoni, lufą w dół, z palcem gdzieś w pobliżu spustu. Zdawał się nieświadomy krwi, która spływała mu po lewej ręce pod swetrem i skapywała na podłogę.

Zaciskając zęby i ledwo poruszając ustami, Durant syknął:

- Każ mu rzucić tę pierdoloną spluwę, Georgia.

- Wychodzę - powiedział Jack Broach i ruszył powoli w kierunku rozsuwanych drzwi. Tuż przed nimi zatrzymał się i spojrzał na Georgię Blue, która nadal celowała w niego z trzymanego oburącz pistoletu. - Bez względu na to, co mówisz, Georgia, naprawdę mogliśmy ubić interes.

Odwrócił się i wyszedł do holu. Obok schodów stał Otherguy Overby z pożyczonym przez Artie'ego *Sig Sauerem* w prawej ręce.

Broach na jego widok spróbował podnieść *Uzi*. I nadal próbował, gdy Overby bez śladu wahania strzelił do niego kilka razy. Gdy Broach legł rozpostarty na podłodze, Overby podszedł, spojrzał na niego z zainteresowaniem, trącił go czubkiem buta, potem popatrzył na Duranta, który zbliżał się ku niemu z jednym z rewolwerów Colleen Cullen. Chwilę później pojawiła się Georgia Blue. Jej mały pięciopalcowy pistolet kołysał się u boku, na pozór zapomniany. Overby spojrzał znów na zabitego, potem na Georgię.

- Jack Broach? Skinęła głową.

- Co z kasetami?

- Nie ma żadnych kaset - powiedziała.

- W każdym razie nie takich, jakich mogli użyć - dodał Durant. Overby zmarszczył brwi i rozejrzał się.

- Co z Colleen?

- Broach nie chciał żadnych świadków - odparła Blue.

- Poza tobą - powiedział Durant.

- Nie uważał mnie za świadka, ale za współnika. - Przerwała. - Ale przecież mieliśmy ubić interes, prawda?

- Ten facet miał *Uzi* - powiedział Overby. - Pierdolone *Uzi*. Jak to się stało, że nadal żyjecie?

- To wszystko wina Georgii - odparł Durant.

43

Booth Stallings odłożył słuchawkę telefonu stojącego na biurku sekretarki w hotelowym biurze Motta i odwrócił się do Iony Gamble, która siedziała zgarbiona w fotelu.

- Dalsze złe wieści? - zapytała.

- Jack Broach nie żyje. Ktoś go zastrzelił. To on cię szantażował, on był Blaszaną Puską.

Szok wykrzywił rysy Iony i sprawił, że jej oczy nieledwie wyskoczyły z orbit.

- Jack nie żyje? Stallings pokiwał głową.

- I to on mnie szantażował?

- Broach zawsze był kawałek sukinsyna - wtrącił Rick Cleveland z miejsca za biurkiem brunetki. Podniósł szklaneczkę szkockiej i dodał: - Za starego

Jacka. - Wypił i nalał sobie drugiego drinka z butelki, która teraz była w jednej trzeciej pusta.

Szok zniknął z twarzy Iony. Zastąpił go dziwny spokój, który wymazał wszystkie inne emocje.

- Znał pan Jacka? - zapytała Clevelanda takim tonem, jak gdyby dopytywała o jakiegoś nie widzianego od lat znajomego.

- Znałem go, gdy zaczynał. Byłem jednym z jego pierwszych klientów. Kiedy on stał się zbyt wielki - albo ja zbyt mały - wyrzucił mnie.

Iona pokiwała uprzejmie głową, spojrzała na Stallingsa i zapytała:

- Dlaczego Jack miałby mnie szantażować? Potrzebował pie niędzy? Przecież mogłam mu pożyczyć.

- Nie mogłaś. Ukradł ci wszystko. A może: zdefraudował -to lepsze słowo.

- Nie mam pieniędzy?

- Niewiele.

- I mówisz, że Jack mi je ukradł? Stallings jedynie skinął głową.

- No to jak zapłacę Howie'emu Mottowi?

- O to się nie martw. - Stallings wyjął z kieszeni mały pistolet kalibru 0,25 cala, położył go na biurku i jakby o nim zapomniał.

- Nie będzie bronił mnie za darmo - powiedziała Iona. - Tego się po nim nie spodziewam.

- Nie będzie żadnej rozprawy. W każdym razie, nie twojej.

- O co tu, do diabła, chodzi, Booth? - Iona wyrwała się z chwili lowego zobojętnienia i teraz jej oczy płonęły ogniem. - Przeliteruj to. Jeżeli chcesz, możesz mówić nawet jak do dziecka.

- Jedziemy do biura szeryfa w Malibu, czy jak tam nazywa się ten posterunek.

- My troje?

- Nie, tylko Rick i ja. - Stallings podniósł mały pistolet. -A Rick powie im, że to nie ty zastrzeliłaś Billy'ego Rice'a, ale on.

- Chyba nie silisz się na żarty, prawda? Nie. Oczywiście, że nie.

- Czy wiesz, ile wynosi dzienna opłata za wynajęcie wozu takiego jak twój, Iono?

- Do czego ty, u diabła, zmierzasz?

- Cztery setki na dzień plus pięćdziesiąt centów za przejechaną milę. Oto ile. Plus depozyt w wysokości pięciu tysięcy dolarów - gotówką lub kartą kredytową, pod warunkiem, że karta to wytrzyma. Obecny tutaj Rick wynajął w Sylwestra samochód taki sam jak twój, prawda, Rick?

- Chyba nie - rzucił Rick.

- Jasne, że tak. Potem, tej samej nocy około jedenastej czy jedenastej trzydzięci, wjechałeś na podjazd Billy'ego Rice'a, zaparkowałeś, wysiadłeś i zadzwoniłeś do drzwi. Temu, kto je otworzył - może samemu Rice'owi - powiedziałaś, że chcesz załago dzić spór. Coś w tym stylu. Kiedy obaj znaleźliście się w salonie, strzeleń do Rice'a dwa razy, potem zostawiłeś pistolet w holu na tym małym stoliku z wiązu, tam, gdzie każdy wchodzący musiał zobaczyć go natychmiast i być może podnieść. Co właśnie zrobiła Iona. - Stallings spojrzał na kobietę. - Rick zostawił nawet otwarte drzwi, żebyś ty czy ktokolwiek inny mógł wejść do środka. Użyty przez niego pistolet też ma swoje znaczenie, ponieważ został skradziony z planu filmowego Paramount, gdzie kręcono pilota. Rick był w obsadzie, prawda Rick?

Cleveland zignorował Stallingsa. Dopił whisky, potem nalał sobie jeszcze jedną.

Iona wlepiła oczy w Clevelanda, który nawet na nią nie spojrzał.

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zabiłeś Billy'go? Rick Cleveland wypił drinka, skrzywił się, wreszcie popatrzył na Ionę i powiedział:

- Ponieważ ten sukinsyn zasłonił mi widok. Dlatego.

- Widok?

- Ty masz widok, prawda? Jasne, że masz. Przypuśćmy, że pojawia się jakiś dupek i buduje przed twoimi oknami siedmio - czy ośmiopiętrowy budynek. Czy to by cię nie wnerwiło?

- Nie na tyle, by go zabić.

- A gdyby ten widok był wszystkim, co ci w życiu pozostało?

Tuż po drugiej w nocy szeryf posterunku w Malibu zamknął Ricka Clevelanda w tej samej celi, którą właśnie zwolnił Artie Wu. Nim Cleveland z własnej woli przyznał się do zamordowania Billie'ego A.C. Rice'a Czwartego i nawet oznajmił, że w takich samych okolicznościach zrobiłby to jeszcze raz.

O 3.16 stanowy patrol drogowy, opierając się na podstawie anonimowego donosu, odkrył zwłoki w kanionie Topanga. Będący anonimowym informatorem Otherguy Overby zadzwonił do pa trolu drogowego, ponieważ pamiętał, jak Cullen mówiła, że opłaca pewnych zastępców szeryfa, by pozwolili jej utrzymać interes.

O 3.38 Overby, z błękitną nylonową torbą w ręku, zadzwonił do drzwi domu Iony Gamble przy Adelaide Drive i cierpliwie czekał. Otworzyła mu Iona Gamble, w dziennym stroju.

- Chodźmy do twego gabinetu, Iono.

- Nie zniosę już niczego więcej.

- To ci się spodoba.

Iona Gamble siedziała za biurkiem memphiskiego maklera i z napięciem obserwowała, jak Overby kładzie przed nią zapiętą błękitną torbę.

- Co to jest?

- Otwórz.

- Po co?

Gamble wstała i otworzyła torbę, która nadal była wypchana paczkami studolarowych banknotów.

- O Jezu! Czyje to?

- Twoje. Trzysta tysięcy - prawie. To część tego, co Jack Broach ci ukraść. Ja ukradłem to z powrotem. Oczywiście nie sam. Nieco pomogła mi Georgia i ten pieprzony Durant.

- Więc to jest ten mityczny milion, prawda? Ten milion, za który miały zostać odkupione kasety - tylko że to nie jest milion i nie było żadnych kaset.

- Prawda - przytaknął Overby.

- Co mam z tym zrobić?

- Masz skrytkę depozytową, prawda? Włóż to do niej. Kiedy będziesz potrzebowała trochę forsy, korzystaj. - Overby podniósł się. - Muszę iść, ale strasznie miło było znów cię zobaczyć, Iono.

- Co będziesz teraz robił?

Overby uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Przez pewien czas prawdopodobnie niewiele.
- Siadaj, Otherguy.
- Usiadł. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.
- Chcesz zostać moim agentem?

44

Kiedy Quincy Durant, siedzący przy starym refektarzowym stole w jadalni świętej pamięci Billy'ego Rice'a, skończył roz mawiać z Enno Glimmern, w Londynie była 14.05, a w Malibu 6.05. Durant odwrócił się do Otherguya Overby'ego i oznajmił:

- Pan Glimm jest bardzo zadowolony z naszych poczynań. Może nie zacytuję dokładnie, ale powiedział coś takiego: kurwa, odwaliliście kawał dobrej roboty.

- A co z pieniędzmi? - zapytał Overby.

- Jenny Arliss dokonuje właśnie transferu. Glimm mówi, że pokieruje tym Westminster Bank. Pieniądze powinny być do odebrania już o dziewiątej, w chwili otwarcia banku.

- Wszystkie?

- Wszystkie.

- I nadal dzielimy się tak, jak powiedział Artie?

- Nikt nie zamierza cię wykiwać, Otherguy.

- Jeżeli człowiek nie dopyta, nigdy niczego się nie dowie. Po chwili Durant powiedział:

- Jak z nią?

- Z kim?

Durant tylko na niego spojrzał.

- Aha. Chodzi ci o Ione. Świetnie. Trochę zmęczona. Trochę zaintrygowana. Ale pieniądze nieco ją rozweseliły. Nie jak cholera, ale nieco.

- Co mówiła?

- Wiesz. Czy nic ci nie jest i jakie masz plany. Takie rzeczy. - Overby przerwał na chwilę. - Prosiła również, bym został jej agentem.

Raz jeszcze usta Duranta zacisnęły się w wąską linię. Prze wiercił Overby'ego wzrokiem i wysyczał:

- I co powiedziałeś? Pewne, jak cholera, że nie odmówiłeś. Overby zaprezentował swój twardy, biały i tym razem dziwnie wesoły uśmiech.

- Powiedziałem: Iona, to najgorszy pieprzony pomysł, jaki ci kiedykolwiek wpadł do głowy. Durant opadł ciężko na krzesło, jakby był wyczerpany.

- Nigdy cię nie zrozumiem, Otherguy. Overby skinął z zadumą głową.

- Niewielu ludzi to potrafi.

Artie Wu i Howard Mott przeszli spacerkiem jakieś sto metrów po plaży, zatrzymali się i zawrócili w stronę domu Rice'a. Przez pewien czas szli w milczeniu.

- Przypuszczam, że słyszałeś o wojnie w Zatoce? - rzekł w pewnej chwili Mott.

- Że się skończyła? Jeden z zastępców szeryfa mi powiedział. Może byłem zbyt zajęty własnymi problemami, bo zare agowałem dość ciekawie: „I co z tego?” Chyba żyjemy w dziwnych czasach.